

EUGENIUSZ ODEBSKI

TAMTA
STRONA
ŚWIATA

FABRYKA SŁÓW



fabryka słów

EUGENIUSZ DĘBSKI

TAMTA
STRONA ŚWIATA



Lublin 2011

COPYRIGHT © BY Eugeniusz Dębski
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2008

WYDANIE I

ISBN 978-83-7574-411-8

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA Eryk Górski, Robert Łakuta

PROJEKT OKŁADKI Paweł Zaręba

GRAFIKA NA OKŁADCE Marek Okoń

PORTRET AUTORA Agnieszka Orłowska

REDAKCJA Bożena Sęk

KOREKTA Urszula Gardner

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ lesiojot



WYDAWNICTWO

Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91
www.fabrykaslow.com.pl
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl

– Jesteś taki wspaniały. Taki dzielny i zdecydowany i tak niewiele za to dostajesz. Wala cię pończochą, duszą cię, miażdżą ci szczękę i pompują w ciebie morfinę, a ty kiwasz łączników na boisku i strzelasz bramkę, kiedy oni mają już dosyć. Jak to się dzieje, że jesteś taki cudowny?

– Śmiało – warknąłem. – Do rzeczy.

– Niech to licho – powiedziała z zadumą. – Mógłbyś mnie pocałować.

Raymond Chandler

Żegnaj, lalczko



Prolog

Branża metalowa nigdy nie była moją ulubioną *dziedziną* przemysłu. Jej wyrobom poświęcałem tyle uwagi, co przeciętny kot nasionom sosny kanadyjskiej. A ta zwykła żelazna kłapa w podłodze, ten płat metalu, kupka rozwalcowanej stali uformowana jednym uderzeniem potężnej prasy, przyciągała mój wzrok już ponad czterdzieści minut. Stałem obok niej, od strony zawiasów, wstrzymując oddech. Od godziny nie paliłem i oddychałem przez szeroko otwarte usta. Gdyby trzeba było, bez wahania sfajdałbym się w spodnie, byle cicho. Palce prawej ręki zdrętwiały w kieszeni kurtki, ale tym się nie przejmowałem – było to odrętwienie dobrze mi znane. Dłoń ciasno opięła idealnie wymodelowaną kolbę wielkiego elefanta, opartego lufą o dno dużej kieszeni bez kłapy. Nie bałem się, że zaczepię o coś wyciągając broń – elefant nie miał żadnych ozdób, żadnych wystających części, nie miał nawet muszki, tylko delikatny obły występ na końcu krótkiej trzycalowej lufy. Muszka nie była potrzebna, amatorzy nie brali go do ręki, a zawodowcy wiedzieli, że wystarczy muśnięcie pocisku, by oderwać rękę od tułowia. Po dobrym trafieniu w kręgosłup ofiara śmiesznie załamywała się do tyłu i uderzała głową w pięty własnych stóp.

Lewa ręka wymacała w kieszeni zapalniczkę. I choć była bezszmerowa, a w całym budynku nie został nawet skrawek szyby w oknie i ostry jak lancet przeciąg niewątpliwie wyciągnąłby od razu dym papierosa, nie zapaliłem. Wiedziałem, że Chinaglia siedzi w swojej norze napięty jak katapulta i za bardzo nie chciałem zwalniać jej sprężyny. Przestałem się bawić zapalniczką i szybko mrugnąłem kilka razy oczami. Bardzo

chciałem, by drgnięcie kłapy było rzeczywistością, a nie projekcją marzeń.

Drgnęła. Poszła wolno w górę. Była ciężka i Chinaglia musiał podnosić ją tuż nad głową. Odczekałem, aż uniosła się na wysokość trzydziestu centymetrów i skoczyłem na nią z góry. Podkurczyłem nogi i postarałem się odbić od kłapy najmocniej jak mogłem. Ustąpiła pod moimi stopami dość gładko, uderzyła najpierw w coś twardego i dopiero potem huknęła w metalową kryzę, na której przed chwilą się opierała. Zanim odskoczyła złapałem już za uchwyt i szarpnąłem w górę. Na dole panował mrok, w słupie ciemności pod klapą, rozjaśnionym z lekka światłem padającym z góry, mignęła czyjaś ręka, usłyszałem kilka miękkich stuknięć o metalowe szczeble drabiny, a każde z nich ciepłym echem odbijało się w moich uszach. Na zakończenie tego króciutkiego utworku na szczególnym ksylofonie dobiegło mnie soczyste plaśnięcie i dość twardy, szczególnie przyjemny, trzask.

Wyjąłem z wewnętrznej kieszeni mocny reflektor i skierowałem światło w dół. Chinaglia leżał rozciągnięty bezwładnie na szarej, zaśmieconej podłodze. Drobin kurzu wzbite w powietrze upadkiem tańczyły i wirowały nad ciałem. Wstąpiłem w ten srebrzysty korowód schodząc po drabinie, zeskoczyłem z ostatnich dwóch stopni odtrącając nogą matowy rewolwer leżący obok podkurczonej prawej nogi. Nachyliłem się nad Chinaglią i zrewidowałem go. Miał w kieszeni duży nóż z wyrzucanymi ostrzami, kropelka rtęci w pustym środku gwarantowała pożądany lot klingi. Wystrzeliłem obie w kąt piwnicy i włożyłem kuszę z powrotem do jego kieszeni. Niczego więcej nie znalazłem, zresztą nie szukałem zbyt zachłannie. Poświeciłem dookoła i zobaczyłem duży kanister z wodą. Nalałem ze dwa litry do garnka i chlusnąłem na głowę Chinaglii, odszedłem na bok i usiadłem w kącie na czymś w rodzaju pryczy. Struga światła wycelowana była prosto w twarz leżącego na podłodze ciała.

Chinaglią poruszył się lekko, nieznacznie drgnęła ręka, szarpnął nią, uniosł do głowy. Na jego oczy padł cień, nie widziałem, kiedy je otworzył, ale poczułem to, bo nagle coś ohydnie zimnego, jak mokra

ścierka, uderzyło mnie w twarz. Wtedy Chinaglią odsłonił oczy i usiadł.

Miał bezbarwną, nijaką twarz, jeśli jednak zatrzymywało się na niej wzrok przez dłuższą chwilę, plecy drętwiały od spojrzenia jego wodnistych oczu, bowiem te wyblakłe czółenka nie wyrażały niczego, były doskonale, absolutnie obojętne. Jak śmierć.

– Czego chcesz? – zapytał spokojnie.

Przesunął się trochę do tyłu i oparł plecami o ścianę. Nieznacznym ruchem wyprostował fałdę bluzy, tak by lewa kieszeń, ta z kuszą, była równo rozłożona na podłodze. Uśmiechnąłem się szeroko.

– Chyba nie sądzisz, że szukani czwartego do brydza? – powiedziałem.

– Forsa?

– Dostanę za ciebie.

– Na pewno mniej niż dam ja.

– Pewnie tak. Wydoiłeś swoje ofiary do dna, ale ich grosze są lepsze niż twoje zakrwawione dolary.

– Glina... – stwierdził.

Pokręciłem głową przecząco i uświadomiłem sobie, że z reflektorem wbitym w twarz nie może mnie widzieć.

– Coś jakby – poinformowałem.

– Aha... Kilku za mną szurało. Dwaj już dołują – oblizał cienkie wargi.

– Domyślałem się. Jedenaścioro dzieci, czterech dorosłych plus dwaj policjanci i dwaj detektywi. W sumie dziewiętnaście osób.

– Chwilę trwała cisza, Chinaglia jakby sprawdzał mój rachunek, podniósł oczy ku górze. Mój wskazujący palec bez udziału świadomości mocniej nacisnął na spust elephanta. Umiem liczyć dalej – powiedział i wciągnął wargi między zęby.

– Trzeba było popisywać się w szkole, może nie siedziałbyś teraz tu i...

Jakoś dziwnie miękko i płynnie sięgnął do kieszeni. Nie zauważyłem, kiedy wyjął rękę, ale szcęk sprężyny w nożu uświadomił mi, że musiał to już zrobić. Lufa elephanta skoczyła w górę, pocisk wykroił kawał betonu nad głową Chinaglii, ale gdyby nie wcześniejsza rewizja, byłby to mój ostatni strzał. Siedzieliśmy nieruchomo i gdy pogodziłem się już z myślą, że tylko musnął mnie biały płaszczyk kostuchy, powiedziałem:

– Zastanawiam się właśnie, czy nie wymierzyć raz w życiu sprawiedliwości własnoręcznie. Okazja jest świetna – chyba nie wątpisz w wyrok? Co? – nic nie mówił. – No właśnie. Komora. Poza tym, wykonując wyrok odbieram ci szansę ucieczki, na przykład.

Omiotłem pomieszczenie jeszcze raz reflektorem, podszedłem do ławki z małą stertą konserw i zacząłem wyrzucać je przez klapę w suficie. Chinaglia patrzył przez cały czas w punkt, w którym byłem przed chwilą. Wydawał się nie słyszeć stukotu puszek nad głową i nie rozumieć znaczenia tego dźwięku. Gdy skończyłem likwidację zapasów, usiadłem na łóżku na wprost jego twarzy.

– I miałbym dodatkową satysfakcję, ja i rodziny pomordowanych przez ciebie dzieci, że zdychałeś tu co najmniej kilka dni... Bez żywności, ale z wodą, mógłbyś tu siedzieć i miesiąc. To za dużo. Bez wody wytrzymasz tydzień. A z tą ilością wody... – przesunąłem lufę i nacisnąłem spust. Kanister eksplodował, jakby był wypełniony słabą mieszanką wybuchową. Woda prysnęła na ściany, podłoga zalsniła. Dwie strugi światła łączyły teraz mnie i Chinaglię – ta z reflektora i jej odbicie w cienkiej kałuży na betonie. – ... może dziesięć dni... Po moim wyjściu możesz ją wybierać w szmaty, potem spróbuj pić mocz, zawsze to coś – mówiłem czując, że wcale się mnie nie boi i dlatego zamiast wyprowadzić go i zadzwonić po patrol gadałem, usiłując wydusić choć kroplę strachu, milionową część tego, co przeżywały jego ofiary. – Mam w wozie puszkę syntetycznego cementu i utwardzacz, znasz to, prawda? Zapchałeś tym usta Bobowi Xedarowi. Twardnieje w ciągu dwóch sekund i nie daje się niczym usunąć. Wyleję to na klapę, a po dwóch tygodniach dam znać kapitanowi Woodeyowi. Jeżeli chcesz mu sprawić przyjemność, wytrzymaj te dwa tygodnie, choć muszę uprzedzić, że wybieram się na mały urlop i mogę tam zabalować dłużej, więc nie nastawiaj się na te czternaście dni, ciągnij ile się da. Zawsze to...

– Kto mnie sypnął? – przerwał mój scenariusz świetnie wiedząc, że nie zagram roli jaką sobie w nim wyznaczyłem.

Wzruszyłem ramionami, snop światła majtnął się aż nadto wyraźnie, więc nie mówiłem nic. Nawet martwemu Chinaglii nie zdradziłbym

imienia informatora.

– No to chodźmy – zaczął się podnosić. – Nudzisz potwornie.

Oparłem ręce na kolanach i odbiłem się od pryczy. Wtedy skoczył. Nacisnąłem spust zupełnie odruchowo. Trzeci raz ściany piwnicy przyjęły na siebie huk elefanta, kolano Chinaglii zderzyło się z pociskiem. Wyłamał je do tyłu, czerwone strzępy prysnęły na boki, a Chinaglia runął jak po potężnym ciosie betonowym kłocem. Upadł na prawy bok, zgiął się i chwycił lewą nogę powyżej kolana obiema rękami, prawą miał wyciągniętą, ale lewa i tak była dłuższa o jakieś dwadzieścia centymetrów. Gdy szarpnął się w tył, nie podążyła za ciałem. Z miejsca, gdzie przed kilkoma sekundami było kolano, z uda i oddzielnie leżącej łydki, chlustała krew i szybko, bo mieszając się z wodą, rozlewała po podłodze.

– Załóż sobie opaskę, bo nie będę się specjalnie spieszył – powiedziałem, choć nie chciało mi się otwierać ust.

Obszedłem wciąż powiększającą się kałużę i wyszedłem po drabinie z piwnicy. Założyłem stary, zardzewiały skobel, przewlokłem kawałek mosiężnego drutu walającego się pod ścianą i wyszedłem z domu. Po kilkunastu krokach odwróciłem się i zobaczyłem, że od drzwi biegną coraz mniej wyraźne, malejące czerwone ślady. Przełknąłem ślinę i szurnałem kilkakrotnie podszwami o asfalt. Wyostałem się na ulicę i poszedłem wśród ruin i stojących jeszcze domów, naznaczonych piętnem zniszczenia i upadku.

Chodnik był stosunkowo mało zryty, dużo mniej niż tak samo nie naprawiana od wielu lat jezdnia, szedłem szybko w nadziei, że fala młodości opadnie, gdy tylko odpowiednio daleko odejdę od piwnicy i tego, co tam zaszło. Na pierwszym skrzyżowaniu skręciłem w lewo, przeszedłem przez jezdnię łapiąc się na odruchowym spojrzeniu w obie strony, choć od miesiący, a może i lat, koło samochodu nie toczyło się po wypłowiałym, szarym, z płytkimi kawernami asfalcie. Po trzystu metrach skręciłem w szeroką bramę i znalazłem się na podwórku. Doszedłem do zmurszałej ceglanej ściany chyba jeszcze z dwudziestego wieku i precyzyjnie się między nią i karoserią mojego bastaada.

Przyłożyłem kciuk do plasterka dekonsora, drzwi sapnęły i otworzyły się, wyjąłem z kieszeni latarkę i pistolet, rzuciłem na prawe siedzenie i wpakowałem się za kierownicę. Sięgnąłem do skrytki i wyjąłem butelkę Club 1999. Wlałem w usta kilka łyków, splukałem jakiś wstrętny osad z dziąseł i języka. Pociągnąłem jeszcze, zapaliłem pierwszego od godziny papierosa i ułożyłem się wygodnie w fotelu. Czułem się podle, jak puszka po konserwach rzucona zgłodniałemu kundlowi – pusty i wylizany z wszelkich treści. Siedziałem tak z kwadrans, zanim zamknąłem drzwi i położyłem palec na dekonsorze zapłonu. Wyjechałem z podwórka wolno, na ulicy przyspieszyłem trochę, potem, w miarę jak zbliżałem się do centrum i stan jezdni poprawiał się, jechałem coraz szybciej. Na skrzyżowaniu Siedemnastej i Sto Dwudziestej Trzeciej wysiadłem, kupiłem paczkę gumy oraz butelkę Matthews Beer. Wyciągnąłem z przezroczystej rury kubek i wróciłem do samochodu żując gumę. Podjechałem kawałek pod budkę telefoniczną. Zaparkowałem obok, wysiadłem i z kubkiem w ręku wszedłem do kabiny. Wyjąłem gumę z ust i zakleiliśmy nią obiektyw pod sufitem. Przedziurawiwszy palcem dno kubka wcisnąłem go na mikrofon. W pionową szparę obok klawiatury wrzuciłem dwucentówkę i stuknąłem w klawisz z napisem „Police”. Na ekranie pojawił się umundurowany dyżurny, rzucił okiem na swój ekran i zobaczył, że jest ciemny. Gdy nieznacznym ruchem palca uruchomił najbliższy patroler, powiedziałem:

– Nie spiesz się tak, chłopcze. Tu nie mają nic do roboty, niech jadą do rudery oznaczonej numerem siedemdziesiąt cztery na dawnej Sześćdziesiątej Czwartej i zjedą do piwnicy. Z lekarzem – obserwowałem go cały czas i gdy lewa ręka drgnęła mu lekko kopnąłem szybko drzwi. Nie zdążyły się zablokować, więc nie kryjąc ironii dokończyłem: – Jeżeli naprawdę chcecie zamykać rozmówców w budkach, to zmieńcie rozkład przycisków albo podwyżście ładę. Każdy pętaś w mieście wie, co oznaczają wszystkie wasze ruchy.

Kiedy tylko wyszedłem z kabiny rozległ się trzask zamka i zaraz za nim jęk syreny. Kabina służbiście zaryglowała drzwi, uruchomiła sygnał

akustyczny i żółty pulsujący reflektor na dachu. Nie była aż tak doskonała, by wiedzieć, że zamknęła tylko niezbyt świeże powietrze. Odjechałem nie spiesząc się zbytnio i po piętnastu minutach jazdy po sennych przedpołudniowych ulicach dotarłem do West Sulima. Skręciłem w Arnolda i zatrzymałem się na podjeździe do garażu obok willi z numerem czterdzieści siedem. Wysiadłem i przez trawnik porośnięty trawą zbyt wysoką, jak na tę zadbaną ulicę, doszedłem do drzwi wejściowych. Podniosłem rękę do komunikatora może, zbyt gwałtownie, bo drzwi otworzyły się same jakby od podmuchu powietrza.

Wszedłem do środka i usłyszałem:

– Owen! Niech pan wejdzie.

Wyjąłem papierosa z paczki i trzymając go w palcach poszedłem w kierunku głosu. Millerman siedział w fotelu, na stoliku przed nim stała pusta szklanka, ale ze świeżymi małymi zaciekami na wewnętrznych ściankach. Trochę dalej leżał płaski dystansowy sterownik telewizora.

– W barku mam tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć – powiedział Millerman.

W jego głosie nie brzmiało żadne z uczuć, jakich się spodziewałem; ani ulgi, ani radości, nawet znużenia. Zrobiłem dwa kroki i pociągnąłem drzwiczki barku. Wyjąłem butelkę i dwie szklaneczki, wróciłem z tym wszystkim do stołu i usiadłem naprzeciwko gospodarza. Po raz drugi tego dnia otworzyłem butelkę najdroższej whisky świata. Nalałem po pół szklanki sobie i jemu, podsunąłem jedną w jego kierunku. Wziął ją do ręki, ale nawet nie podniósł do ust. Spojrzał na mnie. Oczy miał głęboko zapadnięte, otoczone ciemnymi plamami, spojrzenie ciężkie i bezwładne jak worki z piaskiem. I tyle samo było w nich życia.

– Przed chwilą widziałem eres – powiedział cicho.

– Są szybcy – mruknąłem, jakbym nie wiedział, że reporterzy dyżurni Relacji Specjalnych rzeczywiście działają szybko.

George umoczył usta w whisky, patrzył w ciemny ekran telewizora, wciąż jeszcze oglądając RS o ujęciu Chinaglii, dziewiętnastokrotnego

mordercy, kidnapera, sadysty, ale byłem pewien, że nie zauważyłby nawet żyrafy we własnym pokoju.

Pociągnąłem długi łyk ze szklanki i odstawiłem ją na blat. Wychyliłem się i powiedziałem:

– George, ja wiem, że tobie to już niepotrzebne. Uważasz w tej chwili, że to zwykła zemsta. Ale tak nie jest, on musiał być unieszkodliwiony. Gdybyś nawet wycofał zlecenie, to miałem trzy identycznie brzmiące zadania i nawet bardziej zdecydowanie sformułowane niż twoje. Zresztą ścigała go policja całego kraju i kupa amatorów. Prędzej czy później zostałby schwytyany lub zabity, ale kto wie, ile jeszcze razy znęcałby się nad swoimi ofiarami. Rozumiesz?

Rozumiem – przechylił szklankę i wypił zawartość do dna. Podsunął puste naczynie w moim kierunku. – Dlatego, mimo wszystko cieszę się, że złapałeś go w końcu. Czy... – wskazał palcem na szklankę. Napełniłem obie, wziął swoją i dokończył z ustami w naczyniu, jakby chciał zamaskować ciekawość w głosie – ... – to policjanci go postrzelili? Pokręciłem przecząco głową.

– Rzucił się na mnie – powiedziałem. I po chwili dodałem: – Ale chyba go specjalnie prowokowałem. I nie mogę, szczerze mówiąc, wykrzesać z siebie skruchy.

– Nie będę ci mówił, że on też nie dawał szans swoim... – przygryzł dolną wargę. – W końcu...

– Daj spokój – przerwałem. – Może kiedyś będę tego żałował, może gdyby, ten świat był trochę inny żałowałbym już w tej chwili, ale teraz nie musisz mi pomagać. Lepiej... – umilkłem i chwyciłem szklankę, by zyskać parę sekund na wymyślenie innego zakończenia zdania.

– Lepiej przejdźmy do konkretów, co? – uśmiechnął się samymi wargami.

Skinąłem głową choć nie byłem pewien, czy moje zakończenie: „... zajmij się sobą, bo kiepsko wyglądasz” nie byłoby mimo wszystko bardziej eleganckie. Millerman wstał i podszedł do telewizora, sięgnął ręką pod aparat i wyjął zwykłą, żółtą kopertę. Potrząsnął w powietrzu.

– Zakurzyła się trochę – powiedział i zaczerwienił się nagle. –

Przepraszam...

– Nie wygłupiaj się – podniosłem rękę i dodałem. – Jesteś mi winien dwanaście tysięcy. Tyle kosztowało dotarcie do informacji i cynk.

– Umówiliśmy się inaczej – zrobił dwa kroki i położył kopertę na stoliku przede mną.

Wzięłem ją i otworzyłem. W środku było kilkadziesiąt banknotów o najmniejszym z możliwych czterocyfrowym nominale, wyjąłem dwanaście, a resztę włożyłem z powrotem i rzuciłem kopertę na telewizor. Plasnęła i spadła na podłogę, ale żadnemu z nas nie przyszło do głowy ruszyć się by ją podnieść.

– Wycofałem się z interesów – powiedział George. – Sprzedałem swój udział. Nie mam nic do roboty – patrzył na mnie, a ja pracowicie bełtałem whisky. – Rozmyślałem. Pół roku temu, gdy Chinaglia zabił Moirę, gdy zostaliśmy bez córki, rozpaczałem. Kiedy Lena popełniła samobójstwo, zapragnąłem zemsty. Teraz się tylko zastanawiam. Do niczego innego nie jestem zdolny. Czasem wydaje mi się, że niezbyt kochałem córkę i żonę, skoro tak szybko przestała mnie ich śmierć boleć. Nie czuję radości na wiadomość o schwytaniu mordercy, jestem pusty. Wciąż myślę, dlaczego on to robił. Przecież nawet nie zawsze odbierał okup...

– To zwierzę. Morduje dla przyjemności. Nie, nie zwierzę – one nie mordują dla przyjemności – poprawiłem się szybko. – On jest po prostu człowiekiem. Ludzie chcą być sławni, wielcy, bogaci, potężni. Czasem za wszelką cenę. Tak myślę – wstałem i zgarnąłem do kieszeni pieniądze, papierosy i zapalniczkę. – Idę.

W połowie drogi do drzwi zatrzymałem się jeszcze i powiedziałem przez ramię:

– Wyjedź gdzieś, znajdź sobie jakieś zajęcie. Rób coś. Zadzwoń za kilka dni – i wyszedłem.

Gdy zamykałem za sobą drzwi, ulicą przemknął żółty w czarne pasy samochód z wydaniem specjalnym „New’s”. Pomyślałem, że tę chęć sławy, poklasku, wybicia się z szarzyzny znam bardzo dobrze z autopsji.

Wsiadłem do wozu, uruchomiłem silnik i tym razem nie czekając na

sprężenie paliwa ruszyłem od razu. Kilka przecznic przejechałem automatycznie, nie kierując się nigdzie, odjeżdżałem tylko od domu, w którym mieszkała dwudziesta ofiara Chinaglii. Dopiero gdy skręciłem w F.D.R. Avenue zdecydowałem się. Przejechałem pół kilometra i wyhamowałem przed sklepem Ellisa. Po przebyciu kurtyny powietrznej zanurzyłem się w chłodnym, czystym i jasnym wnętrzu. Kawałki i kawały mięsa różnej wielkości prawie całkowicie zasłaniały żółtego koloru ściany. Cztery karbowane tarcze wentylatorów wirowały pod sufitem, zataczając duże koła; gdyby się zderzyły – łomot byłby niezgorszy. Podeszedłem do lady, gdzie właśnie Ellis udając, że nie zauważa pełnych zachwyty spojrzeń dwóch klientek, trzymał w lewej ręce dużą szynkę, a prawą machał obok niej jak sędzia wyliczając znokautowanego boksera. Każde machnięcie ozdabiał świst potężnego noża i smaczny płask spadającego na równiutką kupkę płata mięsa. Kątem oka zerknął na mnie, po czym odłożył szynkę i nóż.

– Słucham – uprzejmie skłonił się przed babami.

– Chciałybyśmy trochę angielskiej kiełbasy – uśmiechnęła się młodsza.

– Niestety, wędlin nie prowadzimy. Z wyjątkiem szynki – Ellis uniósł brwi i rozłożył nieco dłonie.

– Ach, to szkoda, szkoda – zatrzeszczała starsza. – W takim razie chodźmy, Iris.

Odwróciły się i wyszły ze sklepu. Ellis westchnął i pokiwał głową.

– Ta starsza ciągle przyprowadza tu znajome na pokaz i nigdy nic nie kapuje. Marnuję tylko szynkę.

– No to ja ją wezmę – uśmiechnąłem się.

– Chyba pan żartuje! Przecież ma poszarpane włókna, to sieczka. Powinienem ją sprzedać za pół ceny. Zaraz panu przyniosę – podniósł dłoń uspokajającym gestem. – Coś jeszcze?

– Tak.

Skinął głową, odwrócił się i wyszedł ze sklepu. Nie było go ze dwie minuty. Wrócił targając udziec cielęcy w dużej przezroczystej torbie i mniejszą torebkę z pokrojoną w plastry szynką.

– Sześć trzydzieści – powiedział.

Wyjąłem z kieszeni dziesiątkę i położyłem na blacie. Ellis zmiotł ją ręką w drodze do kasy.

Przyciągnąłem torby do siebie i zrobiłem dwa kroki w jego kierunku.

– Słyszałem w eresie, że złapali tego sadystę – odliczał resztę nie patrząc na mnie.

– Tak, wiem już – odpowiedziałem obojętnie.

– Wyprzedzili pana? – wyciągnął rękę z banknotami i kilkoma monetami.

– Wygląda, że tak.

– Wygląda, czy tak jest? – uśmiechnął się lekko.

– Wygląda jak wygląda – skrzywiłem się w odpowiedzi i skinąłem ręką na pożegnanie.

Brama numer pięć znajdowała się o jakieś czterysta metrów od sklepu, wjechałem na chodnik i wyłączyłem silnik. Z mięsem w ręku przeszedłem kilkanaście kroków dzielących mnie od wejścia, wrzuciłem do automatu monetę i wszedłem popychając przed sobą kołowrót. Zadzwonił melodyjnie i wysunął z ramienia kolorową naklejkę-bilet. Przykleiłem ją na torbę z cielęcina.

Od południowo-zachodniej bramy do mutantów było niecałe sto metrów, nie spotkałem nikogo na tym odcinku, pora była nieodpowiednia, a może dzień. Skierowałem się od razu do długiej klatki z Grookim. Chodził po prawej części, od ściany do ściany, lewą część, a właściwie jej fragment, ruchomą klatkę w klatce, zajmował Karl. Czyścił podłogę drapakami, miotła stała oparta w kącie, obok niej na podłodze leżał zwinięty wąż z ciśnieniową końcówką. Podeszedłem bliżej i stanąłem przed częścią zajmowaną przez zwierzę.

Czarny tygrys Grooki, mutant, jedyny i zapewne ostatni egzemplarz na Ziemi, przystanął i spojrzał na mnie. Zupełnie zlekceważył apetycznie pachnącą torbę, wiedziałem, że jestem dużo smaczniejszym kąskiem, bo żywym, a Grooki niczego tak nie uwielbiał jak zabijać, tym różnił się od wszystkich pozostałych znanych zwierząt. Dlatego nie miał braci ani siostr – żadne inne ZOO nie miało chęci ani możliwości na karmienie tygrysa za trzy miliony żywym mięsem. Bez codziennego

morderstwa czarne tygrysy zdychały, zupełnie jakby wyciągały z żywego stworzenia jakąś tajemniczą substancję niezbędną im do własnego istnienia. Grooki obejrzał mnie dokładnie, ale nie odrywał nadal wzroku, powtarzał przegląd jeszcze raz i jeszcze, jakby już samo przymierzanie się do mnie sprawiało mu wielką przyjemność.

– Gdyby mógł, stopiłby kraty spojrzeniem, a wtedy, jestem pewien, nie śpieszyłby się do ciebie. Widziałem kilkaset razy jak zabija swoje ofiary, smakuje ich strach, liże go, jak długo się da, ale uważa by nie umarły zbyt szybko. Ma idealne wyczucie, kiedy skazaniec jeszcze żyje, tak by nie stracić okazji do mordy i jednocześnie wyciągnąć z niego cały możliwy lęk – Karl stał patrząc na mnie, drapak trzymał w prawej ręce, od strony klatki z Grookiem. – To jest największy potwór jakiego widziałem w życiu. Po znajomości z nim nie boję się widzenia z diabłem. A zresztą sądzę, że jako bliski znajomy tego bydlaka nie muszę się bać piekła.

– Cześć – oderwałem się od tygrysa i podszedłem do Karła. – Pomóc?

– Jak chcesz – wzruszył ramionami i pokazał kciukiem drzwi z tyłu.

Obszedłem całą klatkę, przeszedłem za jej tylną ścianę, murowaną, i znalazłem drzwi, które prowadziły do ruchomej klatki na szynach. Pokryte były ostrzegawczymi napisami. Największy głosił: „Zastanów się! Twoje dzieci będą się źle czuły w sierocińcu”. Pchnąłem je i wszedłem w wąski korytarz z pasem okien na całej długości. Co kilka metrów monotonię ściany przerywały wąskie drzwi. Odszukałem te do klatki z Karlem, zostawiłem mięso na korytarzu i wszedłem. Karl odwrócił się i uśmiechnął. Uścisnęliśmy sobie dłonie i od razu drapak wrócił do prawej ręki, tej od strony tygrysa. Udałem, że tego nie widzę i zapytałem:

– Można już zamiatać?

– Jasne, ale stój za mną.

Uhu – złapałem miotłę i zacząłem nią machać. Cały kwadrans pracowaliśmy w milczeniu, Karl czyścił podłogę, ja zamiatałem, potem Karl odblokowywał zapadkę i przesuwiał klatkę w kierunku Grookiego zostawiając mu coraz mniej miejsca. Zawsze ustawiał się tak, by być

między nim i mną. W pewnej chwili, manipulując przy blokadzie szyn, mruknął coś.

– Do mnie mówisz? – zapytałem.

– Nie-e... Zawleczka się złamała, żeby ją cholera! – wytarł ubrudzoną w smarze rękę o spodnie. – Pójdę po nową.

– Jak będziesz wracał, weź tę cielęcinę z korytarza. Może kotek raczy zjeść. – Odkręciłem zawór i zacząłem spłukiwać wodą oczyszczony kawałek podłogi, wąska struga z sykiem uderzała o beton, odbita obijała się o kraty potęgując szum, więc dopiero po zdjęciu palca ze spustu usłyszałem jakiś dziwny dźwięk dochodzący od strony Grookiego. Odwróciłem się zdziwiony, z węzłem w ręku. Stał niedaleko dzielącej nas kraty i śpiewał. Z gardła wydobywał mu się cienki zawodzący pisk, zaczynał, się na jakiejś bardzo wysokiej nucie, a potem opadał kaskadami, za każdym razem niżej.

– Co ci... – przerwałem, widząc zaskakującą zmianę w jego bladej żółtych zazwyczaj oczach. Zawsze przecinała je cienka, pionowa kreska źrenicy. Teraz jego oczy były całkiem czarne. Nie słyszałem też od Karla, by kiedykolwiek zauważył coś podobnego.

Podszedłem o krok. Chciałem obejrzeć go z bliska. Grooki podjął kolejną zwrotkę swojej pieśni, kończyła się teraz długim gardłowym pomrukiem. Niesamowicie rozszerzone źrenice wciągały jak dwa tunele. Zrobiłem jeszcze krok zahipnotyzowany niesamowitą melodią i tymi bezdennymi czarnymi krążkami. Bulgot w gardle Grookiego urwał się nagle i w tej samej chwili usłyszałem gdzieś z tyłu:

– Uważaj!

Szarpnąłem się słabo, w ślepiach tygrysa zobaczyłem żółty błysk i Grooki wyprysnął w moim kierunku. Odzyskałem kontakt z rzeczywistością, widziałem, że atak nie był bezmyślnym skokiem na kratę. Grooki uderzył w pręty barkiem, cała klatka przesunęła się nie blokowana złamaną zawleczką, jej ściana zbliżyła się do mnie i wtedy Grooki uderzył jeszcze raz, wsuwając między pręty obie łapy z potężnymi pazurami w moim kierunku. Sekundę wcześniej zacząłem odskakiwać w tył, w pełni świadomy powolności swego ruchu,

działaliśmy jakby w różnych czasach, ja i Grooki, on był chyba trzy razy szybszy ode mnie, łapy z kilkunastocentymetrowymi pazurami zbliżały się z potworną prędkością, podczas gdy ja dopiero ugiąłem nogi w kolanach, odchylałem się w pasie do tyłu i zacząłem wyciągać ręce do przodu, by ich ruch odrzucił resztę ciała w tył. Zaciśnąłem nieświadomie palce i wtedy z węża strzeliła mocna struga wody w szyję tygrysa. Zaskoczony targnął się, skręcił całe ciało i spudłował. W tej samej chwili klatka wskoczyła w kolejny występ i zatrzymała się, ja ugiąłem już na tyle nogi, że mogłem je wyprostować i robiłem to. Odchylałem i oddalałem się coraz bardziej od prętów klatki, strumień wody świadomie wycelowany uderzał w pysk zwierzęcia. Z tyłu dobiegł tupot nóg Karła i poczułem mocne szarpnięcie za ramię. Ledwo ustałem po tej, niepotrzebnej w gruncie rzeczy, interwencji, ale nie odwróciłem się nawet. Zdjąłem palec ze spustu/węża i odrętwiały patrzyłem na Grookiego.

Szałeństwo i furia, którym uległ, były czymś, co nie poddawało się kontroli zmysłów – zwijał się i rzucał po klatce tak szybko i tak gwałtownie zmieniał kierunek skoków, że wydawał się raczej smugą niż dwustukilogramowym zwierzęciem. Wszystkie ściany, sufit i chyba nawet betonowa podłoga jęczały pod uderzeniem pazurów, nieustanny wrzask na jednej, bardzo wysokiej nucie świdrował w uszach jak zgrzyt ostrego noża po szkle. Nagle przestał się miotać, stanął pyskiem do nas i po raz pierwszy jego działanie było wynikiem ślepej, bezmyślnej furii – skoczył na dzielące nas kraty i zaczął je szarpać i gryźć. Grube pręty zazgrzytały w zębach, rozdzwoniły się słabo pod uderzeniami łap.

– Jest wściekły. Piękny widok, co? – Karłowi głos drżał i trzęsły się ręce. – Wydał na ciebie wyrok i o mało wykonałby go. Nie znam człowieka, który byłby tak blisko śmierci i przeżył to. Ty go nie znasz, odchoruje to.

– Rzeczywiście – powiedziałem.

Pomyślałem, że wybrałem zbyt trudne słowo do powiedzenia, trzeba było powiedzieć: „A!”. Być może wyszłoby lepiej. Chrząknąłem i odwróciłem się do Karła.

– Damy mu tę cielęcinę? – zapytałem.

Wiesz, co z nią zrobi? – skrzywił się i pokiwał głową. – Ja to znam. Potraktuje zarcie jak naszą zemstę, jak naigrywanie się z jego niepowodzenia. Po nieudanym ataku na mnie koza żyła w jego klatce cztery dni, w końcu żal mi się jej zrobiło i wyciągnąłem ją stamtąd. Zupełnie w tym nie przeszkadzał. A koza zdechła po kilku minutach na wybiegu. Chodź.

Wysliśmy z klatki zabierając ze sobą miotłę, drapak i węża. Trzymałem go w ręku, gdy Karl uruchomił mechanizm przesuwający naszą klatkę w drugi koniec. Widzieliśmy jak oszalały tygrys przejeżdża obok nas szarpiąc konwulsyjnie pręty. Czułem jak od mojego żołądka odrywają się małe kawałeczki lodu i dzięki temu przestaje mi ciężać martwo. Wysliśmy w ciepły i słoneczny dzień, zegarek wskazywał wpół do trzeciej, informator sprzężony z telefonem biurowym wskazywał trzy zgłoszenia, cały trawnik za budynkiem-klatką zapełniony był królikami.

– Kilka z nich zawdzięcza ci życie, a przynajmniej parę dni życia – Karl machnął ręką w stronę wybiegu. – Napij się czegoś mocniejszego?

Nie, dziękuję. Mam już w sobie kilka mocnych, sędzę, że mnie osłabiają – wciągnąłem głęboko w płuca dziwne miejsko-parkowe powietrze z zapachem spalin i jakichś kwitnących nieopodal krzewów. – Pójdę. Ucałuj kotka jak się uspokoi – zsalutowałem wskazującym palcem i poszedłem wzdłuż królikami do wyjścia. Wracałem inną drogą, nie wychodząc przed klatkę z czarną furią. Szeroką aleją, kopiąc jakiś mały kamyczek, dotarłem do wozu. Wystartowałem dość ostro i takie tempo utrzymywałem podczas całej jazdy do domu. Zahamowałem po raz pierwszy dopiero na platformie przed garażem, schowałem do torby wziętej z tylnego siedzenia elefanta, whisky i szynkę, uruchomiłem alarm i wygramoliłem się z bastaada. Na ściennej klawiaturze wystukałem zlecenie i kod parkingu. Drzwi odskoczyły w górę, platforma z bastaadem ruszyła do przodu i po chwili zniknęła za zakrętem w głębi, drzwi opadły. Złapałem się na bezmyślnym wpatrywaniu w ich żółtą płaszczyznę, poruszyłem brwiami i otrząsnąłem się z odrętwienia. Drzwi do mojego mieszkania powitały mnie jeszcze

jednym dekonsorem. Posłusznie przykleiłem do niego kciuk, a potem wsadziłem do niemodnej dziurki klucz i przekręciłem trzy razy.

Powietrze w mieszkaniu było suche i stare mimo klimatyzacji i repesera. Nie rozbierając się zapaliłem w pokoju kilka laseczek kadzidła, dopiero potem rozpakowałem torbę, zrzuciłem kurtkę i poszedłem do kuchni. Uruchomiłem ekspres, do największej szklanki wrzuciłem ćwierć kilo lodu i zalałem to whisky. Po drodze do łazienki zatrzymałem się w przedpokoju i kazałem przegrać na domofon rozmowy z biura, ale wysłuchanie ich zostawiłem na później.

Zanim zrzuciłem z siebie szmaty wanna była już pełna, a mocny zapach igliwia rozszedł się po całym mieszkaniu. Na dobrą godzinę wyłączyłem się z otaczającej mnie rzeczywistości.

Telefon rozczwierkał się o piątej, gdy w grubym szlafroku kończyłem drugą kawę siedząc w fotelu przed telewizorem. Sięgnąłem do sterownika i puknąłem palcem w owalny klawisz na dole pudełka. Na ekranie pojawiła się twarz Jamesa Woode'ya. Patrzył prosto na ekran, choć by mnie widzieć na swoim musiałyby zezować w bok. Opanował doskonale sztukę rozmowy przez videofon – w ciągu całej rozmowy tylko kilka razy zerknął gdzieś poza ekran, resztę czasu patrzył prosto w kamerę.

– Cześć – zaczął pierwszy.

Podniosłem filiżankę, mojego jedyne bluewatera, za którego dałem kiedyś siedem setek u Mitzwolda i łyknąłem kawy.

– Posłuchaj... – powiedział wolno.

– Nie, to ty posłuchaj! – przerwałem. – Nie wiem czy wiesz, że mnie płacą nie za bycie w pracy tak jak tobie, a za konkretne wyniki. Dzisiaj załatwiłeś mnie na cacy, całe szczęście, że klient nie usiłował mnie wykiwać. Inaczej twoja dalsza kariera stałaby się bardziej problematyczna niż nocny lot na kaloryferze do Hiszpanii i z powrotem.

Wiedziałem, że jestem niesprawiedliwy, że James ma mi *coś* ważnego do powiedzenia, że musiały zaistnieć niesamowite okoliczności, by Woodey przywłaszczył sobie mój sukces. Dotychczas co najmniej dzieliliśmy je na pół, porażki brałem na siebie ja. Ale dzisiejszy dzień nie

był normalnym dniem nawet dla tak starego i odpornego repa jak ja. Musiałem to na kimś wyładować.

– Wiem. Wpadnij jutro do mnie. Wszystko ci wyjaśnię. Sprawdź czy masz na koncie miejsce na moją wdzięczność – uśmiechnął się i puścił oko.

Ekran zgasł. Kilka minut siedziałem nieruchomo jakbym czekał, że James pojawi się na nim jeszcze raz, potem dźgnąłem palcem klawisz „New’s” i wybierak. Automat wyszukał kanał z dziennikiem i zobaczyłem na ekranie klapę, po której kilka godzin temu skakałem. Spiker spokojnym głosem informował o tym, że Chinaglia mimo ciężkiej rany otrzymanej w pierwszej wymianie strzałów i dużego upływu krwi ostrzeliwał się uniemożliwiając natychmiastowe ujęcie. Dopiero wrzucona do piwnicy porcja „ogłupiacza” unieszkodliwiła wielokrotnego mordercę. Przypomniałem sobie, że to ja zostawiłem mu spluwę na podłodze piwnicy. Potem na ekranie mignęła karetka szpitalna, ktoś potrącał kamerzystę, obraz tańczył aż kręciło się w głowie, ale i tak zobaczyłem, że policjanci ułożyli na noszach nogę oderwaną pociskiem elefanta i pod zakrwawionym prześcieradłem Chinaglia nie wyglądał na faceta z jedną kończyną. Ślady były zacierane natychmiast. Ślady mojej roboty. Zobaczyłem jeszcze tył karetki odjeżdżającej na wszystkich możliwych sygnałach. Potem ekran zajęła twarz Woodey’a, przedziałek na środku głowy mógł służyć za wzór linii prostej, ale krawat był odrobinę przekrzywiony – ten drobnutki szczegół nienachalnie dawał do zrozumienia, że kapitan dopiero co zakończył niebezpiecznym akordem dwuletni prawie pościg za największym mordercą naszego wieku. To musiało zyskać sympatię. I wdzięczność. Zacząłem zastanawiać się, czy przypadkiem nie wiem, o co Woodey’owi chodzi. Potem wyjąłem z sejfu plik kartek, które leżały tam od trzech lat, przejrzałem pobieżnie i poszedłem spać. Chwilę leżałem usiłując przypomnieć sobie jakiś szczegół z ekranu, który wydał mi się nagle dziwny, ale im dłużej zastanawiałem się, tym bardziej płątały mi się ekrany – ten z videofonu i ten z wiadomości. W końcu usnąłem.



Rozdział pierwszy

Obudziłem się przed ósmą. Poleżałem kwadrans w łóżku, mimo że zazwyczaj tego nie robię, zapaliłem papierosa na czczo, choć tego również unikam. Gdybym miał w zasięgu ręki butelkę mleka albo piwo napiłbym się, bo to również wykraczało poza codzienny rytuał, ale musiałbym wstać, a zrywanie się od razu po obudzeniu było właśnie tym, co zazwyczaj robiłem. Leżałem więc i paliłem nie zaciągając się, potem, trzymając papieros pionowo by nie strząsnąć trzycentymetrowego słupka popiołu, wstałem i trzymając obok dłoni doszedłem do popielniczki. Rozejrzałem się po pokoju szukając czegoś, choć nie tylko nie wiedziałem czego, ale nawet nie usiłowałem uświadomić sobie czego szukam. Rzuciłem w przestrzeń kilka słów, za użycie których nie otrzymałbym nagrody Północnego Komitetu Czystości Języka i Kultury Komunikacji Werbalnej i poszedłem do łazienki.

Sumiennie splukałem pod mocnym strumieniem wody cały wczorajszy dzień, dzisiejszy ohydnie fałszywy poranek, ogoliłem się i goły powędrowałem do kuchni. Postawiłem na krążku palnika patelnię, wycisnąłem na nią z tuby kilka kropel tłuszczu, zmieniłem filtr w expresie i wystartowałem z kawą, a potem poszedłem do pokoju i ubrałem się w czyste szmaty. Pierwszą kawę wypilem na czczo; zjadłem usmażone na szynce żółtka. Druga kawa, już bez śmietanki, i drugi uczciwie palony papieros sympatycznie zakończyły śniadanie. Chwilę jeszcze słuchałem Hoyta, a potem wyłączyłem adapter i nie sprząając

naczyń, z teczką, do której wsadziłem wyjęte wczoraj z sejfu kartki i wycinki, wyszedłem z mieszkania.

Pod bramą garażu czekałem prawie minutę, widocznie komputer nie prognozował dzisiaj użycia bastaada i wpakował go gdzieś poza inne wozy. Za to samochód był wypucowany, zbiorniki pełne benzyny i tak dalej, nie przeglądałem do końca dość długiej tasiemki z kodami wykonanych w nocy usług. Rzuciłem teczkę na prawe siedzenie, usiadłem za kierownicą i ruszyłem. Po pierwszych stu metrach zdjąłem dach i jechałem wygodnie rozparty w komfortowym wnętrzu, z łokciem lewej ręki w oknie i głową sygnalizującą absolutną serdeczność. Zresztą mogłem równie dobrze jechać nogami do góry, nikt nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi, takie miasto. Takie czasy, tacy ludzie.

Budynek komendy miejskiej znajdował się na północny wschód od mojego domu, minałem centrum dość luźne o tej porze i zacząłem wspinać się na szereg wzgórz, na których rozsiadła się Dinny Hill, dzielnica prawników. W połowie drogi do najwyższego punktu miasta ulokowała się komenda, obojętne gmaszysko manifestujące swe przeznaczenie kilkudziesięcioma antenami na dachu i nienaturalnie lśniącymi szybami odpornymi na pociski dużego kalibru. Oczywiście okna nie otwierały się nigdy, wydawało się nawet, że szyby wyrastają bezpośrednio z murów, albo mury narosły na szyby.

Wjechałem na parking cywilny, coś kazało mi ominąć obojętnie wjazd na plac, gdzie zazwyczaj parkowałem, dzięki temu musiałem kilkadziesiąt sekund kręcić się między szeregami samochodów jak kulka w multiflipperze.

W końcu znalazłem wolne miejsce i starając się nie tracić wypracowanej pogody ducha poszedłem do odległej teraz o trzysta metrów bramy.

Poddałem swój dobry humor jeszcze jednej próbie meldując się z głupia frant u dyżurnego i pytając, czy zastałem kapitana Woodey'a. Spojrzał na mnie zdziwiony.

– W pierwszej chwili pomyślałem, że to nie pan, a sobowtór. Chyba od trzech lat nie zdarzyło mi się słyszeć pana pytającego o kapitana.

Zawsze wchodzi pan po prostu. Coś się stało, panie Yates?

– Nie-e... Ucharakteryzowałem się trochę i byłem ciekaw czy pan mnie pozna, sierzancie. Idę na górę – odwróciłem się i odszedłem. Cichy trzask klawisza centralki z tyłu upewnił mnie, że sierżant musiał być naprawdę wstrząśnięty moim zachowaniem, miałem nadzieję, że James odczuje to równie głęboko.

Na pierwszym piętrze podszedłem do drzwi z jego wizytówką i stuknąłem dwa razy w miękką wykładzinę. Za trzecim razem palec uderzył w powietrze. Ktoś od zewnątrz szarpnął drzwi.

Gdybym nie oglądał wczoraj prawdziwej furii pomyślałbym patrząc na stojącego w progu Woodey'a, że tak wściekłego faceta w życiu nie widziałem.

– Wejdz, bez cyrku – powiedział, choć słowo „powiedział” było najmniej adekwatnym do tego jęko-stęko-syku.

– Dzień dobry – ukloniłem się i wszedłem.

Gdy usiadłem w fotelu i obejrzałem Woodey'a dokładnie, postanowiłem przestać się wygłupiać. James pochylił się nad mikrofonem komunikatora i trzasnął w jakiś klawisz.

– Jestem w mieście, Gardner, i nie łącz nawet prezydenta – wyłączył mikrofon i szybko zapalił. Ze zdziwieniem zrozumiałem, że nie była to scenka zagrana dla mnie. Wyjąłem paczkę red dromader i zapalniczkę. Kilkanaście sekund pracowicie rozpalaliśmy swoje papierosy. Potem cmoknąłem przez zęby.

– No dobrze, twoje argumenty trafiły do mnie. I zakończmy na tym sprawę – powiedziałem.

– Nie-nie! – zakręcił wskazującym palcem młynka w powietrzu. – Nie mam zamiaru się wykręcać, tylko nie wiem od czego zacząć. E-e-e... – podszedł do stolika, przy którym siedziałem i wpakował się w fotel. Zaciągnął się mocno i od razu zaczął mówić. Małe obłoczki dymu wydobywające się wraz ze słowami z ust zmieniły mu nieco timbre głosu. – Żenię się. To córka lana Ogdena, Audrey – mówił teraz szybko, bez przerw między zdaniem, choć aż się prosiło o nie. – Wiesz kim jest Ogden. Muszę być wysoko punktowany, bardzo wysoko. Właściwie nie

mam szansę na zdobycie tytułu punktu, żeby mógł być zadowolony. To, oczywiście, mam już poza sobą, da mi Audrey niejako awansem. Ale muszę teraz orać w dwójnasób. Jesteś? – użył naszego prywatnego skrótu.

– Jestem, jestem – pokiwałem głową. – Ale mówiłem ci już, że nie potrzebuję wyjaśnień. I tak...

Poczekaj – przerwał i zdusił papierosa w popielniczce. – Wiem jaka jest sytuacja – nakryłeś tego skurwysyna, a ja ci go podebrałem. Tak się nie robi i nigdy bym tego nie zrobił, przynajmniej kiedyś – skrzywił się i ścisnął palce lewej pięści aż trzasnęły stawy. – Ja ją kocham. Nie chodzi mi o miliony jej papcia ani o jego pozycję, przecież nie zeszmaciłbym się aż tak dla zasranej forsy. Ale ona ją ma i dlatego nie wystarczy, że się kochamy, bo ja muszę ją zdo-by-wać. I teraz tak: forsa Odgenowi nie jest potrzebna, więc...

– Więc musisz pomyśleć o awansie – wpadłem mu w słowo. – A wybory tuż-tuż. Lee może zwolnić stołek i pójść wyżej, twój teść mu pomoże, ale ty musisz zapracować na jego stanowisko. Gratuluję, komendancie Woodey.

– Nie dobijaj mnie. Czuję się jak kopnięte w dupę gównem... – zgrząnął moją paczkę ze stolika i zapalił.

– Trzeci raz mówię, skończmy z tym. Mogłem ci powiedzieć, że mam go na szpicie i nie byłoby sprawy. Ja mam do ciebie inną...

– Poczekaj jeszcze! – znowu mi przerwał. Nigdy jeszcze chyba tak nie rozmawialiśmy. – Naprawdę nie mam wyjścia, musiałem to zrobić. Oczywiście pokrywam wszystkie straty – trochę się jakby uspokoił.

– Nie ma strat. Klient pokrył koszty – machnąłem dłonią.

– Jak to? – poderwał się. – Powiedziałeś mi, że to ty złapałeś Chinaglię?

– Tak, ale nie ma problemu. Jemu na niczym nie zależy, została z niego garstka popiołu.

– Kto to? Możesz powiedzieć?

Pokręciłem przecząco głową.

– Po co ci? On nic nikomu nie powie, możesz być spokojny.

– To nawet nie o to chodzi, tylko... Mam na biurku raport – wstał i poszedł do biurka. Musiałem połknąć jakąś wyjątkowo dużą cząsteczkę powietrza, bo utknęła mi w gardle i pęczniała. – O... Millerman! Chinaglia rozszarpał jego córkę. Dzisiaj w nocy popełnił samobójstwo, znasz go – nie odpowiedziałem. – A jego żona parę miesięcy wcześniej. Zostawił list – podniósł jakąś kartkę i rzucił na biurko.

Sięgnąłem do paczki i wyjąłem jednego papierosa, obracałem go bezmyślnie i myślałem, że wczoraj pomyliłem się nazywając George'a dwudziestą ofiarą Chinaglii. Jego żona była dwudziestą, on dwudziestą pierwszą.

– To nie ten? – dotarło do mnie pytanie Woodeya.

Pokręciłem głową, sam nie wiem dlaczego, może nastawiłem się na ukrywanie nazwiska Millermana i ciągle jeszcze działałem według tego programu, jak automat, któremu nie zmieniono dyspozycji.

– Nieważne – James usiadł za biurkiem. – Mówiłeś, że coś masz do mnie?

Patrzyłem na jego super modny krawat z cienkich kółek i zastanawiałem się, czy do tego faceta mogę jeszcze mieć jakąś sprawę. Widać zrozumiał o czym myślę, bo westchnął:

– Nie chciałbym, żeby między nami coś się zmieniło. To, że tym razem podświwiłem nie znaczy, że takim już zostanę. Nawet nie wiesz jak ci jestem wdzięczny, w końcu znasz mnie i wiesz, że stanę na głowie, a odwdziczę się. Masz przed sobą jeszcze kupę spraw, w których znajomy glina przyda się, nie?

– Tak, jasne – postarałem się uśmiechnąć, szczerze. – Masz jeszcze trochę czasu?

– Dawaj. O co chodzi? – był gotów siedzieć ze mną do następnego ranka, poczułem, że przestaje mnie obchodzić cała ta afera z Chinaglią. Sięgnąłem do przyniesionej teczki, ale nie otworzyłem jej od razu, położyłem na kolanach.

– Pamiętasz Yvonne?

Woodey szarpnął głową do tyłu i spojrział na mnie zdziwiony.

– Dlaczego... No, chyba że pamiętam, ale...

– Poczekaj – postukałem palcami w teczkę. – Wiem, że pamiętasz, jakoś musiałem zacząć. W końcu to była moja siostra, bliźniaczka. Rozmawialiśmy dużo o jej śmierci. Wiesz, że pewne rzeczy w tym wypadku nie pasowały mi, ty zresztą też miałeś wątpliwości. Znałeś ją bardzo dobrze, może nie tak jak ja, ale wiedziałeś, że w życiu nie brała do ust dżinu, wolałaby wypić wodę królewską. A sekcja wykazała, że przed wypadkiem, w którym zginęła wypijała trochę jałowcówki, niewiele, ale wypijała. Poza tym w torebce był jakiś klucz, którego nigdy przedtem nie miała i pomadka Hennesey’a. Te trzy rzeczy absolutnie do niej nie pasowały i choć wszystko się zgadzało – odciski palców, zęby, blizna po wyrostku i inne znaki, tak że wykluczony był jakiś sobowtór, do dziś nie opuszcza mnie przeświadczenie, że to nie była ona. Do ciebie też przemawiały te wątpliwości...

– Owen – pochylił się i położył mi rękę na kolanie. – Wtedy... trochę kłamałem, byłeś przybity, załamany. Wolałem jakoś... Może źle zrobiłem, może trzeba było od razu wybić ci z głowy głupie podejrzenia, ale wydawało mi się, że potrzebujesz aprobaty, że nie trzeba cię dodatkowo drażnić wątpliwościami. Zresztą w pierwszej chwili rzeczywiście zastanawiał mnie ten klucz, ale w końcu ona była trzy tygodnie w Brazylii. Skąd wiesz, czy kogoś tam nie poznała, czy się nie zakochała, czy nie zaczęła pić dżinu, bo pił ten facet? Dał jej klucz do swego mieszkania i sprezentował pomadkę, której nie znosiła. Nie musiał jej aż tak dobrze poznać, by wiedzieć, że nie cierpi najdroższych kosmetyków, zgadzasz się?

– Nie znalazłem żadnego faceta – powiedziałem wyraźnie. To samo powiedziałem mu ponad dwa lata temu, gdy wróciłem po dwóch miesiącach gorączkowych poszukiwań w Brazylii.

– To chyba nie wyklucza jego istnienia?

– Prawie wyklucza – uparcie pokręciłem głową.

– „Prawie”! O to właśnie chodzi. Mógł być i z różnych powodów mógł się nie ujawniać. Wystarczy, że jest żonaty, albo wyjechał, a Yvonne nie dała mu swego adresu...

– Dobrze, na razie skończmy z tym, nie chodzi mi o wznowienie

postępowania, a o coś innego. Po tym wypadku... – niechcący położyłem akcent na słowie „wypadek”, James skrzywił się i pokręcił głową jakby patrzył na uparte dziecko – ... spotkałem się jeszcze kilka razy ze sprawami, które zacząłem łączyć ze sobą. We wszystkich chodzi o gwałtowną zmianę ludzi, tak gwałtowną i radykalną, że zastanowiło mnie to. Nagle stawali się całkiem innymi ludźmi, o zupełnie innych odruchach, charakterze, trybie postępowania. W ciągu tych dwu lat uzbierało mi się pięć, a jeśli liczyć Yvonne – sześć takich dziwnych przypadków.

– Cholera, jak na razie nic nie rozumiem. Ale pewnie; coś jeszcze dodasz? – Woodey wstał i podszedł do komunikatora. Pochylił się do mikrofonu.

– Babys? Przynieś mi z bufetu dwie kawy. I Wrócił do swojego fotela i usiadł patrząc na mnie wyczekująco, i Otworzyłem teczkę i podałem mu pierwszą kartkę. Był to wyciąg z kilku artykułów prasowych.

Dyrektor artystyczny Nowojorskiej Opery Państwowej udzielił dziennikarzowi Wocal Arfs Magazine wywiadu, w którym informuje, że w nadchodzącym sezonie wystąpi i w jego operze artysta, którego głos i talent zaszokują słuchaczy i zadowolą najwybredniejszych krytyków. Nie wymienił – na razie – żadnych nazwisk. Krążąca wśród pracowników Opery plotka głosi, że został odkryty nowy talent, który ma szansę przejść do historii światowej wokalistyki i przyćmi takie nazwiska jak Caruso, Szalapin, Holdt, Birkenbach czy Sanin.

Debiut dwudziestoczteroletniego Alexandra Robinsa w najtrudniejszej technicznie operze wszechczasów „Mała fides” Patricka Eastona otworzył mu drogę na sceny najważniejszych teatrów świata! Jeszcze przed pół rokiem technik samochodowy, nie zdradzający przed nikim zainteresowania muzyką, dziś stał się magnesem przyciągającym tłumy do Opery Państwowej. Krytycy jednogłośnie orzekli, iż jego wykonanie partii męskiej, a właściwie dwóch – Biasa i Osso, mimo pewnych uchybień interpretacyjnych jest doskonałe technicznie. Jest chłodne ale i piękne jak

marmur!” – powiedziała Diana Reeves. Sam Robins twierdzi, że miał za mało czasu, by wczuć się w atmosferę abstrakcyjnego utworu, ale obiecuje, że za pół roku nie da się powiedzieć o żadnej stronie jego wykonania gorzej niż: Absolutnie doskonale”.

*Wocal Arfs Magazine;
Lice; Washington Post*

Irang Sanders: Podobno możesz śpiewać bez próby? Wziąć do ręki najtrudniejszą partyturę i nagrywać płytę czy koncertować?

Aleksander Robins: Tak. Czuję nuty i muzykę. Gdy śpiewam wiem, czuję co będzie kilka taktów dalej. Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale tak jest.

I.S.: Ale do „Mała fides” przygotowywałeś się pół roku?

A.R.: Oczywiście, ale to dlatego, że bardzo się bałem, byłem spięty, stremowany. Obawiałem się jakiegoś kiksa. W końcu – debiut!

I.S.: Jak to się stało, że nikt nie wiedział o twym talencie?

A.R.: No, to nie zupełnie tak. Rodzice wiedzieli, ale nie żyją od kilku lat, a popisy przed znajomymi i kolegami z pracy nie miały sensu. Oni wolą muzykę lekką, zresztą ja nie pasuję do nich, nie miałem przyjaciół.

AL ROBINS NIE ŻYJE!

Zaalarmowany milczeniem telefonu i nieobecnością na próbie menager i dyrektor organizacyjny Harold Nelson przyjeżdża do luksusowej willi gwiazdy i znajduje go z czaszką rozłupaną pociskiem z jednolufowego startsuna. W pozostawionym liście Robins pisze: „Mam dość. To też, jak się okazało, nie to. Nie ma sensu dłużej się nudzić. Świat nie może mi dać ni – czego ciekawego. Rezygnuję więc z niego”.

W ostatnim roku Al Robins stał się centralną postacią kilku głośnych skandali – narkotyki, młodzi chłopcy i zgrzybate staruszki na zmianę, kilkanaście groźnych wypadków samochodowych (jedna z ofiar nie żyje). Potężne pijatyki.

*Star’s; Brooklyn Streefs;
For You; Chicago New’s*

Woodey odchylił się w fotelu i spojrzał na mnie. Oczy miał leciutko zmrużone, przetrawiał jeszcze raz moje wypisy z kilkunastu artykułów różnych, bardziej i mniej, poczytnych pism i gazet.

– Spokojny szary facet staje się z dnia na dzień gwiazdą. Nigdy przedtem nie zdradzał żadnych zdolności muzycznych, aż tu nagle olbrzymi talent na miarę wszechczasów! Nieprawda, że zawsze był muzykalny. Jeden z papieraków wygrzebał jego świadectwa ze szkoły, rozmawiał z jego nauczycielami. To był muzyczny matoł, nie głuchy, ale to wszystko. I masz! W ciągu nie wiem jakiego czasu, ale na pewno niedługiego, staje się gwiazdą muzyki poważnej, nawet nie rozrywkowej – tu może wypłynąć bez specjalnego talentu. Coś tu jest nie tak – piasnąłem dłonią o blat stołu. – Nie wierzę w cuda. To może i był Al Robins, ale inny. Nie zdążyłem go dopaść i poprosić o poradę w sprawie przeróbki silnika, a nikt nie wpadł na pomysł, by przepytać go z mechaniki.

– Ty majaczysz! – James patrzył na mnie poważnie. – Stary! Czy nigdy nie słyszałeś o błyskawicznych karierach, ludzie to uwielbiają. Przecież prawie cały życiorys Robinsa mógł być sfabrykowany, facet mógł być absolwentem kilku konserwatoriów – łącznie z paryskim i leningradzkim!

– Nie był! To sprawdzone.

– Owen, nie szalej. Weź walichy i spieprzaj na urlop, bo...

– Zamknij się, kendo murewska! – wrzasnąłem.

– Co?

– Nico! Najpierw przeczytaj wszystko do końca, a potem zacznij się dopiero wymądrzać. Nabrałeś już przykrych nawyków od teściunia, szlag by trafił! Albo pocałuj mnie... – wyciągnąłem rękę do teczki i oparłem się o poręcz fotela, żeby wstać. Woodey skoczył do przodu i uderzył mnie w ramię, opadłem z powrotem na fotel.

– Siedź. Daj te pozostałe rewelacje. Nic już nie powiem – wyciągnął dłoń.

Mruknąłem coś i wyciągnąłem na chybił trafił następną kartkę. Tekst zajmował niecałe pół strony. Chodziło o Henry'ego Luppó.

Drobny złodziej kieszonkowy Henry Luppó poderżnął gardło ósmiu eleganckim prostytutkom. Ciała zamordowanych masakrował następnie brzytwą – rozkrojone piersi, pocięte uda, brzuchy i podbrzusza. Po czterech miesiącach działalności policja znalazła jego ciało w małym zaułku między Pięćdziesiątą Pierwszą i Domonte. Dostał jeden pocisk między oczy. Policja sądzi, że była to robota jakiegoś sutenera, ponieważ Luppó doprowadził do paniki wśród dziewczynek wszystkich kategorii. Być może sprzątnął go po prostu któryś z gangów, któremu nie na rękę była ożywiona działalność policji. Sprawcy nie wykryto.

Kartka opadła na stół, wyciągnąłem erri następną i podałem Woodey'owi.

TRAGICZNA ŚMIERĆ DZIENNIKARZA PETERA GORDENIUSA.

Wczoraj na terenie serpentarium w Popot Cal zginął ukąszony przez jadowitego wężyka pustynnego znany dziennikarz Peter Gordenius. Przybył on tam w związku z serią reportaży o pracy herpatologów i przewidywanym na czerwiec wyjazdem w podróż po największych pustyniach świata. Gordenius miesiąc przed śmiercią poddał się całej serii szczepień przeciw ukąszeniom żmij. Dyrektor ośrodka w Popot Cal oświadczył, że miał miejsce niezwykle rzadki przypadek jednorazowej odporności organizmu na jad. Ukąszenie wężyka spowodowało ustrzyknięcie drugiej (po szczepionce) porcji jadu, która zabiła Gordeniusa. Immunitet Petera Gordeniusa był więc pozorny. Stan zdrowia bez zarzutu, rok wcześniej spędził dwa miesiące w Silver City na Księżycu.

Trzymałem w ręku już następną kartkę i od razu, gdy Woodey przestał czytać, podałem mu ją. Przedtem zerknąłem na początek. Liretta Ney. Najbardziej spektakularny przypadek.

Liretta Ney, dwadzieścia siedem lat. Od trzech lat gwiazda kina. Odtwórczyni głównych ról w jedenastu filmach. Sześć Oskarów i jeden tak zwany Platynowy Oskar ustanowiony jednorazowo specjalnie dla niej za rolę w „Jesiennych dzieciach” Ilforda. Rok temu załamanie nerwowe, dwa skandale zatuszowane przez wytwórnię. Radykalna zmiana charakteru. Dwa filmy – „Messy” i „Jararaca” odbiegają całkowicie od tego co robiła przedtem. Jest apodyktyczna, okrutna, zimna. Straciła trochę starszej widowni, ale zyskała szerokie rzesze młodych cyników i abnegatów. Przedtem skromna i miła, teraz drapieżna wampirzyca.

Czekałem na reakcję Jamesa, ale widocznie postanowił rzeczywiście powstrzymać się od komentarzy aż do przeczytania całości. Podałem mu ostatnią kartkę.

William Champion. Lat szesnaście. Dwudziestego czwartego grudnia, w wigilię Świąt Bożego Narodzenia, wyjechał z kolegą samochodem ojca na starą Drugą Południową Autostradę. Gdy ich wóz wyprzedził samochód dwudziestoletniej Mayleen Tan Li, William pomachał do niej ręką. Dziewczyna odpowiedziała takim samym gestem. Wtedy Champion przestrzelił jej dłoń z harpuna do polowań podwodnych i krzyknął, żeby jechała za nimi. Dziewczyna mając w dłoni harpun połączony linką z samochodem Campiona i jego kolegi, musiała przyspieszyć i pędzić za coraz szybciej jadącymi chłopakami. Bili Champion czuwał by linka była ciągle napięta i poganiał kolegą. W końcu, gdy skręcili w boczną szosę prowadzącą do Falcon, udało jej się zrównać z samochodem Campiona, wybrała trochę luzu i okręciła linkę wokół lusterka, a potem trąciła swoim wozem ich samochód. Champion i drugi chłopak, Keith Barker, uderzyli w drzewo i ponieśli śmierć na miejscu.

– Pf-f-f-uf! – Woodey odłożył ostatnią kartkę i otworzył usta, ale brzęknął sygnał przy drzwiach, które otworzyły się na całą szerokość. Najpierw ukazała się taca z kubkami, a za nią Babys. Wszedł i kopnął

piętą drzwi.

– Czy to ta, którą zamawiałem wczoraj? – zapytał serdecznie Woodey. Wydało mi się, że cieszy go ta chwila przerwy w rozmowie ze mną.

– Szefie, przecież to nie ja robię kawę. Dopóki mieliśmy w barze dziewczyny, zawsze mogłem szepnąć: „– To dla szefa!” i była lepsza, i szybciej. Teraz jest automat, nie ma żadnych priorytetów, a w dodatku ciągle zapominam kupić wcześniej żetony. No i właśnie... – wzruszył ramionami i postawił tacę na stoliku. Jakby bojąc się ewentualnych następnych poleceń szybko odwrócił się i wyszedł. Woodey nalał kawę, podsunął ku mnie śmietankę i cukier. Wsypałem łyżeczkę i zamieszałem.

– No więc słuchaj. Już wiem o co ci chodzi. Wszystkich tych ludzi łączy jedno – raptowna zmiana osobowości” sam to powiedziałeś przedtem. Może z wyjątkiem Gordeniusa, to mi wyjaśnisz za chwilę. Ale tak – potarł nos – co do tej aktorki, to przecież taka zmiana stylu nie jest niczym nowym. Zaczyna się przejadać widzom, więc spece od psychologii wymyślili jej nową twarz i znowu wokół dziewczyny wrze, ludzie walą na filmy, karuzela się kręci, forsa płynie jak woda w Niagarze. Proste. Teraz ten... Champion. Obaj byli pijani. Odbiło chłoptasiom, też nie widzę niczego dziwnego, szczególnie gdy przypomnę sobie Chinaglię. Właśnie, dlaczego nie wpakowałeś go do tego swojego archiwum?

– On był zawsze taki. Gdyby przedtem był przykładnym sprzedawcą lodów z pięcioosobową rodziną to byłby Numer Jeden mojego dossier.

– A-a... No dobrze. A ten śpiewak?

– Widzę, że nic nie zrozumiałeś – dopiłem kawę jednym łykiem i zebrałem kartki. Złożyłem je porządnie na blacie i włożyłem do teczki. Czekałem, że James coś powie, przerwie moje pakowanie, ale on milczał. – Wiesz co ich wszystkich łączy? – wstałem z fotela i patrzyłem na niego z góry. Wszystkie te dziwne zmiany tłumaczyłaby świetnie zamiana osób. Z potulnego chłopca na rozwydrzonego sadystę, odpornego na ukąszenia dziennikarza na niezaszczepionego dublera, aniołka ekranowego na wampa...

– Dziewczyny z awersją do dzinu na jego amatorkę? – dokończył za mnie.

– Właśnie tak. A cholera wie, ile przypadków przeoczyłem. Ale to niemożliwe, nie może istnieć tylu dublerów absolutnych, z odciskami palców i tak dalej.

– Sam sobie przeczysz, Owen.

– Pozornie. Po prostu jeszcze nie wiem co jest co, kto jest kto, gdzie jest gdzie i jak to połączyć.

– Będziesz to prostował?

– Nie wiem. Myślałem...

– Ja nie mogę. To jest zbyt szalone, a poza tym moim zdaniem nie masz tym razem racji. Powtarzam, że dobry urlop by ci nie zaszkodził.

– Może i masz rację – wyciągnąłem do niego dłoń. – Pozdrów ode mnie narzeczoną. Cześć! – trzymał jeszcze moją rękę, ale ją wyciągnąłem i wyszedłem z gabinetu.

Nie czekałem na windę, zbiegłem po schodach i skierowałem się do wyjścia na parking służbowy. Dopiero w drzwiach zorientowałem się, że dzisiaj zaparkowałem gdzie indziej, strzeliłem palcami i odwróciłem się od drzwi. Od strony hallu nadchodził Anderson, na mój widok uśmiechnął się szeroko. Jak na Murzyna miał fatalne zęby.

– Dawno nie było pana u nas – powiedział wyciągając wąską, długą dłoń.

– Miałem trochę roboty, wy chyba zresztą też – ścisnąłem mocno rękę najlepszego kierowcy w tej części stanu.

– E-e! – Machnął ręką. – Szef daje mi popalić. Ganiamy jak wariaci. Co gorsza – ściszył trochę głos – rzadko w sprawach służbowych. Od pół roku, od tego pościgu za Pończochą, kapitan jest napięty jak cholera. Teraz jeszcze ta laleczka... Nie ten facet. Ciągłe zdenerwowany, z byle powodu wybucha, wrzeszczy. Mnie to na razie omija, ale reszta chodzi miękko jakby sobie jajka poobcierali. Ostatnio byliśmy na przeglądzie, to jak jakiś porucznik wrzasnął „Bacność!” kapitan aż podskoczył. Zaplątał się chłop – znowu machnął ręką.

– Nic mu nie będzie. Już niedługo wszystko się ułoży – klepnąłem go

w ramię i zrobiłem krok by go wyminąć.

– Miejmy nadzieję.

Poszliśmy każdy w swoją stronę, wóz, wbrew obawom, znalazłem od razu, wsiadłem i ruszyłem w stronę swego biura na West Road. Zaparkowałem na szerokim chodniku i wszedłem w bramę mijając po prawej stronie szarą tabliczkę z napisem „Owen Yates. Sprawy kryminalne”. Kiedyś, wieszając ten napis sądziłem, że brzmi to lepiej niż „Prywatny detektyw”. Myliłem się.

Dekonsor otworzył drzwi, wszedłem i zdjąłem z nich skrzynkę na korespondencję. Z teczką pod pachą i kasetką w ręku poszedłem do biura. Przywitał mnie tygodniowy kurz i zapach stęchlizny pasujący do składu trumien. Kilkakrotnie usiłowałem pozbyć się tego zapachu, ale nowe podłogi i świeże farby nasiąkały najpóźniej po pół roku starym smrodem. Przekręciłem do oporu regulator represera, startłem papierowym ręcznikiem kurz z biurka i włączyłem odkurzacz. Gdy ruszył powoli zostawiając po sobie wyraźnie jaśniejszy ślad na podłodze usiadłem w fotelu i zacząłem przeglądać pocztę. Znalazłem w niej czek na trzydzieści dolarów, ostatnią ratę pewnej staruszki, której rok temu odnalazłem synalka wśród mętów Siciliano. W krótkim liściku zawiadamała mnie, że chłopak się ustatkował, pracuje i czule opiekuje się matką. No i dobrze. Potem wyłuskałem z kopert dwa rachunki za czynsz i energię lokalu biura. Wypisałem czek na brakujące czterdzieści dolarów i oba rachunki i чеки wsunąłem w szczelinę minikompa. Po sekundzie otrzymałem potwierdzenie przelewu i spokojnie przejrzałem resztę poczty. Reklamówki, propozycje i list bez adresata. Rozerwałem kopertę i rzuciłem okiem na podpis. Zobaczyłem duże G i ostre, spiczaste litery układające się w słowo Millerman. Ostrożnie nabrałem powietrza w płuca i zacząłem czytać.

Czynię cię jedynym moim spadkobiercą. Adwokat wypłaci ci całą forszę po odliczeniu kosztów pogrzebu i utrzymania przez jakiś czas grobów. Możesz zrobić z tą forszą co chcesz, choć wolałbym, byś nie przeznaczzał jej na jakieś cele dobroczynne, tylko po prostu pracował tak jak dotychczas. Jeżeli uda ci

się choć odrobinę poprawić ten świat, warte to będzie dużo większych pieniędzy niż te, które ci zostawiam. Nie złość się na mnie.

G. Millerman.

Patrzyłem na szeregi równych słów, nie było ich więcej niż siedemdziesiąt, każde samo w sobie niewinne albo przynajmniej obojętne, a w tym zestawieniu, w tej fatalnej sekwencji zimne i przygnębiające. Położyłem kartkę na blacie stołu i sięgnąłem do szuflady, wyjąłem swojego ogromnego Doktora Maxa i puszkę Duke of Eternity. Nabiłem fajkę i rozpałem. Okruchy tytoniu z biurka zmiotłem dłonią na podłogę i kopnięciem zawróciłem odkurzacz. Połknął śmiecie i wrócił na trasę. Kłęby dymu falując płynęły nad biurkiem, opadały niżej i wyciągając się w wąskie pasy wpadały w szczelinę wyciągu. Dzwonek przy drzwiach dotarł do mnie stłumiony i jakiś bezbarwny. Wstałem i poszedłem otworzyć. Odsunąłem wiszący na drzwiach kalendarz i zerknąłem przez okienko, od korytarza spełniającego funkcję wizytówki. Stał tam listonosz. Nie znałem ani jednej osoby, która wolałaby żywego posłańca od błyskawicznej poczty. Na wszelki wypadek wsunąłem ręką do pustej kieszeni i otworzyłem drzwi.

– Expres, proszę pana – powiedział chłopak i wyciągnął rękę z małą kopertą.

Wziąłem ją i podpisałem pokwitowanie. Młodziak odwrócił się i zniknął z pola widzenia. Wróciłem do biura. Rozdarłem kopertę i spojrzałem na tekst napisany przez dyktafon.

Szanowny Panie. Trzy dni temu dzwoniłam do Pana. Chcę Pana zaangażować do wyjaśnienia sprawy śmierci mojego męża Petera. Zapewne zna Pan sprawę z prasy, zależy mi na wyjaśnieniu do końca wszystkich okoliczności. Proszę o telefon. Przez cały dzień będę w domu.

Pod spodem autorka złożyła podpis matowosrebrnym atramentem –
Pyma Gordenius.

Pochyliłem się nad minicompem i wywołałem rozmowy telefoniczne. Pierwsza, sprzed trzech dni, była tą, o której mówił list.

– Mówi Pyma Gordenius. Proszę o jak najszybszy kontakt ze mną. Mam dla pana poważne zadanie. Cena nie gra roli. Do zobaczenia.

Wyłączyłem minicomp i zastanawiałem się chwilę. Gdyby Pyma zadzwoniła dzisiaj, zbieg okoliczności byłby co najmniej zastanawiający, na szczęście dzwoniła trzy dni temu, a więc wtedy, gdy nikt nie mógł wiedzieć, że ruszę swoje dossier. Wsunąłem list Pymy z cienkim paskiem magnetycznym na górze w szparę telefonu. Po trzecim sygnale ktoś podniósł słuchawkę. Powiedziałem:

– Tu Owen Yates. Chciała pani ze mną rozmawiać?

– Tak. Może pan przyjechać do mnie? Oczywiście koszty – od tej chwili pokrywam ja.

– Nie jestem pewien, czy podejmę się tego zadania – powiedziałem wolno.

– Jest pan zajęty? – wzruszył mnie zawód w jej głosie.

– Nie, ale uważam, że zasłużyłem sobie na prawo wyboru spraw.

– Ta nie jest sprawą dla byle kogo – usłyszałem w słuchawce.

Przez sekundę miałem ochotę zaproponować jej włączenie videofonów. Musiała mieć taki, skoro miała samopiszzącą maszynę, ale w końcu nie powiedziałem nic na ten temat.

– Pani wybór schlebia mi. Będę za dwadzieścia minut.

– Czekam.

Wysłuchiwałem się chwilę w miękkie krótkie sygnały, po czym położyłem słuchawkę w gniazdo. Jeszcze raz sprawdziłem datę i godzinę pierwszego telefonu Pymy Gordenius, schowałem list George'a do szuflady i wyszedłem z biura.

Musiałem oczyścić szyby wozu z plików reklamówek powtykanych za obie wycieraczki, wyrzuciłem je nie czytając, jak wszyscy, i ruszyłem w kierunku Bramy Zachodniej, prowadzącej do Corrietta, taką trasę nakazał pilot, do którego włożyłem list Pymy z paskiem adresowym.

Oczywiście pilot wybierał trasę najkrótszą, co nie zawsze jest prawdą, wrąbałem się w parę korków w centrum i spędziłem pół godziny

w cieniu wieżowców biurowych. Cierpki odór benzydolu zmusił mnie do zamknięcia dachu i włączenia filtrów powietrza, siedziałem w akwarium widząc, jak po chodnikach przemykają nieliczni piesi przyciskając do ust i nosów chusteczki. Sprzedawca w kiosku szybko włożył maseczkę i wrzucił na ekran nad sobą odpowiednio zachęcający napis. Kilkanaście osób skorzystało z możliwości i odmaszerowało z żółtym tamponem na twarzy.

Przypomniałem sobie Karla, wściekającego się na widok olbrzymich pylonów pokrytych chromowaną powłoką, których naelektryzowana powierzchnia ściągała kurz i zanieczyszczenia. Uważał, że powinno się powietrza nie zanieczyszczać, a nie najpierw zabrudzić do granic możliwości, a potem oczyszczać. Nie mógł pojąć, że instalacja filtrów jest sprawą przedsiębiorcy, a czyste powietrze – obywateli czyli państwa. Dlatego miasta naszpikowane są gigantycznymi srebrnymi kolumnami, po których w tę i z powrotem jeżdżą pierścienie ssaw. Podobnie rzecz się miała z benzydolem, który zastąpił benzynę. Miał nie zanieczyszczać powietrza, co właśnie odczuwałem na własnej skórze. W końcu kilka patrolerów policyjnych i helikopter rozładowały Middle Street i wyjechałem na Dziewiętnastą, po kilku minutach byłem już na moście zwanym Bramą Zachodnią, zatrzymałem się przy szlabanie, wrzuciłem pół dolara w szparę automatu i wyjechałem na szosę prowadzącą do Corrietta.

Prócz mnie nie było na niej nikogo, wcisnąłem pedał gazu i z przyjemnością wciągnąłem w płuca dużo czystsze powietrze. Z prawej i lewej strony ciągnęło się największe, jakie widziałem w życiu, pole kukurydzy, poprzecinane tylko co kilkaset metrów drogami. Raz, prawie na horyzoncie, mignął silos, a po chwili nad szosą przeleciał helikopter. Pilot nie wyłączył rozpylacza, musiałem wyhamować i pozamykać okna, wjechałem w lekką mgiełkę i włączyłem wycieraczkę. Gdy po prawej zobaczyłem motostację na wszelki wypadek zjechałem w odnogę i przejechałem tunel myjni. Minęła godzina od rozmowy z Pymą Gordenius, zanim dotarłem do rozległego eleganckiego osiedla i znalazłem jej dom na rogu dwóch uliczek porośniętych gęstymi

krzewami serpium. Gdy wyszedłem z samochodu, stała już na małym ganku i czekała z ręką na klamce. Zatrzymałem się przed schodkami. Chwilę oglądaliśmy siebie nawzajem, ja miałem najlepszy widok na jej szczupłe, długie nogi i niespecjalnie zajmowałem się resztą. Ona musiała dobrze obejrzeć moją łysinkę na czubku głowy, a więc zaprezentowaliśmy się z zupełnie różnych stron. Chyba zaakceptowała mnie, bo powiedziała:

– Może wejdziemy? – ruszyła przodem, dzięki czemu mogłem jeszcze raz obejrzeć jej figurę, tym razem z tyłu i ponownie uznałem, że stwórca nie ma tu już nic do roboty. Weszliśmy do dużego livingu z olbrzymim telewizorem na całą ścianę. Półokrągła kanapa ze stolikiem w środku i kilka lekkich krzesełek poustawianych tu i tam dopełniała umeblowania. Jednej ściany nie było, wchodziło się przez nią do kolorowego ogrodu, może zbyt pstrego jak na mój gust, ale nie czułbym się źle na leżaku z widokiem na całą masę kwitnących kwiatów. Pyma wskazała ręką kanapę, a sama wyszła na chwilę. Gdy wróciła, miała na sobie inną sukienkę, dłuższą i bardziej stonowaną. Przechodząc obok telewizora wzięła do ręki sterownik i usiadła naprzeciwko mnie. Wcisnęła dwa klawisze, na kolorowy widoczek z ogrodu nasunęła się błyszcząca szyba, a z drugiej strony, chyba z kuchni, wtoczył się spory barek i zatrzymał obok Pymy. Szyba miała kilka zamocowanych na ramie minigeneratorów drgań wykluczających podsłuch laserem, a barek mógłby obsłużyć przyjęcie z wolnym wstępem w Parku Napoleona. Wyglądało, że dziennikarze zarabiają u nas więcej niż detektywi. Otworzyłem usta, ale nie zdążyłem wydać dźwięku.

– To Peter. Jesteśmy bogaci, więc kupował każdą zabawkę jaka pokazała się na rynku. Mamy dom, w którym wszystko się porusza i pozornie ułatwia życie, a kupowałyby następne gadgety, gdyby żył. Na pewno spędziłby godzinę przy pana wozie – sięgnęła do dolnej części bufetu i wyjęła dwie wysokie szklanki.

– Chyba nawet dłużej. Ten wóz ma parę ciekawych drobiazgów, to niezbędne w mojej pracy – delikatnie przypomniałem jej o celu wizyty.

– To jasne. Martini? – podniosła butelkę i spojrzała na mnie pytająco.

– I parę kropel rumu, dziękuję – zatrzymałem ją, bo łała bez umiaru. Sobie naląła dwie trzecie Campari i dopełniła wódką. Stęknąłem w duchu.

– Chcę, żeby pan wyjaśnił sprawę śmierci Petera – powiedziała i odstawiała niespodziewanie szklankę na stół.

A co w niej jest niejasnego? – sięgnąłem do termosu z lodem i nacisnąłem dwa razy przycisk. Cztery małe kosteczki lodu wyskoczyły ze szczeliny i wpadły do podstawionej szklaneczki.

– Wszystko. Nie wierzę w ten jednorazowy immunitet! – powiedziała zdecydowanie, choć wydawało mi się, że słowo immunitet sprawiło jej trochę kłopotu. Mnie też drętwieją wargi po kilku głębszych.

– Według specjalistów jest to możliwe – powiedziałem wolno.

– Podobno. Ale wiem, że Peter był bardzo ostrożny i te jego szczepienia znowu poprzedzone były wieloma badaniami. Nie wiem dokładnie jakie to były testy, Peter nie zwierzał mi się ze wszystkich swoich spraw. Nie ma co się czarować, dawno już nasze uczucia spłowiły i wyblakły, ale wiem, że jeździł kilka razy do miasta właśnie po to, by się wszechstronnie zbadać.

– A kto i po co miałby go zabić? Można? – wyjąłem papierosy.

Skinęła głową.

– Niech pan mnie też poczęstuje.

Wyciągnąłem ku niej paczkę i podałem ogień. Zapaliłem sam i czekałem na odpowiedź.

– Peter wpadł na trop jakiejś afery związanej z Donaldem Inglehardtem.

Wyciągnąłem wargi i cmoknąłem.

– Przemysł papierniczy, przeróbka celulozy, paręnaście platform wiertniczych. W sumie pół miliarda dolarów.

– Tak, tyle wyliczył też Peter. Miesiąc przed śmiercią, akurat w trakcie tych szczepień powiedział, że gdyby chciał, Inglehardt oddałby mu bez zmruczenia oka jedną trzecią swej fortuny. Ale dodał, że nie ma zamiaru pozwolić tak tanio wykpić się temu draniowi. Na pewno go nie szantażował, po prostu Inglehardt musiał zwąchać sprawę i nasał na

Petera mordercę.

– Czy pani mąż mówił komuś, prócz pani, nad czym siedzi?

– Nie sądzę, mnie też nic by nie powiedział, ale czuł się źle po szczepieniu i wypił za dużo, nigdy nie pił, bo miał słabą głowę, a wtedy pofolgował sobie i stąd ta informacja. Ale wiem, że był kilka razy u Inglehardta, pozorował wywiad i węszył. I... – zawiesiła głos. – Nie... To później. Najpierw niech pan zacznie, a potem pokażę panu coś. Na razie to nie jest ważne, ale za parę dni może się przydać. Zgoda?

– Wolałbym to coś zobaczyć już teraz – powiedziałem patrząc jej prosto w oczy.

– Nie mam tego w domu. Może jutro? Ale to naprawdę nie jest aż takie ważne, tylko dowód, że Peter miał coś na Inglehardta. Przecież dzisiaj może pan założyć, że to pewnik, prawda?

– Mogę. Dobrze – wstałem z kanapy i zgarnąłem ze stolika zapalniczkę. Papierosy zostawiłem Pymie. – Coś jeszcze? – pokręciła przecząco głową. – Moje honorarium wynosi pięćdziesiąt na dzień...

– Dam panu więcej – przerwała szybko.

– ... i pięćdziesiąt procent premii od całej sumy w razie, pomyślnego wywiązania się z zadania. W tym przypadku za pomyślne uważam również udowodnienie, że pani mąż zginął przypadkowo, rozumiemy się?

– Tak. Zgoda. Kiedy pan zacznie?

– Zacząłem, gdy wyjechałem do pani z mojego biura. W moim minicompie już stuka licznik na pani nazwisko.

Potrząsnęła głową i uśmiechnęła się po raz pierwszy. I Wstała i ujęła prawą ręką lewy łokieć.

– Nie jest pan filantropem – stwierdziła, ciągle się uśmiechając.

– O nie! Nie wierzę w filantropię, pozwolic sobie na to mogą tylko bogaci, a ponieważ jest ich niewielu – nikt nie przyznaje się do bogactwa – to i korzyść z tego niewielka. Raczej już wolałbym być Robin Hoodem – zmarszczyła brwi, więc dodałem: – To taki szlachetny zbój, grabił bogatych i rozdawał biednym. Miał podobno niezłe wyniki. I również czasami wyjaśniał kryminalne zagadki – mrugnąłem lekko, ale

Pyma jakby przypomniała sobie, że jest wdową i właśnie wynajęła faceta, by odnalazł morderców męża. Spoważniała i na moje mrugnięcie zareagowała jak murowana ściana, to znaczy nijak.

Poszedłem do wyjścia pierwszy, choć czekałem dość długo na nią, chciałem jeszcze raz sprawdzić, czy się nie pomyliłem w ocenie sylwetki. I – Zadzwoń jutro – powiedziałem otwierając drzwi. – Ma pani cerbera? – wskazałem mały słupek przy ścianie. Tak najczęściej, ku zadowoleniu złodziei, maskowano automaty strażnicze. Gordenius nie za bardzo się wysilił.

– Tak, ale sama się go boję. Włączam tylko na noc i chowam się w sypialni – usłyszałem z tyłu.

– Aha. Do widzenia – zszedłem ze schodów.

Nie słyszałem trzasku drzwi, dopiero gdy minąłem furtkę szczęknął zamek. Wsiadłem do samochodu, nie spiesząc się uruchomiłem silnik, odczekałem parę sekund i nie widząc już powodu by nie jechać, ruszyłem do miasta.



Rozdział drugi

Park Południowy jest najstarszym parkiem w mieście. Zajmuje połowę powierzchni parku Napoleona, ale tamten założony trzydzieści lat temu na miejscu dawnych murzyńskich slumsów, był po prostu ohydny, ogromnym skwerem z szybkoorosnącymi topolami i sztucznie nieregularnymi trawnikami, natomiast w Południowym rządziła rzeczywiście przyroda, choć nie była to zasługa wyrafinowanego smaku ogrodników, a chudej kiesy miejskiej.

Wahałem się, gdzie zaparkować wóz; na obrzeżu parku i wykonać mały spacer czy wjechać głębiej i załatwić szybciej sprawę. W końcu zwyciężyły względy estetyczno-zdrowotne i zrobiłem prawie kilometr na piechotę zanim znalazłem się w pobliżu niewielkiego jeziora w zachodniej części parku.

Usiadłem na ławce i zarzuciłem ręce za jej brzegi. Aleja była zupełnie pusta, zawsze było tu pustawo, rano matki i niańki z dziećmi zostawały bliżej parkingów, wieczorem nikt rozsądny nie zapuszczał się w głąb ścieżek, a po południu był pusty po prostu dlatego, że nikomu nie przychodziło do głowy iść do parku. Siedziałem chwilę, potem wstałem, szybko ruszyłem do skrzyżowania i skręciłem w prawo! Po kilku krokach wskoczyłem w gęste krzewy obok ścieżki i przypadłem do ziemi. Parę sekund później usłyszałem za rogiem szybkie miękkie kroki, ich rytm uległ znacznemu zwolnieniu tuż przed zakrętem.

Zobaczyłem przez gęste gałęzie wąskie nogawki szarych spodni w drobną kratkę i kamasze na grubej portalowej podeszwie. Nogi po

kilku krokach runęły do przodu, odczekałem chwilę i nie kryjąc się zbyt długo wylazłem z krzaków. Wróciłem do skrzyżowania, skąd przyszedłem i skręciłem w prawo. Aleja prowadziła tu brzegiem małej zatoki jeziora, spojrzałem na drugi brzeg, gdzie chudy przyszedł, którego zauważyłem już w mieście zawrócił i poszedł szybko z powrotem. Zawróciłem również, – wymacałem w kieszeni klucz do mieszkania, zacisnąłem go w garści i poszedłem wolno na spotkanie „przylepki”.: Spotkaliśmy się na „mojej” alejce, chudy wypłosz z usianą wągrami twarzą przeszedł obojętnie obok mnie patrząc na powierzchnię wody. Pół kroku za nim odwróciłem się i trzasnąłem go końcem klucza w kregosłup, i a gdy jęknął i obiema rękami chwycił się za bolące miejsce, wygięty tak jak sobie wymarzyłem, lewą nogą zablokowałem mu stopy i mocno pchnąłem do przodu. Runął na asfalt alejki lepiej nawet niż się spodziewałem, trzasnął krostami o podłoże i znieruchomiał. Zawróciłem jeszcze raz i tym razem już bez przeszkód dotarłem do małego placu nad brzegiem jeziora. Skręciłem do kiosku z maicornem. Zanim tam dotarłem złożyłem w małą kosteczkę pięćdziesiątkę i owinąłem jednodolarówką. Podałem zwitek sprzedawcy.

– Podwójna – powiedziałem.

Skinął głową i podał mi dużą torbę z pokarmem dla łabędzi. Wziąłem ją i gryząc napęczniałe słodkawe ziarna kukurydzy poszedłem po dróźce wiodącej dookoła bajorka. Ławki stały tuż nad wodą i na jednej z nich, trzeciej z kolei, siedział wychylony w kierunku wody mężczyzna i rzucał pokarm zacumowanym tuż przy brzegu pięciu łabędziom. Usiadłem na drugim końcu ławki i również sypnąłem hojnie z torby.

Dwa najbliższe łabędzie podpłynęły i nie śpiesząc się, spróbowały mojej kukurydzy. Płynęły bezszelestnie i tylko dlatego usłyszałem cichutkie:

– Witam. Czego potrzebujesz?

Rozejrzałem się dookoła i rzuciłem okiem na rzadkie krzaczki jakieś pięćdziesiąt metrów za nami.

– Donald Inglehardt. Co u niego może śmierdzieć. Peter Gordenius, dziennikarz. Umarł niedawno od ukąszenia jakiejś żmii. I co ci dwaj

mogą mieć wspólnego.

Sypnąłem jeszcze raz łabędziom maicornu i przesunąłem paczkę z małą kopertą na dnie w stronę Langa.

– Jedna porcja wystarczy? – zapytałem wstając z ławki.

– Tak – szepnął. – Mnie już dużo nie trzeba.

– I dalej nie chcesz spróbować się leczyć?

– Daj spokój, Owen. To już dawno nieaktualne. Cześć – cisnął kilka białych pęcherzyków, ale łabędzie widocznie najadły się już, bo odpływały statecznie i nie rwały zauważyć nowej porcji smakołyku.

Nie namawiałem go dłużej, sam wiedziałem, że jedyne co może mu teraz zaszkodzić, to brak narkotyku. Wracalem tą samą alejką, przyszedł pozbierał się już i zniknął, może ktoś mu pomógł, w każdym razie aleja była pusta. Wróciłem bez przeszkód do samochodu i pojechałem do centrum. Zjadłem obiad w barze „Wszystko za dolara”, świetnej pułapce dla naiwnych, gdzie rzeczywiście można było zjeść świetny stek za dolara co wprawiało zazwyczaj w znakomity humor, ale ponieważ rzeczywiście wszystko: telefon, piwo i WC kosztowało tyle co stek, prawie nikomu nie udawało się wyjść nie zostawiając w kasie siedmiu-ośmiu dolców. To znaczy tyle, ile kosztował obiad w średniej klasy restauracji.

Wyszedłem z baru z wykałaczką w ustach i chwilę rozmyślałem stojąc oparty o dach samochodu. Zmieniłem wykałaczkę na papierosa i w połowie jego długości postanowiłem odwiedzić Donalda Inglehardta. Wsiadłem do bastaada i wywołałem swój minicomp. Czekałem pół minuty zanim się zgłosił, kazałem mu odszukać adres Donalda Inglehardta i znowu czekałem. Nagle uprzytomniłem sobie, że dzięki Georgowi jestem umiarkowanie bogaty i śmiało mogłem wejść w sieć federalną i otrzymać adres błyskawicznie. Jakoś mnie to nie ucieszyło. Czekałem grzecznie aż na ekran wypełzył sznureczek żółtych literek: „Donald Inglehardt. Potok Ślimaka, Massenis”. Jednocześnie pilot poczęstował mnie najkrótszą trasą do Massenis i posiadłości Inglehardta.

– Tak – tak! Jedź sam – powiedziałem głośno. Pochyliłem się nad ekranem i wybrałem inny wariant. Potem z ciekawości kazałem podać sobie trasę dłuższą od najkrótszej o trzydzieści procent i ta była całkiem

niezła, odzyskałem trochę zaufania do pilota i ruszyłem przez całe kłębowisko bocznych, ciasnych uliczek, by wygrzebać się w końcu na najstarszą drogę wylotową miasta. Nie znaczyło to, że była w złym stanie, nie, nawierzchnię miała idealną, pasy o różnych prędkościach wyłożone były różnokolorową masą. Wskoczyłem na żółty i pogałem drogą milionerów do Massenis.



Rozdział trzeci

Posiadłość Inglehardta znalazłem bez trudu, takie rzeczy mają tę przyjemną właściwość, że znajdują się w dość dużej odległości jedna od drugiej, domy nie stykają się z innymi, wzrok sięga daleko, a rezydencja Inglehardta w dodatku leżała w dolinie, tak że gdy tylko wjechałem na jakieś wzgórze zobaczyłem w dole strumień, rzeczywiście na pewnym odcinku wijący się jak muszla ślimaka. Dom jednym bokiem wychodził na strumień, był to krótszy bok prostokąta, a miał, jak mi się z tej odległości wydawało, wymiary boiska piłkarskiego. Z tyłu zobaczyłem szereg garaży, w których pomieściłyby się chyba wszystkie tegoroczne modele firm całego świata. Od frontu był tylko trawnik i, oczywiście, basen. Wymiary obu były dostosowane do domu, po przepłynięciu jednej długości miałbym kłopoty z pokonaniem trawnika, ale kilka figurek siedzących na brzegu nie sprawiało wrażenia tak zmęczonych życiem jak ja. Wyłączyłem silnik i na luzie zjechałem ze wzgórza. Zatrzymałem się przed bramą, wyjąłem ze skrytki nową paczkę papierosów, zapaliłem jednego i wysiadłem. Chociaż brama i ogrodzenie nie budziły szacunku swym wyglądem, od razu przeszły mnie ciarki na myśl, co musiały kryć w sobie lekkie słupki nie szpecące widoku na posiadłość i cieniutka siatka między nimi rozpięta. Podeszedłem do bramy i wcisnąłem klawisz wywołania.

– Potok Ślimaka. Słucham? – powiedział miły dziewczęcy głos.

– Owen Yates. Chciałbym porozmawiać z panem Donaldem Inglehardtem. Sprawa prywatna. Krótco – dodałem po chwili, bo głos wciąż milczał jakby na coś czekał.

– Chwileczkę.

Dostrzegłem jak jedna z postaci nad basenem, facet o najbujniejszej srebrnej czuprynie jaką widziałem w życiu, podniósł coś do ucha i po chwili położył na stolik z powrotem.

– Proszę wejść – uprzejmie ćwierknął głosik i otworzyło się lewe skrzydło bramy.

Minąłem obojętnie rozsiane po całej futrynie, jak ćwieki na pasie rycerza, czujniki i analizatory i wszedłem na trawnik. Nie było tu żadnej ścieżki, tylko droga dla samochodów, szedłem po trawie zastanawiając się jak udaje im się uniknąć wydeptania ścieżki. Dopiero nad samym basenem pomyślałem, że wystarczy co jakiś czas przesuwać bramę w bok, a potem dotarło do mnie jeszcze inne? rozwiązanie – nikt tu nie wchodził na piechotę. Tak przynajmniej wyglądało towarzystwo nad basenem. Siwowłosa powstał i zrobił dwa kroki w moim kierunku, o jeden krok więcej zrobił niski Japończyk siedzący w pełnym słońcu trochę dalej i jedyny wśród nich ubrany.

– Inglehardt – powiedział Siwy Gołąb i wyciągnął do mnie rękę.

– Owen Yates – uściśnięciem dłoni warta jakieś pięćdziesiąt milionów. – Chciałbym z panem chwilę porozmawiać – dodałem rzucając wymowne spojrzenie na dom.

– Zgoda. Pozwoli pan, że przedstawię... – omiótł ręką resztę towarzystwa. – Moja prawa ręka w interesach i przyjaciel domu Percy Farrel – czerstwy facet z twarzą koloru spizgu skinął lekko głową nie podnosząc się z fotela. – Córka Mildred – spojrzałem w tył, właśnie wychodziła z basenu i poczułem się brudny, śmierdzący i stary. Wcielenie niewinności, młodości, uroku, piękna i powabu pomachało do mnie ręką i wykonało skok do basenu. Skok na szczęście niezbyt udany, co pozwoliło mi otrząsnąć się z oszołomienia. – I moja żona Angela – zza kwiecistego parawanu wyszła kobieta, która na pewno nie dawała odpocząć całej armii kosmetologów, chirurgów i masażystów. Twarz miała bez jednej zmarszczki, bujny biust jak dwie skały, wypełnione co prawda silikonem; niedbale rozwichrzone włosy, która to nonszalancja kosztowała fryzjera kilka godzin ciężkiej harówki, a jej męża kilka setek. Najgorzej przedstawiały się nogi, skóra na nich co prawda

była również napięta i gładka, ale tylko, opalenizna maskowała kunszt chirurgów, z kolei ultrafiolet wysuszał skórę i powodował jej wiotczenie, Angela nie wyglądała jednak na załamana tym cirkulus vitiosus. Podniosła do góry prawą rękę z okularami słonecznymi i majtnęła nią dwa razy, skłoniłem się lekko.

– A to Himarulase – odwróciłem się do Japońca i powiedziałem:

– Najdroższy prywatny nauczyciel karatematsu, dżudo i paru innych sposobów błyskawicznego obezwładniania. Mam nadzieję, że mnie pan polubił – uśmiechnąłem się do niego. Po sekundzie zwrócił mi leciutkie drgnienie warg.

– A pan jest... Chwileczkę! – Inglehardt podniósł do ucha małą słuchawkę i słuchał chwilę. – Prywatny detektyw – oznajmił dość głośno i odłożył słuchawkę. – Współpracujący, co dziwniejsze, z naszą policją, być może dlatego, że zna dobrze kapitana Woodey’a. Tyle na razie – wskazał mi ręką fotel i sam opadł w swój. Przesunąłem się trochę, by być w cieniu i powiedziałem:

– Nie musiał pan sięgać do komputera. Powiedziałbym to sam.

– A kto panu mówi, że do komputera? Zrezygnowałem z tego parę lat temu. Człowieka nic nie zastąpi, komputer nic nie kojarzy, chyba że ma potworną pamięć. Nie mówię, że z niego nie korzystam, ale te akurat dane pamięta moja sekretarka, dopiero resztę będzie ściągała z banku. Ale do rzeczy...

– Wolałbym porozmawiać z panem na osobności – patrzyłem na Mildred tnącą gibkim ciałem wodę i nie mogłem się za cholerę skoncentrować.

– No to proszę – wstał i poszedł pierwszy w kierunku domu.

Pospieszyłem za nim rzuciwszy lekki ukłon reszcie i osobny Himaru. Dogoniłem gospodarza po kilku krokach i dalej szliśmy razem, nie lubię iść za kimś, nawet jeżeli owiewa mnie przy tym wyraźny zapach dolarów. Weszliśmy do olbrzymiego i pustego hallu, Inglehardt ruszył w lewo, ja za nim. Trącił jedno z drzwi i zobaczyłem gabinet. Byłem mile zaskoczony jego rozmiarami i wyglądem. Spodziewałem się małej salki do badmingtona, zastałem przytulny pokój z gablotami

pokrywającymi wszystkie ściany. Za szybami stało parę tysięcy figurek wyrzeźbionych chyba we wszystkich możliwych I, surowcach.

– Słucham – Inglehardt usiadł w starym massney’u, narożnym fotelu sprzed chyba dwustu lat, palcem wskazywał stojący obok równie stary. Usiadłem.

– Zna pan Petera Gordeniusa? – zapytałem.

– Znałem. Był u mnie ze trzy razy. Nie żyje od prawie roku. Chyba pan o tym wie – odpowiedział spokojnie.

– Tak. Prowadzę śledztwo w sprawie jego śmierci – nie tłumaczyłem się z przejęzyczenia, choć jego pytanie zawierało w sobie sporą dozę zniecierpliwienia i niechęci do tak prymitywnych chwytów.

– Przecież zmarł od ukąszenia – podniósł brew.

– Nie wszyscy w to uwierzyli.

Wymacałem w kieszeni papierosy, ale nie wyciągnąłem ich.

– O czym rozmawiał pan z Gordeniusem? – zapytałem.

– O wszystkim – wzruszył ramionami. – O moich finansach, o poglądach na politykę, o sztuce. Chciał przedstawić w swoim cyklu ludzi, jak powiadał, wartych tego. Nie wiem, dlaczego akurat mnie tak wysoko ocenił, ale z przyjemnością to kupiłem.

– Twierdził, że Donald jest jedynym znanym mu uczciwym biznesmanem i to w dodatku bez ciągot w stronę polityki – powiedział ktoś od drzwi.

Odwróciłem się i zobaczyłem Farrela. Nie słyszałem jak wszedł i zastanawiałem się, czy przypadkiem nie stał tam od dłuższej chwili, by w odpowiednim momencie podrzucić kwestię Inglehardtowi.

– To rzeczywiście wystarczy by w naszym kraju postawić panu pomnik. Ile razy Gordenius był u pana?

Zastanawiał się chwilę.

– Chyba trzy... Raz na małym przyjęciu, to ostatni raz i chyba dwa razy przedtem. Oczywiście mogę podać dokładne dane – kiwnął palcem w stronę biurka z końcówką compa.

– A ostatni raz?

– Jakiś miesiąc przed śmiercią. Było tu trochę znajomych i rodzina.

Powiedział potem, że uzyskał kilka jeszcze drobnych danych i teraz mój portret będzie miał ten blitz, który ożywia wszelkie obrazy.

– Ale materiał nie poszedł?

– Chyba nie, nie czytałem i nie słyszałem, żeby gdzieś to drukowali. I nie mam zamiaru dzwonić do redakcji z awanturą – zaczął bębnić w poręcz fotela.

– Jasne – wstałem z fotela. – Dziękuję.

Odwróciłem się i poszedłem do wyjścia, ale zatrzymałem się przy jednej z gablot. Na półce stała niewielka figurka siedzącego w kucki potworka z wykrzywioną wściekle twarzą. Długi penis zwisał mu aż do pięt. W prawej ręce trzymał cienki sztylet.

– Rany boskie! To Kocie Oko? – zapytałem zdumiony.

– Tak – odpowiedział Inglehardt i podszedł do mnie. Był przyjemnie zaskoczony moim zainteresowaniem.

– To chyba największy kawałek Kocięgo Oka jaki dotychczas znaleziono – pokręciłem głową.

– Chyba tak. To wojownik Szewiatów, tak przynajmniej twierdzi Percy. On to znalazł i kupił dla mnie. Bardzo sobie cenię ten prezent.

Spojrzałem na Farrela. W jego niebieskich oczach błysnęła niechęć, musiał być zły na mnie. Nie wiedziałem tylko dlaczego.

– Wojownik Szewiatów? No-no. Wygląda groźnie – odwróciłem się do gospodarza i wyciągnąłem do niego łapę. – Dziękuję za rozmowę, do widzenia.

– Odprowadzę pana – powiedział niespodziewanie i poszedł znowu pierwszy. Skinałem Farrelowi, który również ruszył za nami i w takim szyku przemierzyliśmy hali i doszliśmy do drzwi. Po obu stronach sterczały zamaskowane cerbery. Naszła mnie chęć rozzłoszczenia Inglehardta.

– Pan w to wierzy? – skinałem niedbale na grube cylindry z donicami na wierzchu.

– Nie mam powodu, by nie wierzyć. Jak dotychczas...

– Niech pan uruchomi, – przerwałem.

– Atak! – krzyknął po sekundzie wahania.

Gdy cylindry skoczyły w moim kierunku, nie poruszyłem się. Stałem jak przed chwilą z jedną ręką na sprzączce pasa. Cerberzy zamarły po przejechaniu jakichś dwu metrów.

– Do diabła! – usłyszałem z tyłu głos Inglehardta.

Gdy odwróciłem się, stał zaskoczony patrząc na mnie, za nim marszczył brwi Farrel.

– Do widzenia panom – ukloniłem się obu i wyszedłem, przechodząc między nieruchomymi strażnikami.

Już na trawniku dogonił mnie Inglehardt, był rzeczywiście inny niż wszyscy milionerzy. Pobiegł za mną sam, zamiast wysłać chociażby Farrela.

– Panie Yates. Jak pan to zrobił? Cholera, pan mnie dobił! Kupuję.

– To nie jest na sprzedaż – pokręciłem głową triumfując w duchu.

– Jasny szlag! Muszę to mieć! Daję milion – złapał mnie za rękę i zatrzymał.

– Nie ma o czym mówić – uśmiechnąłem się mu w twarz.

Ku mojemu zdziwieniu uśmiechnął się również.

– Ta zabawka pozbawi mnie snu. Będę to miał prędzej czy później, ale chcę mieć już.

Uśmiechałem się nadal. Inglehardt roześmiał się głośno.

– Drażni się pan ze mną, dlaczego? Ha-ha! Stoję tu jak szczeniak przed sprzedawcą lodów, niech to! Po co pan mi to pokazywał?

– Bo nie lubię, jak się mnie ma za bęcwała – rzuciłem i poszedłem do bramy.

Dogonił mnie jeszcze raz.

– Chwileczkę. Teraz to już pan przesadził. O co chodzi?

Wahałem się chwilę, ale w końcu powiedziałem:

– Szewiaci nigdy nie rzeźbili figurek męskich. Tylko zwierzęta i kobiety. Bali się zakłęcia w rzeźbę duszy wojownika – ominąłem go i już nie niepokoiony przeszedłem przez bramę. Wpakowałem się do samochodu, a on jeszcze stał i patrzył w moim kierunku. Zobaczyłem w lusterku, że mam nieciekawy uśmiech na twarzy, poczekałem aż spłynie i ruszyłem do domu.



Rozdział czwarty

Wchodząc do mieszkania usłyszałem telefon. Dzwonił adwokat Millermana, by zapytać czy wiem, że jutro jest pogrzeb George'a. Wysłuchałem grzecznie jego informacji i podziękowałem za wyrażoną gotowość zajęcia się w moim imieniu spadkiem. Odłożyłem słuchawkę i poszedłem do pokoju, ale od razu wróciłem i wystukałem numer Pymy. Nikt nie podnosił słuchawki, więc wziąłem prysznic, a potem kazałem automatowi dzwonić do niej co piętnaście minut i usiadłem z puszką piwa nad wycinkami, z których porobiłem prezentowane Woodey'owi wyciągi. Przejrzałem je gruntownie, odrzuciłem wszelkie emocje i przemyślałem jeszcze raz wszystko od początku, ale wciąż wychodziło mi to samo”.

Po trzeciej puszcze włączyłem telewizor i zmieniłem dyspozycje co do telefonu, dzwonił teraz w mieszkaniu Pymy co pięć minut. Odczekałem dziesięć takich dzwonek, z szuflady wyciągnąłem płaski jak portfel ośmionabojowy biffax 33 i wyszedłem.

Tym razem jazda zabrała mi rzeczywiście dwadzieścia pięć minut, przejechałem obok domu Pymy i zatrzymałem się zaraz za rogiem pierwszej przecznicy. Nie dochodząc do ogrodu przed jej domem, przeskoczyłem niski płot sąsiedniego domu i dopiero stamtąd, na wysokości szklanej ściany między livingiem i ogrodem, przeszedłem na jej teren. Pokój oświetlało niezbyt jasno kilka lamp, telewizor był włączony, ale bez fonii, a szklana tafla wsunięta w ścianę. Wszedłem i spojrzałem na cerbera. Tkwił nieruchomo, więc puściłem sprzączkę pasa i rozejrzałem się dookoła. Oprócz prawie pełnej szklanki i puste paczki po playersach nic nie naruszało absolutnego porządku

w pomieszczeniu. Jakby tu nikt nie mieszkał, a tylko wpadał na drinka. Zajrzałem do kuchni, była tak samo klinicznie czysta i poszedłem na górę. Płyta jednych z drzwi przeświecała lekko ciepłym światłem, podszedłem i przytknąłem do nich ucho a potem, nie słysząc absolutnie żadnego dźwięku, pchnąłem je i wszedłem.

Była to sypialnia Pymy, pokój nie tak uporządkowany jak living i kuchnia, a źródłem bałaganu była sama gospodyni. Zajmowała łóżko. Leżała na plecach absolutnie goła, ręce rozrzucone, lewa noga lekko podgięta, mała stopa dotykała kolana drugiej nogi. Wyglądała jakby spała się do nieprzytomności i zasnęła i bardzo bym chciał, żeby tak było, ale całe wiadro krwi rozlane po podłodze i łóżku oraz wisząca na włosku głowa nie pozostawiała złudzeń co do stanu Pymy Gordenius. Podeszedłem bliżej starając się nie wdepnąć w którąś z kałuż i dotknąłem ciała. Ręka była zimna, ale nie zeszywniała jeszcze. Rozejrzałem się po pokoju stojąc nad szczupłym i zgrabnym ciałem, a potem, już nie patrząc na nic więcej, wyszedłem.

Pobieżnie obejrzałem living i kuchnię. Nie miałem złudzeń, że znajduję to, co miała pokazać mi Pyma, absolutny porządek znaaczył, że Pyma albo nie zdążyła nawet tego schować, albo nie miała jeszcze w domu, więc nie było czego szukać. Podeszedłem do drzwi wyjściowych i łokciem stuknąłem w wyłącznik. Przez chusteczkę złapałem za klamkę a potem puściłem ją i zrobiłem krok do tyłu. Popukałem nogą w korpus cerbera, a potem pchnąłem go barkiem. Była to pusta rura niewiadomego przeznaczenia, może stojak na kwiaty, ale na pewno nie automat strażniczy. Kucnąłem i myślałem chwilę, potem wstałem i otworzyłem drzwi. Na zewnątrz było ciemno i cicho, przebiegłem szybko przez furtkę. Ulica była pusta, ale nie puściłem kolby biffaxa dopóki nie wsiadłem do wozu. Gdy odjechałem w stronę miasta, w zapadającym zmierzchu wydawało mi się, że coś pędzi przed moim samochodem. Nie mogło to być nic innego jak wyprzedzająca mnie śmierć.



Rozdział piąty

Przy pierwszym drogowskazie z napisem „Motobar-Rooms-Relax” skręciłem i po kilkuset metrach podjechałem do niewielkiego hoteliku. W barze wypiliśmy pod rząd cztery fity, potem wynająłem pokój. Kazałem obudzić się za dwie godziny i od razu zapadłem w sen jak w gęstą mgłę. Obudziłem się łatwo i dopiero stojąc pod gorącym prysznicem przypomniałem sobie dom przy wąskiej, ukwieconej uliczce i jego właścicielkę. Wytarłem się papierowym ręcznikiem i zszedłem na dół. Uregulowałem należność za pokój i wstąpiłem jeszcze raz do baru. Dwa jałowe jak gaza opatrunkowa sandwicze i kawę o kolorze i smaku popłuczyn ze starej, zardzewiałej cysterny uznałem za śniadanie i wyszedłem na parking. Mój bastaad był jedynym samochodem. Czując się jak tarcza strzelnicza szybko wskoczyłem do wnętrza, wyjechałem z parkingu i zaraz za zakrętem zatrzymałem się. Nikt jednak za mną nie jechał, zablokowałem drzwi i wywołałem minikomp. Reagował jakoś wolno, jakbym go obudził, więc wpakowałem się w sieć federalną i od razu dostałem adres matki Petera Gordeniusa. Innej rodziny Petera i Pymy komputer nie znalazł. Do Foxfield miałem ponad 500 kilometrów, wyjechałem na odpowiedni kierunek i wyjąłem spod fotela cienki trzpień, który pozwalał mi włączyć się w najszybszy pas, zarezerwowany tylko dla SWA – Samochodów W Akcji. Wsadziłem wytrych w gniazdo pilota i czekałem na weryfikację. Musiałem jeszcze chwilę kierować sam, aż zapalił się żółty sygnał i zdjąłem ręce z kierownicy. Wcisnąłem gaz i na prędkości sto na godzinę wdusiłem klawisz fiksatora.

Rozłożyłem fotel. Męczyło mnie poczucie zmarnowanych dwu godzin,

ale wtedy nie miałem jeszcze pojęcia jak ruszyć sprawę Gordeniusa. Zresztą teraz też nie mogłem się uskarżać na nadmiar pomysłów. Myślałem nad tym dłuższą chwilę, zanim cichy szum silnika i szelest nawijanej na koła jezdni nie uspiły mnie i dopiero sygnał pilota przerwał płytki sen.

Wyłączyłem pilota gdy drogowskaz błysnął literkami układającymi się w napis: „Foxfield 38” i skręciłem w łagodny zjazd z autostrady. Była czwarta rano. Do domu pani Gordenius dojechałem o wpół do piątej.

Niewielka piętrowa kostka była ciemna jak wszystkie domy na ulicy. Miałem zamiar poczekać do świtu, ale wyskoczyłem z samochodu znacznie wcześniej. W nocnej ciszy rozległ się sygnał telefonu i dzwonił dość długo zanim w jednym z okien na piętrze zabłysło światło. Szybko wysliznąłem się z wozu i przeskoczyłem niski ażurowy płotek, okno do sypialni pani Gordenius było otwarte.

– Halo? – usłyszałem wysoki starczy głos. – Kto? Pyma? – ciarki przeszły mi po grzbiecie. – Co mam robić?... Przecież wcale nie krzyczę... Dobrze... – dłuższą chwilę słuchała nie przerywając rozmówcy. Rozejrzałem się uważnie dookoła i ścisnąłem w rękę kolbę biffaxa. Coraz pewniejsze było, że ktoś ma zamiar zetrzeć nazwisko Gordenius z rejestru żywych obywateli Stanów. – Boże... Dziecko, co ty będziesz teraz... tak, rozumiem, oczywiście... Ale dlaczego... Dobrze... Ale... Poczekaj, zaraz zapiszę... Jak to nie zapisywać? Nie zapamiętam, dziecko, z moją pamięcią... Boż-że... tak... tak... tak... Zgadza się... Dobrze. Uważaj na siebie... – usłyszałem jeszcze trzask odkładanej słuchawki i płacz. Schowałem pistolet i zadzwoniłem do drzwi. Po dziesięciu sekundach dobiegły mnie przez nie ciche kroki, cofnąłem się tak, by być widocznym przez wizjer.

– Nazywam się Owen Yates, jestem prywatnym detektywem i prowadzę dochodzenie w sprawie śmierci pani syna. Muszę z panią koniecznie porozmawiać – wyjąłem z kieszeni wtopioną w plastik licencję i pokazałem drzwiom. – Wrzucę pani przez szparę moją licencję. Może pani połączyć się z komputerem i sprawdzić ją. Poczekam tu – schyliłem się i wsunąłem płatek w szparę w drzwiach.

Usłyszałem jak plasnęła o podłogę i po kilkunastu sekundach drzwi otworzyły się. Matka Petera stała w nich ubrana w ciemną suknię i jasnobezowy sweter z obszernymi rękawami, w których chowała dłonie. Z moją licencją. Zrobiłem krok do przodu i znalazłem się w domu. Nie pytając o zezwolenie zamknąłem drzwi i powiedziałem:

– Czy nie moglibyśmy pójść gdzieś, gdzie jest mato okien? Może na górę?

– Dobrze – powiedziała i wskazała mi schody. Wołała nie odsłaniać swych pleców jakiemuś podejrzanemu detektywowi. Poszedłem pierwszy, a gdy znalazłem się na górze otworzyłem drugie z kolei drzwi, węższe od innych, sądziłem że to jest łazienka i nie pomyliłem się. Odwróciłem się i powiedziałem:

– To będzie lepsze niż pokój. Można?

Przez chwilę walczyła z własnym strachem, widocznie naoglądała się w TV potopionych we własnych wannach samotnych kobiet, ale weszła za mną. Przysiadłem na brzegu wanny pozostawiając jej skrzynię pod ścianą. Stała jednak obok niej. Chyba wołała być bliżej drzwi.

– Proszę pani, mam złe wiadomości. Pani synowa wynajęła mnie, bym zbadał jej zdaniem podejrzaną okoliczność śmierci Petera Gordeniusa. Miała mi coś pokazać, ale nie zdążyła. Sześć godzin temu znalazłem ją zabita w swojej sypialni.

Starsza pani zeszytniała i odrobinę szerzej otworzyła oczy. Albo była starym krzemieniem albo nie lubiła synowej. Ciągnąłem:

– Wygląda, że w śmierci pani syna kryje się rzeczywiście jakaś tajemnica. Jeśli tak jest, to pani również może grozić niebezpieczeństwo. Powinna pani jak najszybciej wyjechać bez pozostawienia komukolwiek adresu – czekałem jak zareaguje. Milczała. – Oprócz tego chciałbym z panią porozmawiać o pani synu. Być może coś pani wie, co pomoże znaleźć mordercę.

– Jak została zabita Pyma? – spytała nagle.

– Koniecznie chce pani wiedzieć? – zastanawiałem się co lepiej powiedzieć. Skinęła zdecydowanie głową. – Brzytwą, albo czymś równie ostrym, oderżnięto jej gardło.

– Ku mojemu zdziwieniu skinęła znowu. I tyle. Postanowiłem pójść na całego. Czekałem pod pani domem aż pani się obudzi i słyszałem pani rozmowę. Sądzę, że mordercy chcą jak najszybciej dotrzeć do pani, dlatego...

– Pyma żyje, niech pan się nie wysila – przerwała mi nagle. Najwyraźniej przez cały czas czekała aż się wsypię i teraz postanowiła oszołomić mnie. Udało jej się to całkowicie. Poruszyłem kilkakrotnie zuchwą i wydałem z siebie coś na kształt szczeku.

– Wydaje mi się, że jest pan rzeczywiście detektywem – starsza pani usiadła teraz na skrzyni jakby trochę rozluźniona. – Chyba ktoś pana wprowadził w błąd.

– Jest pani pewna? Czy to ona dzwoniła?

Wahała się chwilę, ale odpowiedziała:

– Tak.

– Na pewno? Głos można podrobić, tym bardziej w słuchawce... – bąknąłem.

– Nie mam wątpliwości -- ucięła.

– Poda mi pani jej aktualny adres? Muszę wyjaśnić dlaczego ktoś podszywał się pod nią.

– Nie!

– Przecież jej teraz grozi śmiertelne niebezpieczeństwo! Czy pani tego nie rozumie? Oni muszą ją zabić i usunąć zwłoki tak, by tamte udawały do końca prawdziwą Pymę Gordenius!

To co mówisz, chłopcze... – przeszła nagle na bardziej poufaly ton – ... brzmi logicznie. Ale nie mogę ryzykować.

– Skazuje ją pani na śmierć – powiedziałem wolno. – Tamci udowodnili już, że nie cofną się przed niczym. Wycisną z pani adres Pymy albo ją znajdą sami. Jeszcze nie wiem o co dokładnie chodzi, ale wystarczająco długo pracuję w tym zawodzie by wiedzieć, że jeśli ktoś decyduje się na morderstwo, to zazwyczaj uważa drugie czy trzecie za najzupełniej naturalne – wyjąłem papierosy i wyciągnąłem paczkę w kierunku pani Gordenius. Wzięła jednego i zapaliliśmy.

– Jak pana można znaleźć? – zapytała.

– Różnie – odparłem. – W domu, w biurze, w samochodzie – wzruszyłem ramionami.

– Mogę panu obiecać, że skontaktuję się z synową najprędzej jak tylko będę mogła i powiadomię pana co postanowiła – pani Gordenius wstała.

Podniosłem się również i wyszliśmy na korytarz. Idąc za nią wyjąłem z portfela wizytówkę i podałem jej już na dole.

– Proszę próbować na samochód. Będę powoli wracał do domu, więc jeżeli Pyma jest tu gdzieś w pobliżu proszę się pospieszyć, żebym nie tracił czasu na powrót. Do widzę... – klepnąłem się po kieszeni. – Zapalniczka! – zawołałem i wskazałem na górę. Szybko poszedłem do schodów i wskakując po trzy stopnie wbiegłem na piętro.

Sypialnia powinna być zaraz z brzegu, tak mi wyszło z układu okien. Otworzyłem cicho drzwi i wślizgnąłem się do pokoju. Telefon stał zaraz przy drzwiach, obok blok do notatek. Pierwsza strona była pusta, wydarłem ją i włożyłem do kieszeni. Wymknąłem się z sypialni i głośniejszym tupiąc wróciłem na schody. Pani Gordenius szła już do góry. Poklepałem kieszeń z papierosami i uśmiechnąłem się. Po jej oczach widziałem, że nie dała się chyba nabrać, ale wiedziała, że kartka jest gdzieś schowana.

– Aha! Moja licencja, jest u pani – wyciągnąłem rękę.

Podeszła do kanapy i zza poduszki wyjęła prostokącik plastiku. Oddała mi bez słowa.

– Niech się pani pospieszy. Tu odgrywają rolę minuty – odwróciłem się i wyszedłem.

Ostentacyjnie głośno trzasnąłem drzwiami wozu i ruszyłem spod jej domu. Zdawałem sobie sprawę, że tak właśnie ruszałbym by uspić jej czujność i wrócić. Skręciłem kilkakrotnie w jakieś ulice i zatrzymałem samochód. Wyciągnąłem kartkę z bloku pani Gordenius i zbliżyłem do światełek na tablicy rozdzielczej. Pisała na szczęście długopisem, numer odbił się znakomicie. Szybko połączyłem się z siecią federalną i sprawdziłem go. Motel „Palmiarnia”, dziesięć kilometrów stąd. Wystartowałem jak na wyścigu formuły zero, na zakrętach zostawiałem

po kilka milimetrów bieżnika. Noc miała się ku końcowi, ale okolica spała i nikt nie widział moich wyczynów na szosie. Większą część drogi musiałem hamować i przyspieszać, dopiero ostatnie trzy mile pędziłem po drodze stanowej, gdzie mogłem w pełni wykorzystać moc swojego bastaada. Tuż przed motelem zwolniłem, rozglądając się uważnie na boki, przejrzałem większą część parkingu, przejechałem jeszcze kilkadziesiąt metrów i zatrzymałem się. Wskoczyłem z wozu i szybko wróciłem pod motel. Stały tam tylko dwa samochody, miały zimne silniki, odetchnąłem lekko i wszedłem do recepcji. Biurko pod napisem „Pokoje” było puste, cały hali dziwnie stęchły. Palma stojąca w kącie na pewno nie mogła mieć wpływu na nazwę motelu, była tak zakurzona, tak ponura i beznadziejna, że wyglądała jakby inne palmy skazały ją na pobyt w tej budzie za jakieś szczególnie niebezpieczne palmiane przestępstwo. Kopnąłem kilka razy w pudło biurka, kopnąłem jeszcze raz widząc jakiegoś korniszona wychylającego się zza zakrętu. Wyszedł cały na odsłoniętą przestrzeń i podreptał w moim kierunku.

– Słuchaj koleś – błysnął mu w oczy oznaką wybitą z okazji trzeciego zjazdu Przyjaciół Karaibów – szukam dość młodej blondynki, przyjechała tu dzisiaj, parę godzin temu. Niedawno dzwoniła stąd. Gdzie jest? Szybko – chwyciłem koniec jego zatłuszczonego krawata i postarałem się by wyglądało, że za chwilę szarpnę nim z całej siły.

– Jest tylko jedna klientka, ale szatynka. Ósemka – zatrzepotał wargami recepcjonista.

– Idę na górę, gdyby ktoś pytał o nią, wskażesz dziewiątkę. Rozumiesz?

Skinął posłusznie głową. Nie miałem wątpliwości, że nie zrobi tego, wbiegłem po schodach do góry i wyjąłem pistolet. Posłuchałem chwilę pod drzwiami i nacisnąłem klamkę. Była zablokowana. Sięgnąłem do kieszeni i wygrzebałem stalowy włamak. Zamek ustąpił natychmiast, uchyliłem ostrożnie drzwi i zajrzałem. Pokój był pusty, a z łazienki dochodził plusk wody. Wsunąłem się do środka i zamknąłem drzwi. Zobaczyłem otwartą walizkę na łóżku, obok leżała peruka. Szum prysznicza nie ustawał, skoczyłem za otwarte drzwi szafy i schowałem pistolet do kieszeni. Po chwili ktoś wyszedł z łazienki, przez szparę

zobaczyłem blondynkę w szlafroku, podeszła do walizki i zaczęła wyjmować z niej jakieś rzeczy. Ona i ta w domku były bardzo do siebie podobne, dalej nie wiedziałem, która jest która. Odczekałem za szafą całe dziesięć minut, które spędziła na ubieraniu się. Tak więc obie Pymy widziałem w całej krasie i nie mogłem zdecydować się, która z nich miała lepsze kształty, choć w grę wchodziła teraz już tylko jedna. Gdy ubrała się całkowicie i odwróciła do mnie tyłem wyszedłem cicho zza szafy i położyłem dłoń na jej ustach. Szarpnęła się i poleciała mi przez ręce. Ułożyłem ją na łóżku i poszedłem do łazienki. Wróciłem z dwoma mokrymi ręcznikami i przyłożyłem do czoła i szyi. Zatrzepotała powiekami. Odsunąłem się trochę i czekałem na ciąg dalszy. Leżała dalej bez ruchu.

– Znasz numer do pani Gordenius? – zapytałem. Powieki znowu drgnęły podszedłem bliżej i poklepałem ją lekko po policzku.

– Dzwon do niej szybko. Jeżeli jesteś prawdziwą Pymą Gordenius to musimy stąd zniknąć. Jeśli jesteś jej sobowtórem to też musimy zniknąć, ale już nie w takim pośpiechu. Przedtem porozmawiamy. Decyduj się.

Otworzyła oczy i usiadła. W zasłoniętych przed chwilą powiekami fiołkowych oczach czaił się strach. Wyglądało to przekonująco, ale tamta Pyma też nie wyglądała fałszywie. Ludzie to nie banknoty studolarowe, potrafią znakomicie udawać.

– No? – ponagliłem.

– Kim pan jest?

– Owen Yates, prywatny detektyw. Wczoraj Pyma Gordenius zleciła mi wyjaśnienie sprawy śmierci swego męża, wczoraj również została zamordowana. I pojawiłaś się ty, druga Pyma. Muszę szybko wiedzieć która z was jest prawdziwa i podjąć odpowiednie kroki. Pośpiesz się.

Wstała i podeszła do telefonu, serce zabiło mi mocniej. Wykręciła jakiś numer i czekała chwilę, podszedłem bliżej i gdy nabrała powietrza, by zacząć mówić, wyjąłem jej słuchawkę z dłoni i przyłożyłem do ucha.

– Halo... Halo! Kto mówi? – rozpoznałem głos pani Gordenius.

– Tu Owen Yates. Niech pani posłucha: ma pani jedną łazienkę w domu?

– To pan? Co panu chodzi po głowie? Dlaczego pan pyta o łazienkę?
– Odnalazłem kobietę podającą się za Pymę Gordenius. Ponieważ jedna taka mnie nabrała chcę sprawdzić czy ta jest prawdziwą. Niech pani odpowie.

– Dwie. Na dole i obok sypialni. Tam gdzie rozmawialiśmy, ale...

Odsunąłem słuchawkę od ucha i powiedziałem do Pymy, chyba Pymy:

– Ile tam jest łazienek?

– Dwie. Obok kuchni na dole i jedna obok sypialni teściowej na pierwszym piętrze.

Wyjąłem z kieszeni licencję i podałem jej. Powiedziałem do słuchawki:

– Spokojnie, pani Gordenius. Już daję pani Pymę.

Zaraz wyjeżdżamy stąd i jakiś czas nie będzie pani miała z nią kontaktu. Muszę ją dobrze ukryć. A pani niech sprawdzi mnie i uspokoi się. I od razu wyjedzie.

– Jestem spokojna – dobiegło mnie ze słuchawki. – Sprawdziłam.

Pokiwałem głową i podałem słuchawkę Pymie.

Gdy wymieniały jakieś chaotyczne polecenia wrzuciłem do walizki wszystkie jej rzeczy, poszedłem do łazienki i pozbierałem kosmetyki. Wszystko zmieściło się w walizce i zostało jeszcze miejsce. Usiadłem w fotelu i zapaliłem dwa papierosy. Jeden podałem Pymie, drugim zaciągnąłem się sam. Po chwili zakończyła rozmowę i spojrzała na mnie.

– Gotowa? – zapytałem.

Skinęła głową, wstałem i zdrętwiałem nagle. Usłyszałem wyraźny skrzyp żwiru na parkingu.

– Światło! – kiwnąłem palcem w stronę kontaktu przy drzwiach, a sam przysunąłem się do okna. Gdy w pokoju zaległa ciemność, wyjrzałem na zewnątrz. Przed wejściem kołysał się na teleskopach wielki ciemny buick.

– Idziemy – powiedziałem i złapałem walizkę Pymy. Posłuszenie posunęła się za mną. Przy drzwiach zatrzymałem się i powiedziałem:

– Jeszcze moment. Według tych gości na dole pani musi zginać, ja

tylko powinienem. Musi mi pani zaufać i robić co każe. Tu – sięgnąłem do kieszeni i podałem jej klucz do mojego wozu – jest klucz do białego bastaada, stoi na szosie tuż za motelem. Gdyby coś mi się stało, niech pani ucieka, jasne?

Mruknęła coś, złapałem ją za ramię i ścisnąłem.

– Jasne? – syknąłem.

– Ta-ak – jęknęła.

Puściłem rękę i otworzyłem drzwi na korytarz. Na schodach i korytarzu nie było na razie nikogo, wyszedłem z pokoju i zamknąłem za Pymą drzwi. Pobiegliśmy na palcach w stronę drugiego przeciwległego schodom końca korytarza. Musiały tam być schody przeciwpożarowe i były. Wypuściłem Pymę pierwszą, wyszedłem za nią i zamknąłem za sobą okno. Zejście trwało krótko, nadspodziewanie dobrze radziła sobie z zimnymi szczeblami. Zaraz po zejściu na ziemię natknęliśmy się na wielki commodore. Gorączkowo zastanawiałem się, w końcu pociągnąłem Pymę za rękę.

– Klucz! Pojedziemy tym, mój już znają.

Podawała mi klucz, który kosztował mnie masę pieniędzy, ale potrzebny był właśnie w takich jak ta chwila. Zamek commodora puścił bez najmniejszych wahań; wepchnął en do wnętrza Pymę i wrzuciłem na szeroki tył walizkę. Cicho zamknąłem drzwi i opuściłem nieco okno. Wokół panowała wciąż jeszcze cisza, włożyłem klucz w stacyjkę i gdy rozbłysła, zobaczyłem w jej świetle małą srebrną literkę „f”.

– Mamy szczęście – szepnąłem do Pymy. – Siedzimy w commodore forte. Mogą nas teraz ścigać do hy-hyhy-hy śmierci.

Nie słyszeliśmy silnika, tylko szelest żwiru pod kołami mógł nas zdradzić. Obok śmietnika zobaczyłem jakąś lukę w drzewach. Była tam droga. Wpełzłem na nią i pojechałem wolno. Po kilkudziesięciu metrach skręciłem w lewo, a potem wyjechałem na drogę już za moim bastaadem i wcisnąłem gaz do oporu. Zapaliłem światła i pognaliśmy do przodu na razie bez planu i celu. Skręciłem w drugi zjazd wiodący na południe i po półgodzinnej jeździe zatrzymałem się. Włączyłem oświetlenie i powiedziałem do Pymy:

– Jeżeli ma pani jakieś pytania to jest czas na pogawędkę. Muszę się zorientować w terenie.

– Nie wiem o co najpierw pytać. To jeden wielki koszmar... – pokręciła głową.

– Aha. Dobrze. Zaraz ruszymy, to ja opowiem pani wszystko – uśmiechnąłem się do niej i włączyłem pilota.

Zorientowałem się w okolicy i wystartowałem. Ciemności zaczęły szarzeć, pędziliśmy, rzucając się od czasu do czasu w objazdy i boczne drogi. I mówiłem. Zacząłem od fałszywej Pymy i na niej chciałem zakończyć, ale sam nie wiem dlaczego opowiedziałem jej o rozmowie z Woodey'em, o moich podejrzeniach co do tej szóstki zamienionych czy zmienionych. Wygadałem się za wszystkie czasy. Minęły mniej więcej dwie godziny, zanim skończyłem. Jechaliśmy jeszcze ze dwie, po czym zjechałem w drogę prowadzącą w las i po dziesięciu minutach dotarliśmy do dużej drewnianej chaty. Kupiłem ją półtora roku temu w pewnej agencji, zastrzegłem sobie nieujawnianie nazwiska właściciela i kazałem wyposażyć jak normalny dom. Miałem tam minicomp, telefon, olbrzymią chłodnię i saunę. Nie było mnie na nią stać, ale kupiłem i teraz cieszyłem się z tego głupiego kroku. Wprowadziłem wóz do garażu i przeszliśmy wewnętrznymi drzwiami do domu. Poprosiłem Pymę by zaczęła udawać gospodynię, a sam wyszedłem przez drzwi garażu na zewnątrz i wróciłem piechotą aż do drogi głównej. Ściąłem z sosny dwie duże gałęzie i wlokąc je za sobą, po śladach kół, zaczesalem trawę tak, że tylko pies albo analizator mógł wykryć nasz trop. Zabrało mi to dwie godziny czasu. Gdy wróciłem, Pyma krzątała się po kuchni w jasnych spodniach, rolety w oknach spuściła zanim włączyła światło. Mruknąłem coś w tonie pozytywnym, poszedłem do łazienki i wałnąłem się w wannę pełną prawie wrzącej wody. Po godzinie czerwony jak rak wyszedłem do jadalni i zastałem tam ucztę o jakiej nie marzyłem. Wcisnąłem w siebie ziemniaki faszerowane pieczarkami, sałatkę rybną, pół kurczaka i zakończyłem ogórkami z ananasem w galarecie. Kawa była właśnie taka, jaka być powinna – ciężka jak prom na Potomaku i czarna jak Grooki. Piliśmy ją w milczeniu, potęgując przyjemność

dymem z papierosów.

– Ten twój Woodey nie ma racji – powiedziała nagle Pyma. Z przyjemnością zaakceptowałem przejście na ty.

– Dlaczego tak sądzisz? – zapytałem dla samej przyjemności powiedzenia czegoś do niej.

– Peter zaraz po tych szczepieniach strasznie się zmienił. Stał się podejrzliwy, ciągle mnie oskarżał o szpiegowanie, choć nie było mi to w głowie. Natykał się na różne problemy, z którymi nie mogłem sobie poradzić i wściekał się, gdy chciałam mu pomóc. Usiłował mnie zgwałcić, choć parę miesięcy temu sam zaproponował dyskretną separację do czasu wszczęcia kroków rozwodowych. I gdyby rzeczywiście nie był to Peter, a jego sobowtór – choć jest to niemożliwe – to to wytłumaczyłoby wszystko. Ale to nie był sobowtór, to był Peter, tylko strasznie odmieniony.

Trzymała kubek w obu dłoniach, grzejąc je jego ściankami, choć temperatura w pokoju doszła już do normy. Wciągnąłem w płuca powietrze i wypuściłem powoli.

– To jest jakaś dziwna sprawa – sam się zdziwiłem oryginalnością własnego stwierdzenia. – A Donald Inglehardt?

Skrzywiła się opuszczając kąciki ust ku dołowi, potrząsnęła głową. Włosy wysunęły się z cieniutkiej opaski.

– To nazwisko mówi mi nie więcej niż przeciętnemu mieszkańcowi naszego stanu. Bogacz. Nic więcej nie wiem.

– Ale Peter rozmawiał z nim. Inglehardt to potwierdził.

– Nic nie wiem. Być może. Ale mnie nic nie mówił o aferze związanej z Inglehardtem. Nic – powtórzyła i spojrzała na mnie.

– Wszystko jasne czyli nic. Ktoś chce mnie skierować na Donalda Inglehardta i udaje mu się to. Zaraz potem ktoś, może ten sam, morduje wynajętego sobowtóra. Albo zupełnie ktoś inny. Nie za bardzo widzę tu jakiś sens. Jednego tylko jestem pewien – że tamta Pyma nie popełniła samobójstwa. Ciebie też szukali... A! Właśnie! Gdzie byłaś?

– Wzięłam urlop i pojechałam do koleżanki nad Erie, ale po drodze rozmyślałam się i siedziałam w jakimś hotelu przy Autostradzie

Północnej. Potem wróciłam do domu... i znalazłam ją...

– To dlatego nie mogli cię znaleźć. Podstawili tę drugą i jednocześnie szukali. Gdybyś dłużej siedziała w hotelu... – zamknąłem się, ale chyba za późno. – Idziemy spać? – zapytałem szybko.

Pokiwała głową patrząc w kubek. Poszedłem na górę i przygotowałem jej łóżko, a potem z szafki na dole wyjąłem miękki śpiwór i poduszkę. Przyniosłem z hallu kurtkę i położyłem na fotelu, nie chciałem przy Pymie wyjmować z niej broni i filmowo chować pod poduszkę. Pyma zaniósła resztę naczyń do kuchni. Na schodach odwróciła się i powiedziała.

– Dobranoc.

– Dobranoc – odpowiedziałem i odprowadziłem ją wzrokiem na samą górę, gdzie zniknęła za załomem nie odwracając się.

Rozebrałem się i włożyłem w śpiwór. Leżałem w ciemnościach paląc papierosy i rozmyślając. Wypaliłem cztery czy pięć i przewróciłem tonę myśli. Niczego szczególnie ciekawego nie wymyśliłem i w końcu poszedłem na górę. Spotkaliśmy się na szczycie schodów, a gdy wziąłem ją na rękę i poniosłem do pokoju szepnęła mi w ucho:

– *Gdybym cię nie widziała dzisiaj w akcji, to pomyślałabym, że nie masz żadnych szans na rozwikłanie tej – sprawy przy swoim tempie działania.*



Rozdział szósty

Obudziłem się gdy tylko Pyma wyskoczyła z łóżka i zaczęła się ubierać. Nie otwierałem oczu, po szeleście poszczególnych części garderoby zgadywałem co aktualnie wkłada. Wstałem gdy z kuchni doszło mnie pobrzękiwanie naczyń i syk pary w ekspresie.

Ogoliłem się i wziąłem prysznic. Do kuchni wszedłem całkowicie ubrany i podszedłem do Pymy. Pocałowałem ją delikatnie w kark i usiadłem przy stole. Zjedliśmy śniadanie w milczeniu.

– Wiesz co? – zapytała nagle Pyma.

Parsknąłem śmiechem i oblałem się kawą.

– Pytanie: „Wiesz co?” zajmuje na mojej prywatnej liście drugie miejsce – wykrztusiłem.

– Liście czego?

– Lista... e... niezbyt mądrych pytań wymyślonych przez człowieka.

– Mądra-ala – wykrzywiła drwiąco usta, ale nie była zła. – A pierwsze miejsce? – nie wytrzymała.

– Śpisz już? – zapytałem.

– Co?

– Pytanie: „Śpisz już?” jest szczytem możliwości człowieka. Zawsze doprowadza mnie do szału, szczególnie gdy się mnie budzi w ten sposób.

Wstała i zaczęła, zbierać naczynia, przez chwilę myślałem, że jednak się obraziła. Pyma wstawiła filiżanki i talerze do automatu i odwróciła się do mnie.

– Wiesz co? – zapytała poważnie. – Nie będę cię budziła w ten sposób.

Wstałem od stołu i podszedłem do niej.

- Nie możesz mnie budzić, bo i tak przy tobie nie śpię. M-m-m...
- Poczekaj – wysunęła się z objęć. – Muszę ci coś powiedzieć.
- Jeżeli musisz – usiadłem znowu przy stole.

– To wszystko, co dotychczas mi opowiedziałeś jest tak mętne, że musi być jedynie niewielkim fragmentem jakiejś jednej wielkiej afery. No bo tak – możliwości są dwie. Pozornie. Pierwsza – to kilka spraw przypadkowo ze sobą związanych, ale te zazębienia są zbyt wyraźne, zbyt mocne. I druga, że to olbrzymia afera, której początek wszyscy przegapili, a koniec może być potworny. A przy tym wszystkim może już być za późno na jakąkolwiek interwencję.

Na plecach poczułem rozpoczynającą się defiladę kilku batalionów lodowatych mrówek. Przycisnąłem plecy do oparcia krzesła mając nadzieję, że jakąś część ich przecież wy gniołę. Na szczęście Pyma przestała mówić, przestała mnie dobijać moimi własnymi wnioskami.

– Niezupełnie się z tobą zgadzam – zmarszczyłem lekko brwi, co miało nadać mojej twarzy wyraz pewnej mądrości. – Ale to moje zmartwienie. Nie przywykłem prowadzić śledztwa w dwie osoby. Zawsze robiłem to sam i przynajmniej nie miałem komu zarzucić popełniania błędów. Musisz przyznać, że to byłoby niepoważne gdybym wpadł kiedyś do ciebie z pretensjami o skierowanie mnie na fałszywą drogę. Zgoda?

Patrzyła chwilę poważnie, a potem zobaczyłem jak jej oczy jaśnieją.

– Jesteś prawie tak samo głupi jak reszta twojej płci – powiedziała zupełnie serio, nie zdając sobie sprawy, że oczy dawno zdradziły tłumiony śmiech. Odwróciła się i wyszła z kuchni.

Wyjąłem z lodówki piwo i nie siadając wypilem duszkiem. Wyjąłem drugą puszkę i poszedłem z nią do pokoju. Usiadłem obok Pymy na kanapie.

– Zaraz wyjdę stąd – powiedziałem cicho. – Muszę – dodałem i rozżłościłem się na siebie. – Będę starał się dzwonić co jakiś czas. Nie odbieraj od razu żadnych telefonów. Gdy przestaniesz nagrywać magnetofon, włącz go i wysłuchaj nagrania, odbieraj dopiero drugi telefon w minutę po pierwszym i to pod warunkiem, że hasło będzie się

zgadzać – szarpnąłem kapsel i łyknąłem z puszki. – Będę podawał tytuły książek, które stoją tu na półce. W pierwszej rozmowie autor będzie na „a”, w drugiej na „be”, w trzeciej na „ce” i tak dalej. Rozumiesz? – Pokiwała głową nie patrząc na mnie. – Ale raczej dużo rozmów nie będzie, nie możemy ryzykować. Tobie zaś nie wolno... – wystawiłem zaciśniętą pięść i w miarę wyliczania odginałem po jednym palcu. – po pierwsze: wychodzić z domu, otwierać komukolwiek drzwi, chyba że wrzuci przez szparę w drzwiach... – zawałałem się. – ... co ma wrzucić?

– Opakowanie po red dromaderach.

– Świetnie. Poza tym, nie hałasuj przesadnie, pilnuj zasłon. Gdyby natomiast ktoś tu się pakował przedź na strych i zamknij się tam, oczywiście przedtem uruchom telefon – wstałem i wcisnąłem w szczelinę telefonu swoją wizytówkę z zakodowanym na pasku numerem obu telefonów. – Ta kłapa jest nie do sforsowania, poza tym zostawię ci trochę broni, umiesz strzelać?

– Zależy z czego – wzruszyła ramionami.

– Znajdzie się coś odpowiedniego. To moja choroba – gromadzenie broni. Chyba jestem jeszcze dzieckiem.

– Owen, nie przeciągajmy tego. Jedź już, dobrze? – podeszła i położyła rękę na moich ramionach.

Pokiwałem głową, Pyma też zaczęła kiwać i chwilę kiwaliśmy do siebie. Porozumiewawczo. Potem pokazałem jej mój magazyn broni, przeniósłem na strych trochę jedzenia i wody. I amunicji. Rzuciłem okiem na półkę z książkami i pożegnaliśmy się. Przed odjazdem ściałem dwie dwumetrowe sosenki, związałem je tak że utworzyły walec i przywiązałem sznurami do wewnętrznych klamek drzwi. Zamknąłem garaż, rozrzuciłem na betonowym podjeździe trochę liści i kilka patyczków, po czym ruszyłem. W lusterkach widziałem jak świetnie spisuje się „miotła” za samochodem. Nie zostawała po mnie żadna koleina. Dojechałem tak do drogi, wskoczyłem na jej wstążkę i po kilkuset metrach przeciąłem sznur z lewej strony. Walec majtnął się na prawo i zaczął obijać po poboczu. Odczekałem jeszcze chwilę

i przeciąłem drugi sznur. Zgodnie z planem cała konstrukcja wpadła w rów i nie była widoczna z szosy. Tyle było mi potrzebne. Dodałem gazu.



Rozdział siódmy

Tuż po pierwszej dotarłem do „Palmiarni”. Tak jak wczoraj, minąłem ją wolno, przejechałem obok miejsca gdzie zaparkowałem bastaada i skręciłem w polną drogę, którą wyjechaliśmy na autostradę. Na tyłach hotelu szybko wyskoczyłem z wozu i zamknąłem drzwi kluczem. Rozejrzałem się dookoła i nie widząc niczego godnego uwagi wspiąłem się po drabinie na piętro. Okno było zamknięte, ale można je było otworzyć zgnitym bananem, wsunąłem się w korytarz.

Spodziewałem się zupełnej ciszy, ale zawiodłem się.

Buda była tak stara, że jej rozpad był nie tylko widoczny ale i słyszalny. Hałasowała chyba każda drobina kurzu, a można było przyjąć, że są go tu całe tony. Przesuwałem się powoli w kierunku schodów, przystając obok każdych drzwi. Od ścian i drzwi wiało tak beznadziejną martwotą, że jeśli nawet ktoś się za nimi czaił, to musiał zacząć co najmniej czterdzieści lat temu, a teraz jego mumia opierała się jednym uchem o drzwi, zastygła w skrzywionej, niewygodnej pozycji.

Doszedłem prawie do schodów, gdy usłyszałem z dołu jakiś dźwięk, jakby krótki chichot czy kaszlnięcie. Nie przyspieszyłem, obsłuchałem drzwi do pokoju numer osiem, dziewięć, piętnaście i szesnaście i dopiero wtedy wychyliłem się ostrożnie.

Hali był pusty, przynajmniej tak mi się wydało w pierwszej chwili. Dopiero gdy kątem oka ujrzałem drgnięcie gałęzi palmy cofnąłem głowę i wyjąłem biffaxa. Odczekałem chwilę i wyjrzałem znowu. Chwiało się teraz kilka gałęzi, cofnąłem się jeszcze raz i opadłem na kolana. Wysunąłem głowę osłaniając się trochę balaskami poręczy. Zmienił się

niecoką widzenia i zobaczyłem grupę pod palmą.

Na wąskim krzeselku siedziała tleniona blondyna, trzymając na kolanach kurdupła z recepcji. Kurdupel prawą ręką miętolił pierś blondyny, przy pomocy jej drugiej piersi próbował popełnić samobójstwo wciskając głęboko nos w miękki, przelewający się worek. Nie widziałem dokładnie jej twarzy, ale wyobraziłem sobie, że jest równie apetyczna i świeża jak palma, pod którą siedzieli.

Jeszcze raz cofnąłem głowę i rozejrzałem się. Najbliższa lampa była o cztery kroki ode mnie. Podszedłem do niej i przez chusteczkę wykręciłem żarówkę. Parka na dole nie zareagowała, więc oderwałem z opakowania papierosów pasek folii, owinąłem gwint żarówki i włożyłem ją na miejsce. Za drugim obrotem trzasnęła pod palcami iskra i hotel pograżył się w mroku. Na palcach wróciłem do schodów. Chwilę jeszcze trwała cisza, potem usłyszałem lekko zachrypnięty, kobiecy głos.

– Mack, bezpieczniki strzeliły. Mack!

– No to co? – burknął malec. – Przeszkadza ci to? Przecież i tak nikogo tu nie ma – cmoknięcie z dołu świadczyło o powrocie do przerwanych pieścizot.

– Nie wygłupiaj się! Idź, zrób coś. No! – wyglądało, że zepchnęła go ze swych kolan.

Klnąc w duchu własną głupotę wróciłem do lampy i wykręciłem żarówkę, położyłem ją na podłodze i wróciłem do schodów, akurat żeby zobaczyć jak korniszon i jego sweet girl zapalają papierosy, i potem on wychodzi z zapalniczką w rękę. Ześlizgnąłem się po schodach i poszedłem w kierunku biurka. Odnalazłem je łatwo, obszedłem dookoła i przycupnąłem za nim, tak by mnie od razu nie zobaczyli. Po krótkiej chwili zapaliło się światło. Nie dałoby się o tym powiedzieć „rozbłysło”, żarówki zaczęły świecić w jakiś niechętny, wymuszony sposób. Usłyszałem kroki i głos:

– Już, kurewska instalacja... Czegoś się ubrała? Te! No co jest?

Wstałem i powiedziałem:

– Może ma już dość? Rozkładasz każdą w kilka mi nut, nie dziw się,

Mack.

Podskoczył i w powietrzu wykonał obrót, blondynka tylko odwróciła głowę. Mack opadł już na podłogę i zezował w stronę korytarza z którego wyszedł.

– Jak chcesz to próbuj – powiedziałem spokojnie. – Co prawda wolałbym z tobą porozmawiać, ale jeżeli masz już dość życia... – rozłożyłem ręce jakby zapominając, że z prawej dłoni przekonywująco sterczy biffax.

– Czego chcesz? – wychrypiął niedawny zalotnik.

– Czyj to commodore? – wskazałem kciukiem na tyły hotelu.

Otworzył usta, ale nie jego głos usłyszałem.

– Mój! Wrócił pan nim? – blondynka siedziała dalej pod palmą, głowę oparła o ścianę.

– Tak. Przepraszam za kłopot, nie miałem wyboru – nie wiem dlaczego poczułem coś na kształt szacunku dla tej kobiety. Może dlatego, że gdybym to ja miał tak zmęczoną twarz to nie zastanawiając się ani chwili skoczyłbym głową w dół z najbliższego mostu nad torami kolejowymi. – Ma pełne zbiorniki, w skrytce jest dwieście dolarów. Jeszcze raz przepraszam – skłoniłem się lekko w jej kierunku. Nie doczekałem się żadnej reakcji i wróciłem do korniszona. – Czego chcieli ci goście w buicku?

Zmrużył chytre oczka. Kombinował co bardziej mu się opłaci.

– Jacy?

– Ci, którzy powiedzieli co zrobią z tą budą i tobą jak im nie pokażesz pokoju dziewczyny. No? I pamiętaj, że ja mogę zrobić to samo, albo i lepiej. Jestem ich nauczycielem.

– No-o... Pytali o dziewczynę... Podałem im numer dziewięć, tak jak pan chciał...

– W porządku, jestem ci serdecznie zobowiązany – udałem, że wierzę w to co mówi. – Dobrze. A co się stało z białym bastaadem z drogi?

Wciągnął trochę dolną wargę i błysnął oczkami w kierunku telefonu. Zrobiłem kilka kroków, zerwałem przechodząc obok aparatu przewód i stanąłem tuż przed nim. Staliśmy tak chwilę, a potem tupnąłem nogą

trafiając obcasem w jego palce i podstawiłem szybko pięść pod jego opadającą do dołu głowę. Uderzył się noskiem w knykcie i jęknął. Westchnąłem teatralnie.

– W... ga-arażu... – jęknął trzymając się obiema dłońmi za nos.

– Idziemy tam – pchnąłem go leciutko. – Pani niestety też musi z nami pójść – odwróciłem się do blondynki.

Wstała od razu i wyszła spod palmy, światło nie dodało jej uroku. Pchnąłem faceta do wyjścia i poszedłem za nim, kobieta otwierała pochód. Przystanąłem sekundę na schodach i obejrzałem podjazd. Pusty, ale to musiałem przyjąć na wiarę, bo pod drzewami i krzakami mogły stacjonować dwa plutony czołgów. Szedłem za nimi bez przerwy kręcąc głową i tak doszliśmy do ciemnej budy w rogu podwórza. Pchnąłem faceta do drzwi i zapytałem kobietę:

– Kto go tu wstawił?

Odwróciła się do mnie..

– Tamci powiedzieli, że to pana wóz i żeby go wziąć w zastaw. Sami go wprowadzili. Mack tak powiedział, ja nie widziałam. Zamknęli mnie w piwnicy.

Mack otwierał już drzwi, podszedłem bliżej i wziąłem go za kołnierz z tyłu.

– Włącz światło – powiedziałem.

Zrobił dwa kroki w ciemność i sięgnął ręką do ściany. Trzepnąłem go po palcach lufą aż zawył. Przejechałem ręką, znalazłem okrągłą wypukłość i wcisnąłem ją. Zapaliły się kwadratowe plafony pod sufitem. Tuż obok wyłącznika wisiał zgrabny toporek. Cmoknąłem głośno.

– Myślałeś, że jak mnie trzepniesz to zobaczę wszystko w świetle gwiazd i zaoszczędzisz na prądzie? Skąpiradélko – położyłem rękę na jego barku i ścisnąłem lekko palce. Syknął i przysiadł. – To był twój ostatni żart na dzisiaj, przynajmniej ja będę teraz już reagował poważnie. Jasne? – pchnąłem go w kierunku samochodu. – Wsiądziesz, opuścisz wszystkie szyby i wyprowadzisz wóz przed garaż. I nie zapomnij o oświetleniu wewnętrznym. Szybko!

Zrobił krok i odwrócił się.

– Nie znam tego samochodu, za dużo automatyki. Jeszcze rozwałę...

– Tamci też nie znają tego wozu, a dojechali tu jakoś. To nic trudnego, spróbuj tylko. No-o-o... Mack? – podniosłem lekko lufę.

Pokręcił głową. Podszedłem bliżej. Miał pot na dolnej wardze i drżały mu powieki.

– Gdzie to wsadzili? – zapytałem.

– Dokładnie nie wiem. Schodzili do kanału, pod samochód. Są tam niedopałki – powiedział cicho.

Zrobiło mi się go żal. Zrujnowany hotelarz wciągnięty wbrew swej woli w grę, gdzie nie było dla niego dobrej pozycji.

– Znasz się na samochodach? – zapytałem.

– Byłem mechanikiem zanim wplątałem się w ten pieprzony hotel. Facet, który mi go sprzedał wiedział, że planowany jest objazd i nowa gałąź autostrady. Kupiłem to gównem i po roku straciłem wszystkich klientów – rozgadał się nieoczekiwanie.

– Wyjmij szybko to co oni zamontowali, to nie może być trudne. Chyba nie siedzieli tu długo? – zaprzeczył ruchem głowy. – Zrób to szybko, a nie pożałujesz.

– Po co pan go buja? – odezwała się blondynka od drzwi. – Cokolwiek robi, będzie żałował. Tamci obiecali wrócić. Myśli pan, że nas pochwalą za współpracę z panem? – wyjęła z kieszeni spódnicy paczkę papierosów i zapalniczki. Gdy zapalała papierosa, po męsku osłaniając płomyk stulonymi dłońmi, odczytałem na zapalniczce napis: „Palmiarnia”. Musiało im zostać trochę z krótkich, dobrych czasów.

– Ma pani rację. Zrobimy tak. Daję dwa tysiące za szybkie i gruntowne załatwienie tej sprawy – pokazałem dłonią samochód. Przedtem już schowałem pistolet do kieszeni. – A wy pakujcie swoje manatki i spływajcie w tym świetnym commodore jak najdalej stąd. Nie będą was specjalnie szukać, nie jesteście im aż tak bardzo potrzebni i nic szczególnie ważnego tu się nie wydarzyło. Oni nie są głupi. Więc? – odwróciłem się do faceta.

– Dwa tysiące? – bąknął i spojrzał na blondynkę. – Millie?

– Chyba nie trafi nam się już nic ciekawszego – powiedziała wolno.

Mack strzelił palcami i poszedł do tyłu. Obszedł samochód i zniknął w kanale. Wypaliłem całego papierosa, gdy usłyszałem spod wozu triumfujące:

– Je-e-est!

I po chwili:

– Aha... tu... ta-ak... tędy i co? Koniec? Jasne... No to...

Usłyszeliśmy szybkie kroki pod samochodem, Mack wyłonił się z tyłu bastaada. Trzymał w ręku wąski cylinder z kilkoma przeciętymi przewodami. – Prymitywne, ale nie mieli dużo czasu! – facet wyglądał teraz zupełnie inaczej niż przed dwudziestoma minutami. – Zobaczę jeszcze w silniku – otworzył pokrywę i pochylił się. Zajrzałem mu przez ramię, ale na pierwszy rzut oka nie zobaczyłem niczego ciekawego, a na tym kończyły się moje wiadomości z budowy silnika. – Wygląda, że nic nie ma. Trzeba spróbować – trzasnął klapą i ruszył w kierunku drzwi samochodu.

Zrobiłem szybki krok za nim i chwyciłem go za ramię.

– Dobra, to już ja zrobię – sięgnąłem do kieszeni, gdzie schowałem forszę Millermanna. Odłączyłem z tuzina dwa banknoty i podałem Maćkowi. – Ty już skończyłeś – zrobiłem krok do przodu, ale on stał dalej w tym samym miejscu. Trzymał forszę jakby się bał, że mu uleci niczym balon i nie ruszał się z miejsca. W końcu spojrzał na mnie i powiedział:

– Ja odpowiadam za robotę.

Złapałem go znowu za ramię, ale podniósł nagle oczy w górę i zaczął nasłuchiwać. Puściłem go i skoczyłem do drzwi. Stuknąłem w wyłącznik, wypchnąłem z garażu Millie i z biffaxem w dłoni wysunąłem się za drzwi. Zrobiłem kilka kroków nasłuchując i rozglądając się na wszystkie strony i wtedy usłyszałem cichy trzask drzwi bastaada, a po sekundzie, gdy biegłem już z powrotem, cichy pomruk silnika. Gdy stanąłem w drzwiach, zapaliły się reflektory, wóz spokojnie wypełził z garażu i zatrzymał się. Szarpnąłem klamkę.

– Ty durniu! W bohatera się bawisz?

Mack wyłazł z wozu uśmiechnięty. Pochylił się ku wnętrzu i otworzył

znowu maskę. Odsunął mnie władcym gestem i wsadził łapę gdzieś w silnik. Dotarło do mnie, że zapalił wóz bez klucza.

– Mack nie jest taki zły. Jesteśmy tylko bardzo zmęczeni i zniechęceni. Wszystko nam się rozpadło, może teraz będzie inaczej – powiedziała Millie i wyciągnęła w moim kierunku paczkę swoich kentów. Wziąłem jednego i zapaliłem.

– Starczy wam godzina na spakowanie się? – zaciągnąłem się mocno.
– Tyle mogę poczekać.

Spojrzeli na siebie. Potem odwrócili się do mnie i powiedzieli jednocześnie:

– Jasne – to Mack.

– Oczywiście – Millie.

– No to idźcie, ja trochę odetchnę świeżym powietrzem.

Gdy weszli do hotelu, wtoczyłem wóz do garażu, a sam wpakowałem się w krzaki i objąłem wartę. Słyszałem jakieś hałasy z tyłu gdzie stał commodore, coś stuknęło, czasem zaskrzypiał żwir pod pantoflem. Po czterdziestu minutach zza rogu wychylił się Mack i zawołał:

– Jesteśmy gotowi, zapraszam na pożegnalnego drinka.

Na wszelki wypadek nie odzywałem się i krzakami dotarłem do niego. Pamiętałem, że widział resztę forsy.

– Spakowaliście się?

Podskoczył znowu jak przed godziną, ale nic nie powiedział tylko skinął głową i poszedł pierwszy do drzwi. Wszedłem za nim. W ponurej i ciemnej kuchni wypiliśmy w milczeniu po jednym. Podziękowałem za drugi, życzyłem powodzenia i wyszedłem.

W garażu wsiadłem do bastaada, uruchomiłem silnik i czekałem jeszcze chwilę aż commodore z przyczepą z tyłu wyjedzie z budynku. Wytoczyłem się również, stanąłem na wylocie i wypuściłem ich pierwszych. Pojechałem w przeciwnym kierunku, życząc im w duchu powodzenia, ale nie wierząc w to zupełnie. Po prostu facet, który widzi, że drugi ma kieszeń wypchaną forszą i nie daje mu wylecieć w powietrze, by potem spokojnie pozbierać może pokrzwawione, ale w zupełności

ważne pieniądze, nie ma żadnych szans utrzymać się na powierzchni.
A wiedziałem z doświadczenia, że z kolei na dnie miejsca dla takich jak
on jest aż za dużo.



Rozdział ósmy

Przed ósmą byłem z powrotem pod swoim biurem. Wóz zaparkowałem dwie przecznice wcześniej i na piechotę przeszedłem się obserwując bramę i stojące obok samochodu.

Nikogo podejrzanego nie zauważyłem, ale nie miałem złudzeń. Moi przeciwnicy mieli prawie dobrą na zorganizowanie trochę lepszej akcji niż ten pokpiony incydent z Pymą. Wystarczy kamera, gdziekolwiek – w samochodzie, na dachu, w którymś z okien naprzeciwko. Wytypowałem nawet kilka wozów, których nigdy przedtem nie widziałem, ale o niczym to nie świadczyło. Przeszedłem tu tylko po to, aby można mnie było zauważyć. Na razie musiałem czekać na ruch przeciwnika. Zawróciłem i poszedłem z powrotem do wozu. Wyskoczyłem szybko na Deep River i pojechałem na zachód. Kilka razy zmieniłem kierunek jazdy, chciałem być jeszcze jakiś czas sam. Nie zauważyłem ogona więc zatrzymałem się pod barem „Piwnica”, wszedłem tam i skierowałem się do WC. Były tam świetne szerokie okna, po minucie byłem już w zaśmieconym zaułku, wskoczyłem w bramę, która wyprowadziła mnie na podwórko stykające się z domem, gdzie mieszkał Carter.

Wszedłem wolno na drugie piętro i wcisnąłem guzik dzwonka, nie słyszałem jego dźwięku, ale po chwili czekania pokryta spękaną warstwą farby tafla drgnęła, uchyliła się i stanął w progu Carter. Nie miał zbyt uprzejmego wyrazu twarzy.

– Nie poznajesz mnie? – zapytałem.

– Poznaję. Chcesz wejść? – stwierdził bez radości w głosie.

Skinąłem głową. Odsunął się i wpuścił mnie. Poszedłem szybko do drzwi na lewo, za sobą usłyszałem jakieś chrząknięcie, otworzyłem drzwi

i wszedłem. Pokój był zaciemniony, ale znałem rozkład, zresztą trochę światła padało z tyłu, dotarłem do fotela i usiadłem wyjmując jednocześnie papierosa. Carter włączył światło i usiadł w drugim fotelu.

– Nic nie wiem i nie będę wiedział – powiedział nachylając się do mnie i biorąc bez zaproszenia papierosa. Przypalił od mojej zapalniczki i pokiwał głową z uznaniem. Obejrzał ją dokładnie i zapalił jeszcze kilka razy.

– Mam kilka nazwisk do sprawdzenia – wypuściłem dym pod sufit.

Pokręcił głową i odłożył zapalniczkę.

– Powiedziałem: nic nie wiem. Koniec. Wycofałem się. Czasy są coraz niebezpieczniejsze i wolę głodować jeszcze kilka lat niż umrzeć od razu.

– Zawsze tak mówiłeś – strząsnąłem popiół do popielniczki. – Ostatni raz – dodałem.

– Nie. Tym razem rzeczywiście koniec, Yates. Zrobiło się zimno. Jak na cmentarzu.

– Wyjeżdżasz? – zapytałem.

Skinął głową i zgasił papierosa. Wstał i czekał na mnie.

– Odłączyłeś już telewizor? – siedziałem dalej, tylko palec wycelowałem w duży ekran na ścianie między oknami.

Grdyka skoczyła mu gwałtownie w dół i wróciła na swoje miejsce. Usiadł. Splótł palce obu dłoni i objął nimi kolano. Milczał.

– Pokój czysty? – zapytałem cicho. Nie odpowiedział więc ciągnąłem dalej:

Woodey'a cholernie ucieszy wiadomość, że były policjant podłączył się do archiwum policyjnego i za parę dych można uzyskać u niego każdą informację.

Ręce mu drgnęły, ale zdawał sobie sprawę, że nieopatrznie przyjął bardzo niewygodną pozycję i siedział dalej nieruchomo. Patrzył mi w oczy i tylko raz jego spojrzenie opadło na moją lewą rękę w kieszeni kurtki.

– Potrzebne mi są informacje o kilku osobach i na tym kończymy znajomość. Już nigdy więcej w życiu nie przypomnę sobie twego nazwiska. Chyba wiesz, że dotrzymuję słowa – złągodziłem nieco

wcześniejszą groźbę.

Siedzieliśmy chwilę w milczeniu. Zastanawiałem się czy postanowienie Cartera, chyba rzeczywiście szczerze, zbiegło się przypadkowo ze sprawą, czy też krążą na ten temat w zainteresowanych kołach jakieś cichutkie ploteczki.

– Dobrze – powiedział Carter. – Ostatni raz. Zresztą i tak się zmywam...

– Coś się stało? – zapytałem niby z grzeczności.

– Nic konkretnego. Przeczucie. A ponieważ nigdy przedtem nie miałem takich... – strzepnął palcami szukając odpowiedniego słowa... – widzeń, postanowiłem zaufać intuicji. Gdybyś przyszedł jutro... – wzniosł brwi i oczy w górę demonstrując jakby to było fajnie, gdybym przyszedł jutro.

– No to mam szczęście. Posłuchaj... – wymieniłem sześć nazwisk osób, których nietypowe losy przedstawiłem przedwczoraj Woodey'owi rozkładając jednocześnie na stoliku banknot studolarowy. – Jakby były jakieś kontakty to by mi odpowiadało. Aha! Jeszcze Donald Inglehardt – przypomniałem sobie w ostatniej chwili.

– Jutro? – wstałem.

– Oczywiście – siedział nadal. – Przecież mówię, że się spieszę. Zadzwoń do ciebie z samego rana.

Pokiwałem wskazującym palcem w powietrzu i wyszedłem z mieszkania Cartera. Wróciłem tą samą drogą do „Piwnicy”, nie sądziłem by ktoś, kto być może mnie śledził, siedział tam i czekał. Bardzo było mi na rękę zdenerwowanie w szeregach moich przeciwników. Wróciłem do baru i zamówiłem piwo. Sprzedawali je w kuflach, dwa takie miały chyba sporo kalorii, bo poczułem, że skurcze w brzuchu ustały, zapłaciłem i wyszedłem na ulicę. Nikt nie czekał na mnie na chodniku, wsiadłem bez przeszkód do samochodu i pojechałem w kierunku domu. Nikogo nie było również pod domem, na klatce schodowej i w korytarzu. Ostrożnie wszedłem do mieszkania, poczekałem chwilę obok wieszaka i ruszyłem do pokoju. To był błąd,

bo już w progu poczułem, że ktoś stoi za moimi plecami, spróbowałem się odwrócić i wtedy przekonałem się, że znowu popełniłem błąd. Ten ktoś nie stał nieruchomo. W połowie obrotu w twarz uderzył mi obłok piktozyny, wstrzymałem oddech i runąłem na podłogę.



Rozdział dziewiąty

Wciągnąłem w płuca znikomą ilość paralizatora, prawie nic, ale to wystarczyło, bym na chwilę stracił przytomność. Gdy ocknąłem się, dotarł do mnie jakiś szmer z łazienki. Leżałem spokojnie udając omdlenie. Uchyliłem trochę powiekę lewego oka, bliższego podłogi. Światło było wyłączone, musieli nieźle znać rozkład mieszkania. Nie ruszałem się nie mając pewności, że chemik jest sam. Ciekaw byłem, czego on szuka w mojej łazience, bardzo ciekaw, nie na tyle jednak, by ryzykować cokolwiek. Ostrożnie otworzyłem drugie oko. Ciemno. Coś szurnęło w łazience, potem cichy szelest rozległ się w korytarzyku. Nagle szczęknął zamek, smuga światła wpadła do mieszkania i od razu jej wachlarz zwinął się z powrotem. Prawie bezgłośnie zamknęły się drzwi i otoczyła mnie cisza. Poleżałem jeszcze chwilę i zacząłem się podnosić. Starąłem się znaleźć od razu pod ścianą, jakoś przestałem lubić otwartą przestrzeń za plecami. Postąłem moment i włączyłem światło. Miałem już w rękę biffaxa, ale mimo najlepszych chęci nie mogłem znaleźć celu. Zgasiłem światło i usiadłem w fotelu. Po dziesięciu minutach zapaliłem lampę i poszedłem do łazienki. Nie szukałem zbyt długo. Pod wanną leżał składany nóż z ostrzem cienkim jak papierowa bibuła. Był wytarty, ale niezbyt dokładnie, rzuciłem go na stół w pokoju i poszedłem do kuchni. W lodówce stała zapieczętowana jeszcze butelka żytniej wódki. Wyjąłem z szafki dwie szklaneczki i poszedłem do pokoju. Zerwałem kapsel, wypilem tak na dwa palce i wystukałem numer komendy. Gdy na ekranie pojawił się gładko ogolony rudzielec powiedziałem wolno:

– Nazywam się Owen Yates. Proszę mnie połączyć z kapitanem Woodeyem.

Zdziwienie spłynęło mi na twarz. Miał prawo się dziwić, nie był centralą telefoniczną, ale on zdziwił się z innego powodu.

– Y-y... Ja... Kapitan Woodey?... – gorączkowo myślał, aż wypalił:

– Wróci za pięć minut, jest u komendanta..

– Aha-a... – pokiwałem ze zrozumieniem głową. – Dobrze, zadzwonię później, Dziękuję.

Stuknąłem w klawisz videofonu i zwałem się w fotel. Czekałem na dzwonek i rozległ się po jakichś trzech minutach. Poszedłem otworzyć.

W drzwiach stał Woodey, za nim rysowały się dwie inne sylwetki. Cofnąłem się pod ścianę i wskazałem dłonią mieszkanie.

– Proszę.

– Jestem oficjalnie, Owen – powiedział wolno Woodey.

– No to wejdź oficjalnie – ruszyłem do pokoju, ale zatrzymał mnie okrzyk Woodeya:

– Stój! Pojedziemy do komendy.

Odwrociłem się do niego. Jakiś nieznajomy mundurowy zrobił krok do przodu. Ten drugi, Philips, stał nadal nieruchomo.

– Ktoś cię kiwa, kapitanie. Jeśli chcesz, żeby to mu się udało... – sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem biffaxa. Podałem go Woodeyowi kolbą do przodu.

Stał nieruchomo i patrzył mi w oczy. Nagle odwrócił się do policjantów i powiedział:

– Poczekajcie na mnie – zrobił dwa kroki do przodu i zamknął za sobą drzwi. Wzruszyłem ramionami i poszedłem do pokoju. Położyłem broń na stole i sięgnąłem po butelkę. Nalałem sobie i usiadłem.

– Przed chwilą ktoś chciał mnie zamrozić. Schował pod wanną to – skinąłem głową w stronę noża. – Miałeś telefon, co?

– Tak.

– Sądzę, że tym nożem poderżnięto gardło Pymie Gordenius – powiedziałem i wlałem w siebie wódkę. Była zimna i mocna, wciągnąłem nosem powietrze. Tak nauczył mnie Karl, którego z kolei

edukował jakiś Słowianin.

– A co o tym wiesz? – James usiadł wreszcie i nalał sobie ćwierć szklanki. Wypił i kaszlnął kilka razy. – Nie masz czegoś innego? – zapytał, kończąc oficjalną część spotkania.

– Mam, ale nie wiem, czy mój gość nie zrobił mi jakiegoś dowcipu. A co do Pymy... – odstawiłem szklankę. – wynajęła mnie przedwczoraj. Twierdziła, że ktoś zabił jej męża. Możesz sprawdzić w moim minicompie, otworzyłem rachunek, rozmawiałem z nią raz, a kilka godzin później ktoś odciął jej głowę.

– To nie była żona Gordeniusa.

Spojrzałem na niego. Postarałem się, by w moim spojrzeniu przeczytał zdziwienie i zamęt.

– Nie bardzo rozumiem w takim razie... – zmarszczyłem brwi, zrobiłem „puste” spojrzenie – ... po co... Czeka! A prawdziwa Purna?

Wskazał palcem na butelkę i zakręcił nim młynka. Nalałem do jednej trzeciej. Wziął swoją i wypił. Tym razem obeszło się bez krztuszenia.

– Nie ma! Wyjechała na urlop i zniknęła. Matka jej męża twierdzi, że nie rozmawiała z nią od miesiąca – poczęstował mnie papierosem.

Wypuściłem dym i powiedziałem:

– Może najpierw ją zabili, a potem wypuścili na mnie tę drugą?

– Całkiem możliwe. Ale pewności na razie nie mamy.

– A co to za jedna? Ta zabita?

– Nora Dent. Jakaś aktoreczka. Reżyserzy nie bili się o nią. Ktoś ją wynajął do zagrania małej rólki. Ale po co? Coś ci się kojarzy?

– Skąd! – zdusiłem papierosa w popielniczce. – Żadnej sprawy nie prowadzę, chyba że ktoś się chce zemścić, ale to bez sensu. Jakbym po prostu dostał w łeb, to wiedziałbyś czego szukać, ale taka wyrafinowana intryga? Przy tym jednak po partacku przeprowadzona; – pokręciłem głową.

Woodey wyciągnął chusteczkę i sięgnął po nóż. Obejrzał go pobieżnie.

– Na pewno są moje odciski. Przez jakiś czas byłem rzeczywiście nieprzytomny. A potem wyciągnąłem go spod wanny... I nie sądzę, by

było na nim coś jeszcze.

– Pewnie, że nie, ale na wszelki wypadek... – schował nóż do kieszeni i wstał. – Słuchaj, za kilka dni organizuję małe przyjętko. Audrey i ja chcielibyśmy, aby nasi przyjaciele poznali się nawzajem. Właściwie z mojej strony to chodzi tylko o ciebie. Przyjdiesz?

– Oczywiście – wstałem również. – Chcę przede wszystkim poznać twoją wybraną. Ze zdjęć sądząc... – zawiesiłem głos na znak uznania.

– Jeszcze lepiej. Przekonasz się. No... to do zobaczenia – poszedł do drzwi. Chwytał klamkę i odwrócił się.

– Uważaj – powiedział poważnie. – Coś mi się tu nie podoba.

Kiwnąłem głową.

– Mnie też.

– Jakby co, to wiesz gdzie dzwonić, nie? – zapytał. Często tak pytał. Odpowiadałem mu, że znajdę numer w książce telefonicznej.

– Wiem. Poszukam w książce – powiedziałem.

Wyszedł.

Wróciłem do pokoju, zabrałem butelkę i schowałem do lodówki. Powymowałem z niej wszystko, co nie było szczelnie zamknięte i śmiejąc się w duchu z siebie wrzuciłem do przewodu spalarki. Ułożyłem listę zakupów i przedyktowałem ją sklepowemu komputerowi. Zrobiłem sobie mocną kawę i wróciłem na fotel.

Udało mi się wyłączyć. Siedziałem rozluźniony, powtarzając w myślach wierszyk dla dzieci: „Leciała kukułeczka nie do mnie, nie do mnie, śpieszyła się ogromnie. Koń ją kopnął kopytem, wieprz przywalił korytem...”. Za piątym razem, gdy zaczynałem już bębnić rytmicznie w poręcz fotela ćwierknął telefon. Zerwałem się potrącając stół. Paręnaście kropel kawy chlusnęło na spodek. Podniosłem słuchawkę.

– Nie mam czasu na rozmowy – usłyszałem głos Cartera. – Jeżeli jesteś na podsłuchu... Mówić?

Zacisnąłem pięści.

– Nie możemy się spotkać? – spytałem znając odpowiedź.

– Nie zdążysz. Mówić? – powtórzył zniecierpliwiony.

– Tak.

– Ohio Street dwanaście. Kręgielnia. Zapytasz portiera o Doodoo. To jest najbliższy kumpel Luppo. To wszystko, co mogę ci powiedzieć.

– Coś się stało? – zapytałem.

– Cud. Niedługo po twoim wyjściu zadzwonił telefon. Nikt się nie odzywał. Rzuciłem słuchawkę i wyszedłem do kiosku po papierosy. Zdążyłem wyjść z bramy, gdy moje piętro zniknęło z powierzchni ziemi. Rozumiesz? Wynoszę się z tego kraju. Cześć! – słuchawka wtrąciła swoje do pożegnania. Odłożyłem ją i westchnąłem. Potem spakowałem się, to znaczy wsadziłem w kieszeń biffax i wyszedłem z mieszkania. Zanim zamknąłem drzwi wsadziłem w szczelinę paseczek folii z opakowania dromaderów. Zszedłem na dół i wywołałem z garażu samochód, a gdy wyjechał wsiadłem i ruszyłem po wariacku. Po chwili stwierdziłem, że jakieś światła z tyłu kopiują moje ruchy, więc przyspieszyłem jeszcze, przedarłem się przez skrzyżowanie na czerwonym świetle, przeleciałem dwie jednokierunkowe ulice pod prąd i wyszedłem z tego cała, nie mając nikogo za plecami. Zaparkowałem bastaada i pieszo doszedłem do starego wiśniowego hurona stojącego obok kwiaciarni „Jamaya”. Otworzyłem go i wsiadłem. Ulica ciągle była pusta. Sprawdziłem stan licznika, ilość paliwa i trąciłem zapłon. Zaskoczył już za trzecim razem, mimo że ostatni raz używałem go siedem miesięcy temu. Kiedyś robili dobre samochody.

Nie było w nim końcówki, więc połączyłem się telefonicznie z informacją miejską i dowiedziałem się kto jest właścicielem kręgielni na Ohio Street. Nazwisko nic mi nie mówiło. Dojechałem tam w ciągu sześciu czy siedmiu minut modląc się przez cały czas, by portier nie zdziwił się na mój widok.

Nie zdziwił się. Obejrzał bezczelnie piątkę pod światło i rzucił mi kartkę, na której pracowicie nagryzmoili; „Driscoll St. Hotel „Pałace”. Wahałem się, czy uczulić go na ewentualne przybycie następnych przyjaciół Luppo, ale zrezygnowałem. Wyszedłem na ulicę i wskoczyłem do hurona. Zaraz za skrzyżowaniem wrąbałem się w korek spowodowany jakimś wypadkiem. Nie wiadomo skąd za mną ustawiły się jeszcze inne samochody. Sterczałem idiotycznie zablokowany,

dopiero po pół godzinie wydarłem się z korka i popędziłem na Driscoll. „Pałace” znalazłem dopiero podczas drugiego przejazdu po ciemnej uliczce. Drzwi były zamknięte, musiałem dobijać się dłuższą chwilę zanim usłyszałem drobne, szybkie krocзки i uchyliły się drzwi. Stała w nich młoda dziewczyna, twarz ze sterczącym ostro nosem pokrywała gruba warstwa pudru, szminki i kremu, niekoniecznie dzisiaj nałożonych. Zamrugła grubo uczernionymi rzęsami i zapytała:

– Pokój? – Skinąłem głową. Wtedy nagle odsunęła się w tył i rzuciła: – Nie ma! – jednocześnie usiłowała zatrzaskać drzwi. W ostatniej chwili zdążyłem wsadzić but w szczelinę. Pchnąłem drzwi i wszedłem do hallu. – Szukam faceta, który nazywa się Doodoo. Mam mu oddać dług – dodałem wyjaśniająco.

Na twarzy miała napisane: „Akurat wierzę!”, ale nic nie powiedziała, tylko odwróciła się i poszła przodem. Przy schodach stanęła i powiedział przez ramię:

– Trzecie piętro, trzydzieści cztery.

Schody były szerokie. I stare. Trzeszczały niesamowicie pod stopami, tak że ledwo usłyszałem dźwięk dzwonka. Zacząłem biec skacząc po trzy stopnie. Drzwi z numerem 34 były zamknięte, zastukałem i przyłożyłem ucho do dziurki od klucza. Usłyszałem wyraźny szum z ulicy, pchnąłem drzwi. Zatrzeszcząły i puściły.

W oczy od razu rzuciło mi się otwarte okno. Na wysokości parapetu biegł wąski taras z metalowych prętów. Dochodził do rogu i skręcał, pewnie kończył się drabinką przeciwpożarową. Wróciłem na dół i podszedłem do siedzącej na fotelu dziewczyny. Paliała spokojnie nie zwracając na mnie uwagi. Odważna.

– Niepotrzebnie prysnął – powiedziałem z żalem. – Chcę od niego pewnej informacji nikomu to nie zaszkodzi, a on może zarobić pięćdziesiąt – wyjąłem z kieszeni pieniądze. Podałem dziewczynie piątkę. – To dla pani, a to proszę mu dać i powiedzieć, że jeszcze takie dwie są dla niego przygotowane – dodałem dwudziestkę i wyszedłem.

Wsiadłem do wozu i odjechałem. Skręciłem w pierwszą przecnicę i zatrzymałem się. Wysiadłem i wróciłem pod hotel. Wsunąłem się

w załom muru i oparłem plecami o ścianę. Czekałem tak dziesięć minut zanim zobaczyłem wysoki chudy cień ślizgający się po murze hotelu. Wysunąłem głowę i obejrzałem mężczyznę. Robił kilka kroków i przystawał, rozglądał się, prawie czuć było jego strach i wahanie. Kręcąc głową na wszystkie strony przystanął naprzeciwko wejścia do hotelu, jeszcze raz obejrzał się dokładnie i ruszył przez jezdnię. Wysunąłem się z kryjówki, a gdy doszedł do drzwi i przystanął przy nich powiedziałem:

– Doodoo! Chcę z tobą porozmawiać — mężczyzna szarpnął się i odwrócił twarzą do mnie. Z prawej i lewej miał poręcze, za nimi głębokie zejście do piwnicy, a od frontu drogę ucieczki zamykałem ja. Prawa ręka, zwisająca luźno zaczęła wykonywać jakieś węzowe ruchy. Wysunąłem do przodu lewą rękę spoczywającą w kieszeni. Lufa pistoletu jednoznacznie obciągała kieszeń. – Zostaw ten nóż w spokoju – powiedziałem. – Dziewczyna ma dla ciebie dwadzieścia dolarów, a ja dam ci dwa razy tyle za chwilę rozmowy. Chodzi mi o informacje o Luppo – przechylił lekko głowę jakby uspokojony, widocznie bał się jakiejś innej sprawy. – Nikomu nie zaszkodziś – dodałem jeszcze.

Odkleił się od drzwi i szedł dwa stopnie niżej.

– Forsa z góry! – powiedział stanowczo, ale głos mu drżał. Jego zdecydowanie warte było trzy centy i to sprzed wymiany. Kiwnąłem głową i wyjąłem zwitek banknotów. Wyszukałem dwie dwudziestki i podałem mu. Chwycił łapczywie i wsunął w kieszeń, ale wszystko robił lewą ręką. – Chodźmy stąd – powiedział.

Zaden z nas nie ufał drugiemu, dlatego szliśmy niby razem, ale oddzieleni całą szerokością chodnika. Za rogiem wcisnęliśmy się w szczelinę między hotelem i następnym budynkiem. Po kilku metrach szpara rozszerzała się tworząc niewielki placyk, jakieś dwa na trzy. Przystanęliśmy.

– No? – zapytał Doodoo. Gdybym go nie widział jak się skradał przed chwilą pomyślałbym, że to on mnie tu przyprowadził.

– Henry Luppo – powiedziałem. – Wszystko.

– Masz papierosa?

Zdenerwował mnie jego zdecydowany, nieomalże groźny ton.

– Jak nie przestaniesz wrzeszczeć na mnie to tak cię pieprzę, że zęby wylecą ci przez dupę!

Wyjąłem papierosy i wysunąłem przed siebie paczkę. Trzymałem je chwilę, zanim przełknął strach i zdecydował się wziąć. Ale za to wziął dwa. Zabawny typ. Zapaliliśmy.

– Poznałem go dwa lata temu. Siedziałem za włam, on za torebkę. Wydarł ją jakiejś kobiecie, a gdy wsadził łapę do środka, torebka złapała go kajdankami i uruchomiła syrenę. Po chwili był już w pudle. Ja wyszedłem pierwszy, on po dwóch miesiącach i od razu zwałił się do mnie. Ucieszyłem się – zaciągnął się mocno. – Mieszkałem sam, a on był o'kay. Jakiś czas nawet pracowaliśmy uczciwie, jeździliśmy ciężarówką, ale potem firma zlikwidowała trasę do Kanady i wypadliśmy. Kombinowaliśmy trochę, ale wszystko uczciwie. Prawie pół roku. Potem mnie skusiło otwarte okno. Dostałem trzy miesiące. Henry odwiedzał mnie regularnie, potem na dwa tygodnie zniknął, a kiedy wrócił powiedział, że chorował na zapalenie płuc. Rzeczywiście był jakiś zmieniony, szerniały i nerwowy. Z byle powodu podskakiwał, zezował naokoło. I ciągle oblizywał wargi jakby bez przerwy męczyło go pragnienie. Kilka dni po tych odwiedzinach zabił pierwszą dziewczynkę, dowiedziałem się tego z gazety.

On nic mi oczywiście nie powiedział. Dopiero jak wyszedłem z klatki, chyba po piątym morderstwie, złapałem go na myciu brzytwy. Mało nie zemdlałem – splunął pod nogi i odrzucił niedopałek szerokim łukiem. Czerwony ognik zakreślił łagodną krzywą i rozsypał się na mnóstwo iskerek po uderzeniu w ścianę. – Henry powiedział mi co robi. Wystraszyłem się go. Miał takie spojrzenie, tak pewnie trzymał brzytwę... Powiedział, że znajdzie mnie wszędzie. Żebym nie próbował wiać albo bawić się w kapustę. Nie próbowałem. Ale po ósmym zabójstwie zadzwoniłem na glinianki i zakapowałem. Nie przydało się to na nic, bo ktoś go stuknął. Następnego dnia znaleźli ciało – wyjął z kieszeni drugiego papierosa i zapalił.

– Słuchaj, mówiłeś że on się zmienił. Jak siedziałeś. A to na pewno był

on? – wyrzuciłem swojego peta i zapaliłem drugiego papierosa.

– Jasne. Na pewno. Pamiętał wszystko co robiliśmy dotąd.

– I nic się nie zmieniło? Jadł to samo? Pił? Ubierał? Na co chodził do kina, na takie same filmy jak przed chorobą?

– Nic się nie zmieniło – pokiwał głową.

– Prócz stosunku do dziewczek – mruknąłem. – A jak” przed tym było z dziewczynkami?

– Normalnie. Jak mieliśmy trochę forsy to braliśmy jedną do domu, czasem dwie. Ale nie takie jak później Henry... – szybko przejechał paznokciem kciuka po szyi.

– Słuchaj... – powiedziałem wolno. – Jakbym ci powiedział, że to nie był Henry Luppó tylko ktoś bardzo do niego podobny. Nawet nie bardzo, identyczny, ale inny. Mógłbyś się z tym zgodzić?

Patrzył na mnie zdziwiony. Zmarszczył brwi i myślał. Nawet w półmroku panującym wokół widziałem wysiłek na jego twarzy. W końcu podniósł głowę.

– Chyba nie-e... Miał bliznę na plecach i brakowało mu małego palca na prawej nodze, mówił, że taki się urodził. Wszystko się zgadzało, nie, niemożliwe.

Westchnąłem i zrobiłem krok do tyłu.

– Dobra. To wszystko. Idź pierwszy – kiwnąłem głową w kierunku wyjścia na ulicę.

Zakołysał się, ale poszedł. Tyle że od razu zrobił kilka szybkich długich kroków i wyprzedził mnie tak, że gdybym nawet chciał, nie sięgnąłbym go rękami. Szedł cały czas trzymając głowę lekko odwróconą, a tuż przed wyjściem skoczył do przodu i zniknął za ścianą. Gdy wyszedłem nie było go już nawet widać. Powłokłem się do samochodu.

Dwie plamy sylwetek przyklejonych do ściany zobaczyłem przechodząc ulicę. Skręciłem i poszedłem jezdnią. Cienie oderwały się od muru i pobiegły w moim kierunku. Odwróciłem się i zobaczyłem, że mają puste ręce. Serce uderzyło mocniej jakbym usłyszał, że na mój los padła główna wygrana. Zrobiłem tyłem dwa kroki w bok na pustej

jezdni. Ten pierwszy, tak jak chciałem, zasłonił mnie przed swym kolegą, odwróciłem się do niego bokiem i trzepnąłem podeszwą prawej nogi w pierś. Coś trzasnęło pod obcasem, facet złapał się za klatkę piersiową i runął na asfalt. Drugi zwolnił i sięgnął do kieszeni. Wyjął coś, co szczęknęło i błysnęło długie ostrze. Zwykły sprężynowiec, więc wyjąłem rękę bez spluwy i ustawiłem się do niego przodem. Szedł wolno, bokiem, kręcąc ręką z nożem. Jego kolega gramolił się na nogi jęcząc i spluwając – Dziabnij go... – wycharczał.

– Zar-raz... – syknął ten z nożem i zamarkował skok do przodu.

Gdy wysunął stopę do przodu, by wyhamować, skoczyłem i podciąłem ją. Majtnął rękami i zwałił się jakieś dwa metry od kolesia. Kopnięciem wytrąciłem mu nóż i sprawdziłem czy odleciał wystarczająco daleko. Odsunąłem się od pary przyjaciół i czekałem. Nie miałem zamiaru kończyć tak szybko zabawy. Podnieśli się prawie jednocześnie, pozwoliłem im ustawić się i radośnie podniecony skoczyłem do tego z lewej. Gdy obaj wahnęli się, zmieniłem kierunek i najpierw wpakowałem pięść w żołądek tego z prawej, nożownika, a dopiero potem sięgnąłem do nosa drugiego. Pierwszy stęknął przeciągle, drugi po prostu zawył i przykucnął. Trzymał dłonie przy twarzy i chlifał jak dziecko, jego kolega chwiał się zgięty jak parasol z łokciami na brzuchu. Partacze. Odetchnąłem głęboko.

– Chłopczy, tylko na filmach załatwia się faceta w sposób szybki i przyjemny – powiedziałem przekonywująco. – W życiu nie zawsze... – przerwałem, bo ten od noża wyprostował się i zrobił krok w moim kierunku. Jednocześnie zobaczyłem jakiś ruch z prawej strony.

Odwróciłem się lekko, by mieć oba obiekty w polu widzenia. Nożownik patrzył tylko na mnie i nie widział, że zbliża się z jego lewej strony jakiś facet. Nie wyglądał groźnie, szedł wolno, ale zdecydowanie. Potem skoczył nagle i wymierzył czubkiem buta kopniaka w krocze napastnika. Zaskoczony, wytrzeszczył oczy i z jękiem runął głową w dół. Mój sprzymierzeniec popatrzył na drugiego, wciąż jeszcze klęczącego z twarzą w dłoniach. Nie było już nic do roboty. Ten nowy, trzeci uczestnik potyczki, zrobił krok w moim kierunku i uśmiechnął się.

– Trochę się spóźniłem. Ale nie zawsze jest tak dobrze. Te bydlęta rzadko dostają nauczki taką jak dziś. Najczęściej trafia im się jakiś lebiega, któremu zabierają wszystko i biją dla wprawy.

– To chyba nie ci, nic nie potrafia – wskazałem brodą obu kiziorów w parterze. – A pan tu często pomaga przechodniom?

– Dosyć. Jestem... – sięgnął do kieszeni i wyjął coś błyszczącego. Wysunął do mnie dłoń z jakimś znaczkiem. Pochyliłem się, a wtedy on zwinął się i strzelił stopą w kierunku mojej twarzy. Ruch był zbyt szybki jak na mnie. Pięta trafiła w brodę, szczęknęły zęby, a z oczu sypnęły iskry. Zdążyłem jeszcze pomyśleć, że facet ma cholernie twardą piętę, mógłby nią szlifować diamenty. Musiałem myśleć bardzo szybko, bo przecież od razu straciłem przytomność.



Rozdział dziesiąty

Najpierw poczułem, że ktoś wypreparował mózg z mojej czaszki. Miałem uczucie, że pojedyncze myśli pętają się po pustym czerepie, odbijają od kości i wygasają. Dopiero potem pojawiała się następna myśl. Trwało to dość długo zanim pojawiła się pierwsza rozsądna – skoro myślę, to muszę mieć jednak mózg. Myślę, więc jestem. Huczało mi w uszach i paliły gałki oczne zakryte powiekami. Trochę za dużo jak na zwykłe kopnięcie w czaszkę. Poobracałem trochę oczami i rozchyliłem powieki, jakaś szara płaszczyzna zawirowała, ale po chwili ustaliła się i zobaczyłem betonową ścianę. W tej samej chwili coś mnie szarpnęło i zawirowałem w miejscu. Wiedziałem już, że siedzę, że jestem przywiązany do krzesła, gdy opuściłem głowę zobaczyłem sznury opasujące uda. Podniosłem głowę, choć ruch ten wyzwolił kolejną falę łomotu w uszach i rozejrzałem się. Przed mną stał ten mały, chudy, samozwańczy pomocnik z ulicy. Patrzył na mnie obojętnie. Zaraz za nim znajdowała się ściana z jakimiś rurami i dużym kranem. Sufit podzielony był na kilka kwadratów kratą z lamp sodowych. Podłoga była również betonowa. Piwnica. Gdzieś z tyłu musiały być drzwi. Spojrzałem jeszcze raz w górę i zobaczyłem oprócz lamp kilka cienkich rurek sterczących ze styku ściany i sufitu. Wróciłem wzrokiem do strażnika. Podniósł jedną brew i uśmiechnął się. Uśmiech miał lepki i śliski.

- Nie trzeba było wpychać się gdzie nie trzeba, rybeńko – powiedział..
- Długo nad tym myślałeś? – mówiłem trochę niewyraźnie, zuchwa bolała jak wszyscy diabli.
- Dowcipny – stwierdził. – Niczego tak bardzo nie lubię jak dać w papę komuś dowcipnemu – przygryzł dolną wargę jakby się

zastanawiał nad pierwszym ciosem.

Poruszyłem rękami za plecami. Ktoś zrobił z nich plecionkę i skrępował sznurek, nóg nie ruszałem dopóki facet stał nade mną. Spuściłem głowę i syknąłem. Niezbyt głośno, tak żeby dotarło do strażnika. Usłyszałem parsknięcie i króciutki chichot.

– Myślę... – usłyszałem i zacisnąłem szczęki, by choć trochę zamortyzować cios. Strażnik zrobił krok w moim kierunku, zobaczyłem jego stopy, gdy z tyłu rozległo się krótkie zgrzytnięcie. Podniosłem głowę. Brylantowa Pięta patrzył na coś za moimi plecami. Trwało do chwili, najwyraźniej ktoś z tyłu pokazywał coś na migi. Strażnik skinął głową i powiedział: – Dobrze. Jakby pan mógł powiedzieć, żeby mi przynieśli coś od bólu zęba.

Rozległ się znowu ten sam zgrzyt, Brylantowa Pięta odszedł pod ścianę i złapał się za policzek. Opuściłem znowu głowę i spróbowałem poruszyć nogami. Sznury na udach zatarasowały dopływ krwi, od kolan w dół nie czułem nic. Zacząłem napinać mięśnie łydek i ostrożnie poruszać palcami stóp. Trwało kilka minut zanim poczułem, że mogę już poruszać nogami, przynajmniej od kolan w dół. Gdy strażnik na chwilę odwrócił się, poruszyłem szybko nogami i od razu zamarłem. Potem powiedziałem: – Nie dałbyś mi papierosa? Są w mojej kieszeni. Po tym kopniaku nie mam smaku w ustach.

– Co ty powiesz? – zdziwił się obłudnie. Podeszedł do mnie i sięgnął do kieszeni. Wyjął papierosa i odszedł.

– Daj jednego – poprosiłem.

– Palenie szkodzi – powiedział znowu uśmiechając się tak, że muchy przykleiłyby się do tego uśmiešku.

Stanął przodem do mnie i włożył jednego papierosa do ust. Powoli, rozkoszując się moją miną podniósł do góry zapalniczkę i nacisnął przycisk. Rozpalił papierosa, otoczył swą głowę kłębam dymu i wypuścił długi pióropusz w moją stronę. Sięgnął ręką do ust i wtedy któraś z gaśnic w końcu zareagowała. Cienki i mocny strumień mieszanki trafił go prosto w twarz. Wrzasnął i złapał się za gębę. Zrobił krok w moją stronę i wtedy szarpnąłem się w górę całym ciałem,

odbiłem stopami od podłogi i z całej siły uderzyłem go obcasami w dolne zębra. Zaraz potem huknąłem plecami na podłogę i przewaliłem się na bok. Nie widziałem jak leciał na ścianę, zobaczyłem go dopiero jak osunął się po uderzeniu tyłem głowy w kran sterczący z rur. Przeturlałem się jak mogłem najszybciej do niego i na wszelki wypadek kopnąłem z całej siły piętą w szyję. Potem podniosłem, po dłuższym szuraniu po podłodze, swoją zapalniczkę i zabrałem się do przepalania sznurów na przegubach. Spieszyłem się bardzo pamiętając o tym drugim i o kilku działających jeszcze gaśnicach, ale dopiero po piętnastu minutach uwolniłem ręce i wstałem z podłogi. Przeszukałem kieszenie trupa i znalazłem wszystko co zabrał z moich, to znaczy pieniądze i biffaxa. Poza tym nie miał nic. Sprawdziłem magazynek i podszedłem do drzwi, posłuchałem chwilę i otworzyłem je. Zobaczyłem korytarz i kogoś, kto wystrzelił, zanim zdążyłem rękę z bronią podnieść do góry. Strzeliłem również, ale spudłowałem, w każdym razie sylwetka zniknęła za zakrętem, za którym znajdował się następny odcinek korytarza zakończony drzwiami i zanim dobiegłem tam i, uważając na boki, otworzyłem je, podwórze było już zupełnie puste. Poszedłem wzdłuż ściany i znalazłem wyjście w jakąś uliczkę. Aptekę znalazłem po jakichś stu metrach. Duże, czyste i chłodne wnętrze miało charakterystyczny zapach. Byłem jedynym klientem, skręciłem pod ścianę, gdzie stały rzędem kabiny sanitarne. Wszedłem do pierwszej i zainicjowałem komputer.

- W czym mogę pomóc? – rozległ się głęboki kobiecy głos.
- Oparzenie przedramion, znieczulenie i opatrunek.
- Proszę wsunąć ręce w otwory – jednocześnie na wysokości moich barków odstąpiły się dwie przysłony.

Podwinałem rękawy i wsunąłem obie ręce głęboko w dziury. Chwilę nic się nie działo, a potem zgasł napis na ekranie informujący o zakończeniu badania i poczułem przyjemny chłód na poparzonych rękach. Ból wygasł całkowicie, poczułem ulgę.

- Proszę wygiąć ręce tak jak to jest pokazane na ekranie – usłyszałem i zerknąłem na ekran. Pojawiło się na nim zdjęcie mężczyzny

z wysuniętymi do przodu łokciami. Dłonie miał wykręcone na zewnątrz i zaciśnięte pięści.

Zrobiłem to samo i poczułem, że na znieczuloną skórę natryskiwany jest opatrunek. Czekałem jeszcze kilkanaście sekund. W końcu komputer się ulitował.

– Może pan wyjąć ręce, opatrunek założony.

Wysunąłem ostrożnie ramiona i obejrzałem je. Wewnętrzna część pokryta była warstwą mleczej błony. Potarłem ją palcami, klepnąłem lekko.

– Proszę wystawić czek na osiem dolarów szesnaście centów i wsunąć w szczelinę – oznajmił uprzejmie komputer zapalając jednocześnie zieloną strzałkę skierowaną w szparę. – Ewentualna nadwyżka wykorzystana będzie na cele dobroczynne – dodał słodkim głosem. Wypisałem czek na dziesięć dolców i wsunąłem temu naciągaczowi w brzuch. Drzwi uprzejmie odsunęły się i wyszedłem z kabiny. W automacie kupiłem opakowanie opatrunku i odwróciłem się by wyjść. Trzy kroki od drzwi wisiał telefon. Stałem chwilę oglądając go jakbym widział takie coś pierwszy raz w życiu, potem oparłem się na ladzie i wypisałem drugi czek bez wysokości kwoty i podszedłem do telefonu. Wsunąłem czek i wystukałem cztery cyfry okręgu, doczekałem się długiego sygnału i dobiłem sześć cyfr. Gdy zgłosił się telefon powiedziałem:

– Antoine. „Wyrazy” – nacisnąłem klawisz i rozłączyłem się. Odczekałem minutę i powtórzyłem operację. W połowie pierwszego sygnału Pyma poderwała słuchawkę. Zanim zdążyłem nabrać powietrza usłyszałem:

– Dlaczego nie zadzwoniłeś wcześniej? Ja tu... – zaczęła płakać. Zasłoniłem mikrofon ręką i chrząknąłem kilkakrotnie. Przełknąłem ślinę.

– Nie mogę dzwonić zbyt często. Ktoś może za mną chodzić – powiedziałem miękko.

Usłyszałem krótkie chlipnięcie.

– Przepraszam... Zdenerwowałam się. Rozumiem wszystko. Już

w porządku. Co u ciebie?

Nic szczególnego – powiedziałem lekko. – Nic się nie dzieje. A ja cierpię na brak pomysłów, chociaż bardziej doskwiera mi brak ciebie – to drugie było bardziej zgodne z prawdą.

– Masz kłopoty?

– Minimalne – gorączkowo myślałem co powiedzieć. W końcu zdecydowałem się na częściową prawdę. Nie sądziłem by dała się zbyć opisem spokojnego pobytu w domu. – Wczoraj jacyś dwaj amatorzy chcieli mi zabrać portfel. Zupełne aplegry, w dodatku nie mają nic wspólnego z naszymi znajomymi – dokończyłem z żalem.

– Inic więcej?

– Nic.

– To chyba źle, jak sądzisz?

– Z jednej strony źle, z drugiej dobrze – odpowiedziałem unikiem.

– Możemy jeszcze chwilę porozmawiać? – zapytała nagle.

– Oczywiście. Powiedz, co u ciebie?

– Na okrągło oglądam telewizję. Czytam. I tyję – roześmiała się trochę nieszczere. – Z nudów gotuję tony żarcia i tylko część wyrzucam.

– Bardzo dobrze...

– Dlaczego? – przerwała.

– Dobrze, że gotujesz dużo, bo kto wie kiedy wpadnę. Chciałbym wtedy zjeść coś dobrego. Rzecz jasna niedobrze, że tyjesz. Stwórca może się rozzłościć, że psujesz jeden z jego lepszych twórców – usłyszałem szmer i drzwi. Do apteki weszła jakaś kobieta. – No więc słuchaj, stary. Umawiamy się na jutro, dobra? – powiedziałem.

– Co się stało? Nie możesz mówić? – szybko chwyciła o co chodzi.

– Właśnie. To co? Na razie?

– Do zobaczenia. Uważaj na siebie. Obiecujesz?

– Oczywiście. Cześć! – stuknąłem w klawisz. Za szybko pojawił się mój czek z wpisaną przez komputer kwotą. Jeszcze raz trzasnąłem w klawisz wyrażając zgodę na odliczenie z rachunku bankowego opłaty za rozmowę i wyszedłem z apteki.

Przeszedłem się szukając kiosku z gazetami. Musiałem przejść jezdnię,

rozejrzałem się i szybkim krokiem przebyłem te dziesięć metrów. Wyciągnąłem ze stojaka „Afternoon New’s” i otworzyłem na przedostatniej stronie. Przejrzałem ogłoszenia i wyrzuciłem gazetę. Zobaczyłem taksówkę i zatrzymałem ją. Uznałem, że przeciwnicy nie mieli czasu, by zorganizować na nowo akcję przeciwko mnie, a jeżeli nawet, to i tak nie miałem innej metody jak wystawianie się na strzał. Zakładałem, że spudłują.

Podałem adres domu i rozwaliłem się wygodnie na szerokiej kanapie. Obserwowałem kierowcę. Kilka razy złapałem jego spojrzenie w lusterku wstecznym. Dojechałem do domu w dziesięć minut, zapłaciłem i wysiadłem. Wszedłem do bramy szybko i uskokczyłem za drzwi. Oczekałem chwilę i wyszedłem, obejmując spojrzeniem całą ulicę. Nic się nie działo, nikt nie uskokczył za mur, nikt nie schował się w bramie, kilka samochodów stało pustych i obojętnych. Przez chwilę bawiłem się myślą, że śmiesznie byłoby gdyby „tamci” po prostu przestali się mną interesować. Po dwóch tygodniach wykończyłbym się nerwowo i miałiby spokój. Mogłem tylko mieć nadzieję, że nie wiedzą co jest ich największym atutem. Pyma.

Wszedłem po schodach na górę i przykucnąłem przy drzwiach. Niewidoczny pasek celofanu wystawał spomiędzy drzwi i futryny. Był nieruszony, w tym samym miejscu, centymetr poniżej małej ryski na lakierze drzwi. Odbezpieczyłem – biffaxa i otworzyłem drzwi. Wsunąłem się do mieszkania! Rozejrzałem się po pokoju, kuchni i łazience. Przejrzałem sypialnię i schowek. Pusto. Wróciłem do drzwi i zamknąłem je. Opuściłem kuloodporne rolety i włączyłem światło. Chwilę jeszcze krążyłem po mieszkaniu z pistoletem w dłoni, potem położyłem go na stole w kuchni i wziąłem prysznic. Wróciłem w szlafroku do kuchni i wyjąłem z lodówki konserwę. Dopiero gdy wrzuciłem na patelnię kolorową papkę uprzytomniłem sobie, że opakowanie jest już w zsybie i nie wiem nawet co podgrzewam. Smak papki również nie nasuwał żadnych skojarzeń, wcisnąłem w siebie ten muł i zapaliłem. Otworzyłem lodówkę jeszcze raz, ale nie było w niej piwa. Przypomniałem sobie, że wczoraj zrobiłem spore zakupy i paczka

od dawna leży w mojej kasecie towarowej na parterze, ale zrezygnowałem z zejścia. Zaparzyłem mocną herbatę, dodałem kilka kropel ekstraktu koki i usiadłem na krześle. Przedtem przestawiłem je tak, by widzieć drzwi wejściowe. Siorbnąłem z filizanki i odstawiłem ją na spodek.

Było cicho. Selektywnie cicho. Kuchnia miała okna, ale docierał tu zawsze delikatny pogłos, szmer z ulicy, dom był stary i izolacja akustyczna pozostawiała wiele do życzenia, a to, że teraz nie słyszałem niczego znaczyło, że na progu świadomości przestawałem odbierać wszystko co nieistotne to znaczy normalne, codzienne dźwięki – szum rur, klimatyzacji, dźwięk zbyt głośno grającego telewizora u sąsiadów za ścianą. Istotne były tylko odgłosy podejrzone, tych oczekiwałem, ale nikt się mną nie interesował. Łyknąłem herbaty.

Było cicho. Wziąłem do ręki pistolet i obejrzałem dokładnie. Nie znalazłem niczego ciekawego, wstałem i nie wypuszczając go z ręki poszedłem do pokoju. Wyjąłem z sejfów wszystkie papiery i zaniósłem do kuchni. Stojąc przy stole posegregowałem je i wszystkie nieistotne – czeki, polisę, rachunki zaniósłem z powrotem do sejfów. Pozostałe zmiąłem, wrzuciłem do zlewozmywaka i podpaliłem. Podeszedłem do drzwi i przekręciłem do oporu regulator repesera. Wróciłem na krzesło i usiadłem. Przyszło mi do głowy, że taką scenę widziałem nieraz w kinie i nigdy przedtem nie przychodziło mi do głowy, że jest wzięta z życia.

Płomień zmniejszył się, syknął kilkakrotnie trafiając na krople wody na dnie komory. Odczekałem jeszcze chwilę, po czym wstałem i puściłem na popiół wodę. Potem zmiąłem mokre czarne płaty i wcisnąłem w rurę odpływową przez kratkę. Spłukałem dokładnie całą komorę i ręce. Usiadłem znowu na krześle. Zamknąłem oczy i przejrzałem w myślach całą biblioteczkę w domu, do którego zawiozłem Pymę. Wszystko wskazywało na to, że mógłbym do niej dzwonić cztery razy dziennie co najmniej przez trzy miesiące. Poczuję się dumny z siebie. W końcu jakby nie było znalazłem jakąś pozytywną rzecz w tej całej zabawie. Zjechałem trochę na krzesło, usadowiłem się wygodnie i nagle, niespodziewanie zasnąłem.



Rozdział jedenasty

Obudziłem się tuż przed piątą. Nadal było cicho, nawet jeszcze ciszej niż kilka godzin temu. Poszedłem do łazienki i natrysnąłem na ramię nową warstwę opatrunku, gdy zastygł ogoliłem się i poszedłem do pokoju. Straciłem pół godziny na cały kompleks ćwiczeń matosoe. Poczułem się rześki i młody, to ostatnie było szczególnie przyjemne, więc nie patrzyłem już w lustro, by nie poddawać w wątpliwość gimnastyki Tien Wana. Ubrałem się i zszedłem na dół, na parter, otworzyłem kasetę towarową i wniosłem na górę trzy duże pojemniki. Zrobiłem kilka grzanek z serem Volontair'e i duży dzban kawy, zjadłem, popiłem dwoma kubkami kawy i zastanowiłem się nad puszczką piwa, ale w końcu zrezygnowałem – mieszanka tych dwóch płynów działała na mnie jak najlepszy środek moczopędny. Podłączyłem na chwilę zapalniczkę do zasilacza, wsadziłem do kieszeni opakowanie benzydryny, papierosy i pistolet. Reszta ekwipunku znajdowała się w samochodzie w garażu. Wychodząc sprawdziłem telefony, ale zapomniał o mnie cały świat, tak przynajmniej sugerowała pusta kasetka. Wyszedłem z mieszkania i szybko zbiegłem po schodach. Czuję się doskonale i pewnie. Może dlatego, że włożyłem koszulę z carbonowego włókna, w której można spokojnie podstawić tors pod pociski średniego kalibru, a może po prostu przeczuwałem dobry dzień. Kiedyś w końcu musiał przecież nadejść. Gdy garaż wyprowadził na zewnątrz bastaada i usiadłem za kierownicą, moje podniecenie jakby udzieliło się również jemu – zachowywał się wspaniale. Reagował nieomalże na moje myśli, śmigaliśmy po ulicach zostawiając z tyłu dostojne ramblery i cadillaki, wąskie fordys i szybkie statleaye. Byliśmy panami ulic, a pozostali kierowcy i samochody jakby to czuli.

Powoziliśmy się po mieście pół godziny, doczekałem się siódmej i skierowałem na północ. Po dziesięciu minutach byłem pod warsztatem samochodowym sieci Esso. Wjechałem na plac, wysiadłem i rozejrzałem się. Wszystkie boksy były puste, wprawdzie pora była wczesna, ale i tak powinno tu być więcej klientów. Chyba garaże domowe wykończą teraz duże warsztaty jak kilkanaście lat temu załatwiły małe prywatne.

Zrobiłem kilka kroków w kierunku najbliższego boksu, gdy z innego, trochę bardziej na lewo, wysunął się tłuścioch w nieskazitelnie czystym kombinezonie z dużą żółtą muszlą na piersiach. Nie wyglądał na zwykłego mechanika. Ktoś taki był mi właśnie potrzebny na początek.

– Dzień dobry – zawołał już z pięciu kroków. – Aż się wierzyć nie chce, że to cudo wysiadło – uśmiechnął się przymilnie.

Widziałem jak pod czaszką kłębią mu się przyjemne myśli wirujące wokół starego zwrotu „słony rachunek”.

– I ma pan rację – postarałem się, by zabrzmiało to jak komplement typu: „Ależ pan się zna na wozach!”. – Slogan reklamowy głosił: „Jeśli uznasz, że twój bastaad się popsuł, znaczy to tylko, że masz kiepski sen!”. Mam inną sprawę – ściszyłem nieco głos, by dotarł do niego szelest banknotów w mojej kieszeni.

– Może wejdziemy do biura? – nie pomyliłem się. Miał dobry słuch. – Nikt nam tam nie przeszkodzi – I wskazał kciukiem na małe drzwi na początku frontowej ściany hali.

Weszliśmy do sporego pomieszczenia, którego wyposażenie w środki łączności dorównywało mocą przeciętnemu komisariatowi policji. Sprzęt był trochę przestarzały, ale znakomicie świadczył, że tym razem Esso nie przewidziała krachu w branży naprawczej i inwestowała z rozmachem w swoje warsztaty. Grubas otworzył drzwi chłodziarki i zapytał:

– Coś chłodnego?

– Nie, dziękuję – pomachałem otwartą dłońią, jak dla mnie ranek był wystarczająco rześki, i nie miałem powodu, by pocić się na myśl o niespodziewanym zarobku.

Tłuścioch szarpnął kapsel puszki z sokiem ananasowym, wypił połowę

i wytarł wargi wierzchem dłoni.

– Słucham – usiadł za biurkiem i wskazał mi szeroki plastikowy fotel naprzeciwko.

Usiadłem ostrożnie, był śliski jak Antarktyda. Wyjąłem papierosy i wysunąłem w jego kierunku. Wziął jednego i zapalił nie częstując mnie ogniem.

– Pan pamięta Ala Robinsa? – zapytałem podnosząc zapalniczkę do papierosa.

Skrzywił się i wydmuchnął dym do góry.

– R-rany, jasne! Był czas, że nie mogłem pracować, ciągle tylko gadałem jaki to wspaniały chłopak, jak go wszyscy lubimy i podziwiamy i jak trzymamy za niego kciuki i jak mu życzymy wszystkiego najlepszego. Musiałem dwa razy iść do opery, mało nie odpiąłem – machnął ręką, by spotęgować grozę.

– Mnie interesuje przede wszystkim Al tuż przed tą zmianą. Co to był za facet?

– A kim pan jest? – zmrużył oczka i zmierzył mnie spojrzeniem, które pewnie miało być przenikliwe i świdrujące.

– To sprawa dyskretna – pochyliłem się ku niemu. – Robins zostawił po sobie chłopca, a jego matka uważa, że jego ojciec wykiwał ją i ma zamiar wyciągnąć od adwokatów nieco więcej pieniędzy niż Al jej odpalił. A ja mam w tym pomóc. Nie muszą chyba dodawać, że jeśli ta dziewczyna dostanie co jej się należy, na pewno nie zapomni o tym, kto w ciężkich chwilach trochę jej pomógł – wyjąłem z kieszeni dwudziestkę i pstryknięciem posłałem w kierunku rozpartego wygodnie w fotelu Buddy z Esso. Miał wypisane na gębie zrozumienie i współczucie, patrzył na mnie, ale banknot zniknął z blatu biurka w jakiś niewiarygodnie szybki i skuteczny sposób. – Chyba pan mnie rozumie?

– Ocz-czywiście! – powiedział to jakby z czknięciem w środku. – Nie bardzo wiem o co wam chodzi... – wsadził mały palec w ucho i zakręcił nim energicznie.

– Niech pan opowie o Robinsie, jak najszerzej i bez tych kawałków dla papieraków.

– Niezły pracownik, tak, niezły – pokiwał głową. – Uprzejmy, cichy, czasem myślałem, że jest po prostu głupi, ale przecież potem tak nawijał w tivi...

– Zaraz, zaraz! Najpierw Robins sprzed tej zmiany, niech pan się postara nie mieszać obrazów, dobrze? – musiałem mu przerwać, by nie stworzył sylwetki trzeciego Robinsa -sprzed i po zmianie razem.

– No-kch... Robił co miał zrobić i to właściwie tyle – dopił sok i cisnął puszkę do kosza. – Potem wyjechał na ryby do Szwecji, cholera wie po co? Nie powie pan przecież, że u nas ryb nie ma?

Patriota.

– Przyjaźnił się z kimś?

– Nie. Tu byli wtedy starzy fachowcy i młodzi podskakiwacze. Nie pasował ani do jednych, ani do drugich.

– A z tych młodych pracuje tu ktoś jeszcze?

– Ta... – kiwnął głową. – Jeden jeszcze został.

– No dobrze, a ten urlop?

– No więc poleciał do Szwecji na dwa tygodnie, ale wrócił po dziewięciu dniach i chciał wziąć jeszcze dwa tygodnie urlopu. Źle trafił, bo akurat zaczęliśmy zwalniać pracowników i dostał wymówienie. Co prawda wcale się tym nie przejął. To było bardzo dziwne, ale tak właśnie się zachował. Teraz to mi się wydaje, że wiedział co będzie robił i miał firmę głęboko w płucach. A potem to już były te szopki – uśmiechy, kwiaty od kolegów i te de, i do de. Było tu kilka gości od reklamy, rozdali trochę pieniędzy, powiedzieli co mówić, obiecali jeszcze co nieco i więcej się nie pokazali.

A niby po co? Al Robins zszedł z pierwszych stron popołudniówek i wszedł do poważnych pism, a tam nikogo już nie obchodziło, co robił kiedyś.

Strzepnąłem popiół do porcelanowej muszli, herbu firmy. Grubas sięgnął i zgasił swojego papierosa.

– Rozmawiał pan z nim potem?

Tak normalnie to już nie. Raz czy dwa, ale to były takie scenki: – „Al! Ty stary byku! Co u ciebie?” „Ernest! U mnie o'kay, chyba wiesz?”

Takie pieprzenie przed kamerą – skrzywił się zatapiając oczka w zwałach tłuszczu. – To trwało dwa miesiące i potem już cisza. Dopiero jak się zastrzelił, mieliśmy znowu inwazję pismaków, mówiliśmy to samo co i przedtem, choć każdy z nich chciał czegoś ekstra. A tak szczerze mówiąc, to i tak niczego o nim nie wiedzieliśmy.

– Dobra – podniosłem się ze ślizgawki, na której cały czas siedziałem.

– A z tym gościem mógłbym pogadać? Z tym młodym?

– Zaraz – odbił się stopą od biurka i okręcił w fotelu. Sięgnął do klawiszy i wcisnął dwa. Po chwili coś zachrypiało w głośniku. Stanowczo aparatura była przestarzała.

– Niech tu przyjdzie Kosmonauta – rzucił grubas w mikrofon i wrócił do poprzedniej pozycji. – Ten chłopak, Bob Neville, chciał zostać astronautą, ale mu nie wyszło. Miał w rodzinie kogoś, kto nie był zupełnie wolny od czerwieni.

– No to dziękuję panu na razie, do widzenia.

Wyszedłem, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć. Parę metrów od drzwi zobaczyłem potężnego mężczyznę około trzydziestki. Szedł ostro w moim kierunku. Poczekalem, aż się zbliżył. – Bob Neville? – zapytałem.

Zatrzymał się i obejrzał mnie dokładnie. Skinął głową.

– To ja chciałem z panem porozmawiać. Dwie minuty, szef wie.

– Glina? – powiedział. Głos miał niski z lekką chrypką.

– Prywatny detektyw – poczułem, że mi nie wierzy. Wyjąłem licencję i machnąłem przed oczami.

– Chcę zobaczyć – powiedział spokojnie.

Podsunałem licencję pod nos i odczekałem chwilę.

– I co?

– Chciałbym się dowiedzieć, czy Al Robins przyjaźnił się z kimś.

– Nie – odpowiedział po chwili namysłu, wcale nie zdziwiony pytaniem.

– Dziewczyna? – dostosowałem się do jego lakonicznego stylu.

– Edna Ansel. Pracuje we włoskiej restauracji, tu, zaraz za rogiem – dźgnął powietrze długim palcem.

– Coś między nimi było?

– Kochali się kilka razy. Potem, kiedy Robins stał się kimś, przyszedł do niej zabrać jakieś drobiazgi. Zachował się jak cham.

– A jak to się stało, że nic o niej nie było w prasie?

Wzruszył ramionami.

– Coś jeszcze? – rzucił i zaczął się odwracać.

– Ma pan świetne informacje – powiedziałem już do pleców. –
Dziękuję!

– To moja żona – zadudniło z jego strony.

Przestałem się dziwić brakowi informacji o Ednie Ansel. Też bym się co najmniej zastanowił, gdyby mi zabronił o niej mówić. Ale nie zabronił rozmowy. Wsiadłem do wozu i wyjechałem na ulicę. Zaraz za rogiem, tak jak powiedział Bob Neville „Kosmonauta”, zobaczyłem płaski kolorowy ekran z biegnącym napisem „Corso”. Zatrzymałem się przy krawężniku i wysiadłem.

– Witamy serdecznie! – zaszczębiotały odepchnięte drzwi.

Wszedłem i rozejrzałem się. Było zadziwiająco czysto i schludnie. Stoliki nakryte małymi obrusikami w drobną kratkę, ściany zagineły prawie pod olbrzymimi wiązankami jakichś ziół i półkami z niezliczoną ilością proszków i listków. Z kuchni dolatywał delikatny, ale piekielnie smakowity zapach mięsa. Poczulem, że mam pełne usta śliny. Przełknąłem ją i usiadłem przy stoliku obok okna. Drgnąłem, gdy usłyszałem za sobą:

– Co podać?

Stała obok mnie pulchna blondynka z notesikiem w ręku. Miała lekko zadarty nos i puciołowate policzki. Nie zauważyłem na twarzy śladu kosmetyków. Od razu ją polubiłem i bardzo chciałem, by była tą Edną Ansel, której szukałem.

– A co można zjeść?

– Przyszedł pan trochę za wcześnie, zbyt dużego wyboru nie ma, ale, na przykład, z przystawek: oliwki po sycylijsku, sałatka piemoncka; z ciepłych dań: risotto, pilaw włoski, sznycel rzymski z sera – przewróciła kartkę i przeleciała ją wzrokiem – ravioli...

– O! – podniosłem palec i zakiwałem głową. – Sałatka i ravioli? I jakieś białe wino, dobrze?

– Oczywiście. Woli pan pierożki bardziej podrumienione?

– Średnio – uśmiechnąłem się. – Nie wiem czy pani to coś mówi.

– Ja też lubię średnio – powiedziała poważnie i odeszła.

Wypaliłem jedną trzecią papierosa, gdy wróciła z sałatką. Zmiotłem ją błyskawicznie, choć ziemniaki były pokrojone ciut za grubo, ale trufle za to były świeże i pachnące. Gdy tylko odsunąłem talerz pojawiła się góra ravioli nakrytych płatem stopionego sera. W pierwszej chwili sądziłem, że zjem najwyżej trzecią część porcji, potem w miarę jedzenia, przesuwalem wyżej poprzeczkę. Skończyło się na do czysta wymiecionym talerzu. Westchnąłem głęboko i splukałem usta winem.

– Proszę pani! – zawołałem.

Wyszła zza ścianki i podeszła do mnie z rachunkiem w ręku. Pięć dwadzieścia. Pierwsza rzecz, która mogła mi się tu nie spodobać.

– Szukam Edny Ansel – powiedziałem podając jej sześć dolarów.

– To ja – wsunęła banknoty do kieszeni i sięgnęła do drugiej, z monetami. Zatrzymałem jej rękę.

– Może pani ze mną chwilę porozmawiać? Pani mąż nie ma nic przeciwko temu.

– Mogę – usiadła na krzeselku obok.

Była opanowana jak jej mąż. Musieli być idealnie dobrani.

– Chodzi mi o Ala Robinsa. Pani mąż powiedział, że była pani jego dziewczyną.

– Byłam. Przychodził tu jakiś czas, jadł najtańsze dania i patrzył na mnie. Szef mówił, że ponieważ Al pożera mnie wzrokiem, to muszę mu to doliczać do rachunku. To nie jest najtańszy lokal, żal mi się zrobiło i jakoś tak... kiedyś zaczepiłam go. Niby chodziliśmy ze sobą. Nawet poszliśmy kilka razy do łóżka, właściwie to on poszedł ze mną. Był taki ciapowaty, taka niezguła. We wszystkim. Ale nie było nam źle. Potem...

– westchnęła, ale jakoś tak lekko, bez żalu – ... wymyślił wakacje w Szwecji. Namawiał mnie, ale nie dostałam urlopu. Pojechał sam i wrócił nie ten. Między nami wszystko się zmieniło, a po dwóch

miesiącach wpadł zabrać kilka swoich drobiazgów. Od progu potraktował mnie jakbym mu się narzucała i czegoś od niego chciała, był bardzo nieprzyjemny. Bob mało go nie pobił, już wtedy z nim byłam – dodała bez żadnego skrępowania. – No i to właściwie wszystko. Bob poprosił kolegów w pracy, by nie mówili dziennikarzom o mnie i Alu, tak że nikt się mnie nie czeptał.. Wyobraziłem sobie Kosmonautę proszącego kolegów o dyskrecję. Uśmiechnąłem się mimo woli. Starłem szybko uśmiech z twarzy i zapytałem:

– To na pewno był Al Robins?

Po raz pierwszy na jej twarzy pojawiło się coś na kształt zdziwienia. Zastanawiała się chwilę.

– Raczej tak. Zewnętrznie... na pewno tak. Był zmieniony psychicznie. Nawet w łóżku zachowywał się inaczej, a mnie to właśnie nie odpowiadało.

Potarłem nos. Podrapałem się pod okiem i ledwie opanowałem chętkę poczochrania się po brzuchu. Zwyczajnie nie wiedziałem co robić z rękami. Zapaliłem.

– A! – przypomniałem sobie jeszcze coś. – Gdzie on był w Szwecji? Może pisał coś?

– Tak, przysłał widokówkę, dwie! – poprawiła się od razu. – Jedną ze Sztokholmu, od razu z lotniska, a drugą wysłał po trzech chyba dniach. Zaraz ją panu pokażę – wstała i wyszła z sali. Wróciła po chwili i podała mi zwykle kolorowe zdjęcie. Brzeg jakiegoś jeziora, a w rogach małe widoczki na budynki, pewnie hotele. Odwróciłem ją i spojrzałem na Ednę.

– Można?

Skinęła głową.

Kochanie! Jestem nad brzegiem jeziora Vottern w małej miejscowości Hammar. Na razie nie łowiłem zbyt dużo, pada deszcz, więc wylegają się w łóżku. Hotel, choć mały, jest bardzo dobry. Czasem tylko trafia się coś niezbyt dobrego z jedzenia (na przykład słodka kiełbasa, wyobrażasz sobie?). Szkoda, że cię tu nie ma. Całują – AL

Podałem jej pocztówkę, wzięła i odłożyła na blat stolika.

– Zachowała ją pani na pamiątkę?

– Skąd! – wzruszyła ramionami. – Pan nie rozumie, że z Alem właściwie nigdy nie łączyło mnie głębokie uczucie, szczerze mówiąc żadne uczucie. Po prostu było mi go żal, byłam sama, więc jakoś tak... A gdy się wybił, ani mu nie zazdrościłam, ani nie żałowałam. Był mi obcy. To szef – skinęła głową gdzieś w tył. – Pokazuje czasem gościom, że niby słynny Al Robins jadał tutaj. Oczywiście nie mówi, że najczęściej sałatkę jarzynową z chlebem.

Siedzieliśmy kilka sekund w milczeniu. Potem drzwi zaćwierkały przymilnie, wszedł jakiś chłopak i rozejrzał się po sali. Edna wstała.

– Jeśli jeszcze coś chce pan wiedzieć, to wrócę za chwilę. Mam klienta.

– Nie, dziękuję, to wszystko, co chciałem wiedzieć. Do widzenia.

Skinęła głową i odeszła. Odprowadziłem wzrokiem najmniej ciekawską kobietę świata, nie zapytała nawet, dlaczego wróciłem do Ala, granit. Wstałem i wyszedłem. Drzwi spróbowały zepsuć mi humor szemrząc: – Zapraszamy. Inne potrawy są jeszcze lepsze!

Wsiadłem ze stęknieniem do wozu, rozparłem wygodnie i chwilę czekałem, aż nabity żołądek pogodzi się z niewygodną pozycją. Dojechałem do placu Lincolna i odbiłem w lewo. Znalazłem cichą uliczkę z małymi domkami i numer piętnaście. Wysiadłem i nacisnąłem stary klawisz na słupku przy furtce. Czekałem chwilę – nacisnąłem ponownie.

– Nie ma ich teraz w domu! – dobiegł mnie skrzek z tyłu. Obejrzałem się, wcale nie zdziwiony. Zawsze znajdzie się jakaś ciekawska jędza, która z nudów obserwuje sąsiadów. Absolutnie niezastąpiona w moim zawodzie. Wyszczерzyłem kły.

– Dzień dobry! – zawołałem wesoło. – Szukam państwa Champion, to tutaj?

Chude czupiradło skinęło na mnie ręką, pewnie nie chciało, by inne zawodniczki na ulicy słyszały naszą rozmowę. Podeszedłem posłusznie.

– Są w kościele. Ale może będę mogła panu pomóc. Znam ich od

dwudziestu lat... – zawiesiła głos.

Chwyciłem przynętę.

– Mógłbym wejść do pani? Nie chciałbym by cała ulica... – pomachałem palcem w prawo i w lewo.

– Proszę, proszę! – też nie chciała, żeby cała ulica...

Drzwi otworzyły się bezszelestnie, rzecz konieczna przy takim hobby. Wszedłem do saloniku i odwróciłem się do uczynnej sąsiadki.

– Jestem drugim sekretarzem Stanowego Towarzystwa Walki z Młodocianą Przestępczością. Chciałbym...

– Bili Campion! – powiedziała i zacisnęła usta.

– Skąd pani wie? – brwi wjechały mi na czubek głowy.

– Po cóż innego przychodziłby pan do Campionów? Mieli tylko jednego syna, Billa. I on właśnie pasuje do pana Towarzystwa! – mlasnęła, smakując moją głupią minę.

Uczyliłem wysiłek i starłem zdziwienie z twarzy, rola tępawego osiłka zawsze wychodziła mi doskonale. A tu nie musiałem bać się, że przeszarżuję – ten stary gruczoł kupował wszystko.

– No właśnie – powiedziałem i odchrząknąłem. – Chodzi rzeczywiście o Billa Campiona. Prowadzimy badania nad wpływem domu rodzinnego na rozwój cech kryminogennych. Pani jest dla mnie nawet cenniejszym źródłem informacji niż rodzice, którzy mogą tendencyjnie przedstawić sprawę. Bardziej liczę na pani pomoc. Żeby tak zawsze... – pokiwałem głową z żalem.

Mlasnęła znowu i pokazała mi fotel. Usiedliśmy.

– No-o... Jeśli chodzi o Billa i jego wychowanie, to muszę przyznać, że było bez zarzutu – powiedziała z żalem. – Rodzice to bardzo religijni, prości i cisi ludzie. Dali temu niewdzięcznikowi wszystko co mogli. A to był diabeł! – podniosła palec ku górze i czekała na mnie.

– Coś podobnego! Dlaczego pani tak sądzi? – pośpieszyłem z kwestią.

– Przez szesnaście lat się maskował, udawał jagnię, grzeczny, spokojny, uczynny. Ale wylazła z niego diabelska natura. Pewnego dnia nie wrócił na noc, zjawił się pokrwawiony, w podartym ubraniu i chwiał się! Szalał dwa miesiące, aż znalazł to, na co zasłużył – karę! – wychrypiąła niskim

głosem.

– Tak bardzo się zmienił tego dnia?

– Prawie jednego. Zniknął na pięć dni, Campionowie odchodzili od zmysłów. Policja szukała go, a on wrócił sam. Mówił, że uciekł z domu. Dwa tygodnie leżał w łóżku, niby chory, ale lekarze niczego nie mogli znaleźć, a potem wstał i-i-i... – machnęła ręką pokazując jak runął w grzech.

– Kiedy to było? Ta jego ucieczka? – pochyliłem się do rozmówczynie, ale szybko odsunąłem się z powrotem. Niestrawiona anyżówka.

– Jakoś na wakacjach, w sierpniu chyba... – zmarszczyła brwi. – Tak, na początku sierpnia. A pod koniec października zaczął szaleć. I w grudniu się doczekał.

Podniosłem się z fotela, w którym i tak ledwo, ledwo siedziałem. – Bardzo pani dziękuję. Postaram się, co prawda, dotrzeć jeszcze do rodziców Billa, ale stworzyłem już sobie obraz domu. Jeszcze raz dziękuję i... – zmarszczyłem lekko brwi – ... bardzo proszę o dyskrecję. Rozumie pani?

– Oczywiście, oczywiście – zaterkotała szybko. – Nie musiał mi pan tego mówić – podskoczyła do drzwi i otworzyła przede mną.

Spieszyła się do telefonu. Widziałem na stoliku przy oknie jeden z nowszych modeli. Lubiła komfort w pracy.

Wyszedłem i rozejrzałem się. Postanowiłem odjechać spod domu i poczekać trochę na skwerze pośrodku placu. Byłem tam już po trzech minutach, wysiadłem i uważyłem się na pierwszej wolnej ławce w cieniu. W zasięgu wzroku miałem wylot uliczki, na której mieszkali Campipnowie, miałem więc szansę dojrzeć ich, gdyby wracali od tej strony. Wyciągnąłem nogi i rozejrzałem się dookoła.

Był to stary, sześciokątny skwer z wybetonowanym placem zabaw dla dzieci pośrodku, z promieniście rozchodzącymi się alejami i kilkoma strzelistymi topolami rozrzuconymi bezładnie tu i tam. Skierowałem twarz na grupkę chłopców usiłujących wrzucić piłkę w duży lej podobny do tuby fonografu, ale oczami obmacałem wszystkie wyloty ulic wychodzące na plac od tej strony. Potem niedbale rozparłem się na

ławce, zarzuciłem ramiona na jej oparcie i przeszedłem lot jakiegoś ptaka po niebie. Przy okazji obejrzałem teren za moimi plecami. Nie zauważyłem niczego podejrzanego – albo zgubiłem ogon, albo nie było co gubić. Miałem podstawy sądzić, że przeciwnicy nie będą już teraz popełniać błędów, to znaczy zabrają się do mnie spokojnie i z rozważą. Żywiłem mocną nadzieję, że uda mi się załatwić ich spokój i przywrócić nerwowość w działaniu.

Któryś z chłopców trafił w końcu piłką w otwór, rozległ się dzwonek zagłuszony nieomalże rykiem kilkunasu gardeł i z góry, z długiej grubej rury, spadła w zagajnik wyciągniętych dłoni nowiutka żółta piłka. Po krótkiej walce zdobył ją chłopak w kraciastej koszulce i trzymając pod pachą zaczął uciekać kolegom. Pognali za nim nie tyle go ścigając, co symulując pościg, dla samej radochy wyzycia się. Mimo nauk Tien Wana, który uczył ludzi czuć się młodo i szczęśliwie, ogarnęło mnie nagle poczucie własnej starości, czego przejawem była na pewno myśl o wyższości mojego dzieciństwa, kiedy to nową piłkę kupowało się za własne oszczędności lub otrzymywało w nagrodę. Nie dawały nam ich automaty, których zadaniem było zachęcenie dzieciaków do gier i zabaw sportowych.

Westchnąłem i rozejrzałem się jeszcze raz. Do wylotu interesującej mnie uliczki zbliżała się para starszych ludzi. Nigdy nie widziałem ludzi tak mocno związanych ze sobą, wyglądali jakby nie byli w stanie zrobić trzech oddechów bez drugiej osoby. Nie miałem wątpliwości, że to Campionowie. Wstałem i poszedłem za nimi, nie spiesząc się specjalnie, chciałem porozmawiać z nimi w domu, bałem się, że nie wytrzymają pogawędki na ulicy. Przeszedłem jezdnię i zatrzymałem się na progu, odczekałem poza zasięgiem wzroku ciekawskiego pigwona, aż wejdą do domu i ruszyłem w jego kierunku. Zerknąłem na domek naprzeciwko, ale nie zauważyłem w oknie niczego, co wskazywałoby na to, że moja informatorka żyje jeszcze. Może zachłysnęła się, przekazując dalej swoje rewelacje.

Wdusiłem klawisz dzwonka. Tak jak przedtem nie słyszałem jego dźwięku, ale po chwili drzwi otworzyły się i stanęła w nich matka

Wiliama Campiona.

– Dzień dobry! – zawołałem. – Nazywam się Owen Yates, chciałbym chwilę porozmawiać z panią i mężem pani. Mogę wejść?

Skinęła głową i położyła rękę na futrynie od wewnątrz. Furtka brzęknęła i otworzyła się ze szcękaniem. Pani Campion bez słowa odsunęła się i wpuściła mnie do domu. Po dwóch krokach zatrzymałem się. Sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem swoją licencję. Podałem ją starszej pani, ale musiałem chwilę trzymać w powietrzu, zanim wyciągnęła rękę i wzięła ją ode mnie.

– Proszę dalej – powiedziała. – W tym świetle, bez okularów i tak nic nie przeczytam.

Ominęła mnie i poszła przodem. Wszedłem za nią do saloniku, tak jak się spodziewałem, był czyściutki i staroświecki. Duży, gruby telewizor, starszy chyba od eksponatów, w Muzeum Techniki, śmieszne meble z plastiku i dużych poduch, być może nawet z gąbką w środku, ale pokrowce świeże i nieskazitelnie czyste. Pani Campion położyła moje licencję na stoliku, usiadła na kanapie wskazując mi miejsce w fotelu naprzeciwko. Nawet nie spojrzała na prostokącik stwierdzający mój zawód.

– Pani Campion – powiedziałem cicho. – Przyszedłem z związku z pani synem... – przerwałem oczekując na jej reakcję.

Wciągnęła powietrze ze świstem i złapała ręką za pierś. Poruszyła kilka razy wargami, pochyliłem się do niej. Wyciągnęła drugą rękę zatrzymując mnie na miejscu.

– Znaleźliście go? – wychrypiąła.

Milczałem nie wiedząc co powiedzieć. Poczułem, że też ruszam wargami, jakby rozpędzając się do odpowiedzi. Gdzieś z góry usłyszałem kroki i głos:

– Ktoś przyszedł, Margaret?

Milczeliśmy oboje. Kroki zmieniły rytm, Samuel Campion schodził po schodach. Po chwili stanął w drzwiach salonu.

– Kim pan jest? – zapytał spokojnie, choć widziałem, że spojrzał na żonę i zauważył jej spazmatyczny oddech.

:- Jestem detektywem. Tu jest moja licencja – wskazałem stolik.

Podszedł i wziął ją do ręki. Obejrzał dokładnie i podał mi.

– Czego pan chce? – stał wciąż, jakby chciał tą postawą przekonać mnie, że nie jest z nim tak źle jak na to wskazuje zachowanie żony.

– Prowadzę pewną sprawę – stałem. – Bardzo nietypową. I pewne ślady doprowadziły mnie do państwa.

– Nasz syn nie żyje. Nic złego już nikomu nie zrobi – powiedział twardo.

– Sam... – pani Champion chwyciła oddech. – Sam, proszę cię...

– Margaret! Zostaw mnie z tym panem. To tylko chwila, dobrze? – pochylił się nad żoną i objął ją za ramiona.

Wstała potulnie i wyszła. Patrzyliśmy obaj jak drepce do drzwi, nigdy jeszcze nie widziałem tak rozpaczliwie napiętych pleców. Poczujęm, że język mam spieczony i przyklejony do podniebienia. Champion wskazał mi fotel i poczekał, aż siądę.

– Słucham – powiedział patrząc w dywan.

– Chodzi mi o zmianę jaka nastąpiła w zachowaniu Billa – udało mi się wydobyć głos z gardła.

– Opętał go diabeł! – wyszeptał Samuel. Był to najgłośniejszy szept, jaki słyszałem w życiu. – Opętał, a my nie zauważyliśmy tego. Wmawialiśmy w siebie, że to nieprawda. Nie zrobiliśmy niczego, żeby mu pomóc. Niczego – dodał głośniej i włożył dłonie pod pachy. Albo chciał je ogrzać albo ukryć drżenie.

– Jak to się stało? – pochyliłem się do niego. Odruchowo ściszyłem głos. – Nagle?

– Zniknął z domu na kilka dni. A jak wrócił, to już był opętany, we władzy szatana. Ani razu, aż do śmierci, nie poszedł do kościoła!

– Przedtem chodził?

– Chodziliśmy razem. Zawsze. Zawsze...

– Czy prócz tej zmiany na gorsze, w charakterze, nie było innych zmian?

Spurpurowiał i wyciągnął palec w moim kierunku. Gdyby to była lufa, po raz pierwszy patrzyłbym w jej kierunku bez strachu – palec latał

tak, że nie trafiłby w ścianę poza mną..

– A jaka jeszcze może być zmiana? Czy to mało? – małe kropelki śliny pryskały mu z ust, a w kącikach zebrała się piana. – On się zmienił tak, że jego matka twierdzi, że to był ktoś inny. Że ktoś zamienił nam dziecko, że to był obcy człowiek, a Bili kiedyś do nas wróci! Jeszcze pan chce wiedzieć, jaka to była zmiana?

Poczułem, że zaczyna mi brakować powietrza, sięgnąłem do guzika koszuli i dopiero po chwili zorientowałem się, że w ogóle go nie zapinałem.

– Panie Campion – powiedziałem z naciskiem. – Mam podstawy sądzić, że tak jest w istocie.

Wytrzeszczył oczy i zamarł w bezruchu. Rozchylone wargi łączyła cieniutka niteczka śliny.

– Nie mam na to dowodów, ale jestem przekonany, że od jakiegoś czasu ktoś zmienia ludzi i to zawsze na gorsze. Albo zamienia ich na identyczne zewnętrznie sobowtóry. Nie wiem dlaczego to robi, ani jak, nikt mi nie wierzy, dopiero pana żona zgadza się ze mną. Chcę się dowiedzieć kto, po co i jak to robi. Dlatego tu jestem i dlatego chciałbym porozmawiać z pana żoną. To jest jeden z niewielu śladów, jaki mam w ręku.

– To bzdura – pokręcił głową. – To niemożliwe. Znałem swojego syna. To był on. Tylko w duszy... – oczy zaświeciły mu się wewnętrznym ogniem – ... miał szatana!

Oblizalem wargi i powstrzymałem się przed wytarciem czoła, na które spadła kropelka śliny z jego ust, gdy wysyczał: "Szattana!"

– Czy mogę porozmawiać z pana żoną? – zapytałem, choć przeczuwałem odpowiedź.

– Nie! – ochłonął nagle, stał się rzeczowy i spokojny. – Absolutnie nie. Pan podtrzyma w niej wiarę w powrót Billa, nie... – wstał.

Siedziałem jeszcze chwilę, potem podniosłem się również.

– Mógłbym przynajmniej zobaczyć pokój Billa?

Patrzył na mnie chwilę i myślał. Potem skinął głową i poszedł pierwszy. Szedłem za nim i zastanawiałem się, jak oszukać jego czujność

i porozmawiać z matką młodego Campiona. Nie miałem wątpliwości, że teraz będzie już chronił ją skutecznie przed spotkaniem ze mną. Dzisiaj miałem ostatnią szansę. Wszedłem za nim na górę i podszedłem do ostatnich drzwi, na końcu krótkiego korytarza. Tkwił w nich klucz, Campion ujął go i przekręcił, ale nie otworzył drzwi. Odwrócił się i powiedział:

– Pójdę do żony. Tu... – pokazał na drzwi – ... nic nie zostało ruszone. Ale proszę się pośpieszyć – prawie odepchnął mnie z drogi i szybko poszedł do schodów.

Nacisnąłem klamkę i wszedłem. Pokój był niewielki, na wprost drzwi dwuskrzydłowe okno, po lewej szklany regał. Wszystkie półki zastawione książkami, za przezroczystymi drzwiami ubrania poukładane w idealnym porządku. Na jednej z półek niezły stereoblok i setka płyt. Ściany wymalowane na biało, dwie reprodukcje obok siebie, pozostała przestrzeń czysta. Podszedłem do tej półeczki i wziąłem do ręki ostatnie lektury Billa. Tak mi wyszło, że to właśnie czytał ostatnio.

Najgrubsza, na czerwonej jak krew okładce miała napis: „Kaputt”. Malaparte. Cienkie czarne litery. Wydanie sprzed prawie czterdziestu lat. Była wielokrotnie czytana, niekoniecznie przez młodego Campiona. Zważyłem ją w rękę i odłożyłem na półeczkę. Dwie pozostałe to „Dominium perliste” Kenuha i „Widok ze skały” Lawrence’a Norrisa. Okazały się znacznie ciekawsze, bo pod okładkami klasyków ukrywały dwie powieści pornograficzne. Obie były nowe, ale nosiły ślady lektury. Odłożyłem je z powrotem i rozejrzałem się jeszcze raz po pokoju. Usiadłem na tapczanie i szukałem jakiegoś fałszu, takiego jak te dwie książki, zsunąłem się na kolana i przejrzałem pobieżnie płyty. Zwykłe młodzieżowe kafle, kilka tak zwanych współczesnych adaptacji klasyków. Przez chwilę miałem nadzieję, że znajdę tu płyty Ala Robinsa, choć to i tak nie tłumaczyło by niczego, ale na nic takiego nie natrafiłem. Wsadziłem płyty w przegrody i obejrzałem półkę z aparaturą, choć tu nic szczególnego również nie rzucało się w oczy. Wziąłem do ręki czarne pudełko z zestawu do klejenia taśmy i otworzyłem. Było w nim kilka krążków z metalizowaną taśmą i inną,

kolorową, mała gilotynka i mazak z klejem. Coś błysnęło na dnie, wytrząsnąłem zawartość i zobaczyłem broszkę z cienkich drucików, wrzuciłem resztę do pudełka i odstawiłem je na miejsce. Obejrzałem dokładnie znalezisko. Były to dwa jakby łuki strzeleckie, przecinające się wygiętymi częściami. Dość gruba szpila w miejscu połączenia ze skrzyżowanymi łukami miała zgrubienie. Obejrzałem całość i chwyciłem broszkę za to właśnie zgrubienie. Na szpili wysunęły się zadziory utrzymujące wpiętą broszkę czy odznakę w materiale. Było to dość sprytne, bawiłem się chwilę, potem schowałem broszkę do kieszeni i wyszedłem z pokoju. Samuel czekał na mnie przy schodach, nie miał zamiaru dopuścić mnie do żony. Przeszedłem obok niego i zacząłem schodzić. Gdzieś na trzecim stopniu złapał mnie za ramię.

– Gdyby pan... – zdążył oklapnąć w czasie mojego pobytu w pokoju Wiliama. – ... coś... czegoś się dowiedział...

– Dam państwu znać – powiedziałem jak mogłem najpoważniej. – Obiecuję. Do widzenia.

Otworzyłem drzwi wejściowe zanim zdążył mnie dogonić i wyszedłem. Okna naprzeciwko nadal były martwe, ale nie przyglądałem się szczególnie. Poszedłem ulicą do placu, na wylocie obrzuciłem go spojrzeniem i wpakowałem się do wozu. Odjechałem szybko, ale jazda nie trwała długo, zahamowałem po kilku przecnicach i wywołałem sieć federalną, narysowałem światłopisem kształt znalezionej u Billa odznaki na ekranie i poprosiłem o zidentyfikowanie stowarzyszenia, organizacji i źródła tego kształtu. Odpowiedź dostałem natychmiast i była identyczna na wszystkie trzy pytania – brak danych. Trzymałem w dłoni kształt, którego nie znał państwowy komputer! Zapytałem jeszcze, czy produkowane były ozdoby o takim kształcie, choć komputer sam by mi to powiedział i znowu na ekran wyskoczył identyczny jak wcześniej napis. Albo ktoś zrobił jeden czy kilka takich znaków, albo...

Wpiąłem srebrzyste cacko w miękką podsufitkę i zasłoniłem to miejsce płaską kieszonką z mapą stanu. Wyjechałem z zatoki na jezdnię. Jechałem wolno w nurcie samochodów i na pierwszym skrzyżowaniu,

gdy zatrzymało nas czerwone światło, jeszcze raz wywołałem komputer i przejrzałem rozkład lotów na dzisiejsze południe i popołudnie. Wynudziłem się setnie zanim sumienny komputer nie przekazał na ekran wszystkich, w alfabetycznym porządku, połączeń samolotowych. Mogłem, oczywiście zażądać konkretnych informacji, ale nie wykluczałem podsłuchu i nie chciałem informować całego świata dokąd się wybieram. Wyłączyłem końcówkę i wystukałem numer Woodey'a.

– James, wyjeżdżam na kilka dni na zachód. Gdyby po trzech dniach nie było telefonu, możesz wszcząć poszukiwania – powiedziałem udając, że nie zauważam jego z lekką niezadowolonej miny.

– Możesz coś więcej powiedzieć?

– Mogę, ale nie powiem – skręciłem kierownicą, by nie wałać w jakiegoś matoła w pomarańczowej gamma dia. – Kiedy wydajesz to party?

– Za cztery dni.

– No to akurat, cześć! – przerwałem połączenie i skręciłem w lewo, potem skręcałem jeszcze kilkakrotnie w różne przecznice, aż wydostałem się na szeroką aleję prowadzącą do lotniska. Dojechałem tam w piętnaście minut. Na strzeżonym parkingu podłączyłem wóz do sieci strażniczej, zażądałem maksymalnej opieki i wniosłem opłatę za tydzień. Pokręciłem się po olbrzymim hallu, postąłem chwilę przed wystawą kwaciarni. Znalazłem miejsce pod ścianą umożliwiającą bezpośrednią obserwację prawie całego wnętrza i spędziłem w tym fotelu dziesięć minut wlepiając gały w każdego, kto zbliżył się na odległość mniejszą niż piętnaście metrów. Sporo osób opowiadało tego dnia o spotkaniu na lotnisku autentycznego wariata. Kiedy już byłem pewien, że obejrzał mnie każdy, kto chciał i wszyscy inni, wstałem i poszedłem do kasy. W kolejce rozglądałem się na wszystkie strony, a potem skuliłem się nad białym za plecami małej dziewczynki stojącej przede mną.

– Jeden do Denver – ściszyłem głos do szeptu i jeszcze raz rozejrzałem się dookoła. Nerwowo wyszarpnąłem z portfela setkę i podałem kasjerce, zgarnąłem resztę wraz z biletem i szybko odszedłem. W sekcji automatów telefonicznych czekałem chwilę, aż zwolni się budka

specjalna. Wszedłem i wrzuciłem monetę w wąską szczelinę automatu. Kabina zadrżała delikatnie i trzęsła się tak przez cały czas, na szklane szyby nasunęły się grube rolety. Podobno byłem teraz zabezpieczony przed podsłuchem laserowym, konwencjonalnym i każdym innym. Mimo, że odlot miał nastąpić za niecałą godzinę z miejscem nie było kłopotów. Obiecałem odebrać bilet za dwadzieścia minut i rozłączyłem się. Równocześnie podniosły się rolety i kabina, jakby z ulgą, westchnęła i wyłączyła wibrator. Skierowałem się do sali, gdzie widziałem kasety przechowalni, owinąłem w kupioną po drodze gazetę pistolet i wsadziłem w otwór. Zamknąłem drzwi i wystukałem jako kod numer telefonu Woodey'a. Kwadrans spędziłem u fryzjera, wypilem piwo w barze i zamawiając drugie nachyliłem się do meksa wycierającego kieliszki papierowym ręcznikiem.

– Kolego, znajdziesz w kieszeni miejsce na pięć dolarów w jednym papierku?

– Gdybym nawet nie znalazł, wsadzę je w skarpetę. Nogi myję codziennie – odparł bez zmrużenia oka. Ilość lotnych barmanów rośnie w naszym kraju w zatrważającym tempie.

– Chcę urwać się żonie, ale łązi tu za mną facet, który ma mnie śledzić. Odbierzesz mój bilet?

– Numer zlecenia i czek. Odejdź do stolika, a ja zniknę na chwilę.

Odkleiłem się od ścianki baru i usiadłem przy stoliku. Na miejscu mojego łokcia został czek wystawiony na kasę. Barman wycierał spokojnie szklanki, choć założyłbym się, że czek znajduje się już dawno w jego kieszeni. Potem zaćwierkał telefon, barman porozmawiał chwilę i wyszedł za ścianę z trunkami. Pojawił się z powrotem po dwóch minutach i spokojnie wyjął z myjni kolejną szklankę. Zareagował dopiero na trzecie skinięcie.

– Piwo! – zawołałem.

Pochylił głowę, nalał do kufła porcję piwa i przyniósł mi do stolika. Nachylając się wykonał coś w rodzaju tanecznego pas nad blatem i zobaczyłem, że na moje kolana spada bilet, kufel staje na stole, a trzecia ręka ściera blat. Oczywiście mała kosteczka z pięciu doliców

zniknęła wraz z kurzem. Nie była to akcja, za którą dostałbym awans na porucznika, ale mogła przynajmniej utrudniać rozszyfrowanie moich zamiarów. By być konsekwentnym wypilem trzecie piwo i wyszedłem z baru. Po dwóch minutach usłyszałem z głośników nawoływanie pasażerów odlatujących do Denver, aby udali się do wejścia numer siedemnaście. Po chwili ten sam głos zaprosił innych podróżnych do wejścia dwa o ile mieli, jak ja, zamiar lecieć do stolicy Szwecji. Skierowałem się do siedemnastki. Wcisnąłem się na czoło długiego węża podróżnych i podałem bilet mulatce w mundurze.

– Dziękuję, proszę iść prosto – uśmiechnęła się i oddała mi bilet.

Obejrzałem się do tyłu. Wejście było szczelnie zakorkowane tłumem miłośników Colorado. Ruszyłem do przodu, a potem skoczyłem w bok i pogałem wewnętrznym przejściem, osłoniętym matowymi szybami przed wzrokiem obserwatorów z sali. To wszystko była chała, wystarczyło, że ktoś leciał ze mną do Denver i cała zabawa mogła najwyżej dostarczyć niezłego ubawu moim przeciwnikom. Z drugiej strony nie zaszkodzi, jeśli będą mnie uważali za głupiątko. Dotarłem do właściwej bramy bez przeszkód i wyłoniłem się zza pleców tym razem ognistej brunetki.

– Proszę, mój bilet. Pomyliłem wejścia – uśmiechnąłem się i podałem bilet.

Obrzuciła mnie spokojnym spojrzeniem i wsunęła bilet w szczelinę na ścianie obok mnie. Wyskoczył z powrotem po sekundzie.

– Proszę – oddała kartonik. – Sala odpraw prosto.

Szybko wszedłem tam i podszedłem do pierwszego wolnego celnika.

– Coś do oclenia? – zapytał standardowo.

– Lecę na kilka godzin – podniosłem do góry obie ręce. – Nie mam nawet szczoteczki do zębów.

Uśmiechnął się ze zrozumieniem i nadepnął sygnalizator. Miałem wrażenie, że kamera za nim szerzej otworzyła przysłonę.

– Wzajemna nieufność zgubi w końcu ten kraj – powiedziałem nadając twarzy smutny wyraz.

Chyba nadepnął sygnał jeszcze kilka razy, poczułem z tyłu podmuch

powietrza i usłyszałem:

– Może pan pójść z nami?

– Mogę, mogę – powiedziałem i ruszyłem przed siebie nie oglądając się.

Wszedłem pierwszy w wąskie drzwi tuż obok zakończenia kontuaru i odwróciłem się. Jeden stał tuż przede mną, dwaj pozostali trochę z tyłu i z boku.

– O co chodzi? Nie wolno podróżować bez bagażu?

– Wolno, pod warunkiem, że pasażer – naprawdę nie ma bagażu. Proszę się rozebrać – ten pierwszy wskazał wieszak na ścianie.

Nie spieszyłem się. Wolałem wejść na pokład tuż przed odlotem, a już po starcie samolotu do Denver. – Miałem nadzieję, że trwają teraz gorączkowe przeszukiwania dworca i nikt nie zauważy mnie, gdy będę wsiadał do Jumbo należącego do KLM. Siedziałem chwilę goły, grzejąc tyłkiem plastikowe chłodne siedzenie, a dwójka ekspertów od porwań obwąchiwała moje szmaty. Trzeci stał nieruchomo nie spuszczać ze mnie wzroku. Ciekaw byłem ile luf skierowanych było we mnie przez jednostronnie przezryste lustra tworzące ścianę za nim.

– Falszywy alarm, przepraszamy, ale to było konieczne – powiedział jeden z speców zwracając ubranie. Drugi mamrotał coś do mikrofonu.

Ubrałem się spokojnie i poprzedzany dwójką funkcjonariuszy wyszedłem z powrotem do sali odpraw. Tu rozeszliśmy się bez pożegnania. Skierowałem się do wyjścia i nadepnałem obiema nogami na transporter wywożący pasażerów do samolotu. Minałem jego drzwi po kilku sekundach i znalazłem swoje miejsce w rzędzie siedmiu foteli po lewej stronie. Usiadłem i od razu fotel otoczył mnie bocznymi płaszczyznami. Przez chwilę automat jakby zastanawiał się, przymierzał do mnie, a potem zdecydowanie wzmógł nacisk. Odżyły głośniki przekazujące standardowe informacje i słodkie życzenia kapitana załogi, przymknąłem oczy i zanim olbrzym wykołował na pas startowy, już spałem.



Rozdział dwunasty

Droga była pełna starych i nowych łat, stare wyschły, skurczyły się i zapadły, a koła wpadając w nie paskudnie dudniły. Lekkie uderzenia przenosiły się na karoserię mimo dobrych wahaczy, amortyzatorów i całego układu wytłumiania wstrząsów. Zauważyłem, że lewy pas jest najmniej zniszczony, więc zerknąłem w monitorok-lusterko i zobaczyłem, że droga za mną, tak zresztą jak przede mną, jest pusta. Łagodnie skręciłem kierownicą w lewo – na asfalcie leżała nieprzyjemna lśniąca warstewka wody – i zjechałem na pas najszybszego ruchu. Delikatnie przyspieszyłem, ale nie przekroczyłem stu trzydziestu. Wstrząsów było jakby mniej, ale nie osłabiałem uwagi, przewidywałem, że mogę trafić na miejsca, gdzie dziury nie były już łatanie. Wyciągnąłem rękę, aby włączyć jakąś muzykę, zagłuszyć monotony szelest kół na jezdni i wtedy, nie wiadomo skąd, pojawił się na drodze tłum różnokolorowo ubranych dzieciaków. Szarpnąłem kierownicę i wdusiłem pedał hamulca. Wóz nie zareagował na moje usiłowania i wbił się w zwarty tłum. Szarpnąłem dźwignię hamulca pomocniczego, kręciłem kołem kierownicy i ciągle jechałem prosto. Malcy odbijali się od karoserii z ohydym, stłumionym łoskotem, przelatywali nad dachem, i z obu boków, ci z przodu odwracali głowy sekundę przed tym, jak przód wozu uderzał w ich ciała i patrzyli na mnie z wyrzutem. Potem ich rozszerzone oczy znikwały za mną i kolejne ofiary patrzyły w moją twarz. Tłum dzieciaków zdawał się nie mieć końca, pędziłem, waląc pokotem małych ludzi. Zgrzytnąłem zębami i wbiłem pazury w kierownicę. Nagle samochodem szarpnęło coś, potem drugi raz i jeszcze. Amplituda drgań zwiększała się, usiłowałem nie dopuścić do poślizgu, zdjąłem nogę z hamulca

i ponownie wdusiłem go piętą. Coś szarpnęło mnie za ramię i obudziłem się.

Zaczerpnąłem spazmatycznie powietrza i spojrzałem w twarz pochylonej nade mną stewardessy.

– Coś się panu śniło – uśmiechnęła się. Uśmiech miała tak szeroki, że można by na nim zawrócić autobusem Greyhounda.

Wytchnąłem jakiś kołek z tchawicy i poczułem, że mogę mówić.

– Tak. Wsiadły mi hamulce.

– To było widoczne – usłyszałem z boku.

Odwrociłem się i spojrzałem na młodego typa o wyglądzie naukowca, tak przynajmniej społeczeństwo wyobraża sobie gigantów myśli – niechlujne włosy, niegolony od kilku dni zarost, luźny, połatany sweter.

– Dusił pan prawą nogą w fotel przed sobą tak, iż myślałem, że pan go wyrwie z podłogi. I pojękiwał pan trochę – stwierdził poważnie.

– Dziękuję – odwróciłem się do stewardessy. Nie lubię facetów, którzy fundują sobie darmowe obserwacje.

Uśmiechnęła się jeszcze raz i odeszła, zanim zdążyłem ją zapytać, kiedy wylądujemy, ale od razu, jak na zamówienie, na wąski ekran nad drzwiami wypłynął ostrzegawczy napis, fotel dał mi kilka sekund na zajęcie wygodnej pozycji i znowu rzucił się do objęć. Przespałem cały lot do Europy.

Wylądowaliśmy gładko, wykołowaliśmy do dworca i wysłuchaliśmy znowu porcji życzeń i informacji. Przetawiliśmy zegarek, zanim wyszedłem z samolotu i znalazłem się na karbowanej taśmie wiozącej nas do pomieszczeń dworca. Celnicy szwedzcy byli mniej podejrzliwi, albo powiadomieni przez kumpli z tamtej strony oceanu, bo nikt się mnie nie czepiał. Znalazłem taśmociąg wiozący pasażerów w kierunku części usługowej i wlałem nań. Zeskoczyłem, gdy zobaczyłem napis „Informacja krajowa”. Podeszedłem do lady. Na mój widok uśmiechnęła się serdecznie wysoka, duża blondynka. Widocznie Szwedzi uznali, że ich goście już na progu powinni zobaczyć, co najlepszego ma do zaoferowania ich ojczyzna.

– Chciałem dostać się do Hammar – oparłem się na ladzie, by

wyglądało, że hostessa jest tylko dlatego ode mnie wyższa że stoi, a ja sterczę zgięty wpół. Nie była to prawda.

– Nad jeziorem Votten, tak? – nie czekając na potwierdzenie rzuciła drugie pytanie: – Jakim środkiem komunikacji?

– Samochód.

– Aha, już, momencik.

Pochyliła się nad klawiaturą i wystukała na niej kilkadziesiąt liter. Po kilku sekundach wyrwała z drukarki płat papieru.

– Tu są adresy wypożyczalni samochodów oraz firm oferujących samochody z kierowcami. Tam dostanie pan mapę kraju i instrukcję korzystania z naszych dróg, różnią się nieco od waszych – wyjaśniła.

– Dam sobie radę. Która z tych firm jest najbliżej lotniska? – podsunąłem ku niej kartkę.

– O, ta... – podkreśliła czerwonym mazakiem pozycję numer trzy – ... a potem ta. Dojazd zielonym autobusem sprzed głównego wejścia. Wsiądzie pan na siódmym przystanku i tam od razu jest ten garaż. Zresztą może pan zapytać kogokolwiek, u nas wszyscy mówią po angielsku – dodała z dumą.

– U nas też. Dziękuję – złożyłem wydruk i poszedłem w stronę wyjścia.

Minąłem długi ekran na ścianie po którym biegł aktualnie napis: „Cudzoziemcze! Nie zaśmiecaj Szwecji!”. Poczujęm się obrzygany i zawszony. Zapaliłem papierosa i przy okazji odkryłem, że nie ma nawet gdzie wyrzucić zapalniczki, co prawda miałem zapalniczkę, ale sformułowałem dzięki temu wielką prawdę – Szwedzi nie wytwarzają śmieci i dlatego nie zaśmiecają, jak inni, swego pięknego i gościnnego kraju! Strzepnąłem trochę popiołu na podłogę i przystanąłem w oczekiwaniu na syreny i interwencję specoddziału, ponieważ jednak nic takiego nie nastąpiło zrozumiałem, że system ochrony przed brudem i skażeniami nie został jeszcze doprowadzony do ideału. Poszedłem dalej piastując w duszy widok gwałtownych zmian w rządzie na skutek mojego popiołu na lotnisku.

Podjazd przed wejściem głównym odpowiadał wyobrażeniu o całości

„kraju, jakie już sobie zdążyłem wyrobić – absolutnie czysty, chłodny, uporządkowany. Cichy. Kilka olbrzymich różnokolorowych kul sterczało z masztów nad przystankami autobusów. Skierowałem się do zielonej.:

Ze słupa wystawał niewielki ekran i automat biletowy. Ekran przetarłem palcem, ale nie dopatrzyłem się smugi, biletomat zlekceważyłem i wsiadłem do autobusu. Wystartował prawie od razu.

Przejażdżka trwała prawie czterdzieści minut, czułem się tak, jakbym jechał po olbrzymiej sali operacyjnej, albo po mieście dla wyjątkowo dużych lalek. Ład i porządek doprowadzono tu do perfekcji. Gdyby ktoś chciał chodzić w brudnym ubraniu, musiałby przedtem sprowadzić trochę brudu z któregoś z bogatszych i bardziej cywilizowanych państw. Ogarnęło mnie przygnębienie na myśl, że na pewno nie spotkam tu żadnego ze swych kolegów po fachu. Biorąc pod uwagę to, co już zobaczyłem, miałem podstawy sądzić, że wszystkie przestępstwa załatwia tu dwóch lub trzech emerytów z procami w tylnych kieszeniach.

Wysiadłem na siódmym przystanku nie wystawiając na próbę językową żadnego z pozostałych kilku pasażerów i poszedłem w kierunku niskiego budynku z angielsko-szwedzką reklamą na szczytce. Przed drzwiami pojawił się wysoki, chudy blondyn, pokazał w uśmiechu zęby, którymi mógłby obrabiać detale z tytanu.

– Hej! – zaczął radośnie.

Zrozumiałem, że mówi po szwedzku, więc szybko zapytałem go, co sądzi o angielskim. Poszerzył uśmiech i zapytał:

– Czym mogę służyć?

– Mały czołg i dwa bataliony piechoty, albo jakiś inny samochód na kilka dni.

– Zostało nam tylko kilka komandosów i barki desantowe. Sezon urlopowy, sam pan rozumie.

Wzruszyła mnie jego gotowość do marnowania czasu, ale nie mogłem pozwolić, by kładł firmę dowcipkując z jakimś gringo. Przeszedłem do konkretów. – Czy mogę już wsiadać?

– Oczywiście! – wskazał palcem róg budynku. – Chodźmy tam.

– Niech pan prowadzi – zrobiłem mu przejście i poszedłem za nim.

Na placu wybrałem dwuosobowe Volvo, choć były tam również wozy amerykańskie. Formalności nie trwały dłużej niż siedemnaście sekund.

– Niech pan tu zerknie – blondyn rozłożył na masce samochodu dużą mapę. Pan jedzie... – zawiesił głos.!

– Hammer – usiłowałem pokazać palcem, ale był szybszy.

– A więc tak: wyjedzie pan na E3 – wbił cienki szpic ołówka w wylot z miasta. – Tu przejmuję kierowanie komputer rządowy, opłata w biegu, sam pan zobaczy – i trzeba wrzucić do rynienki... – podniósł oczy obliczając opłatę – ... w pana przypadku szesnaście koron, albo; pięć dolarów. Dojedzie pan tą drogą do Abytorp i tam przejmie pan sterowanie, na jakieś pół godziny. I to wszystko. Gdyby pan zjeżdżał wcześniej, nie wykorzystując całości opłaty, może pan odebrać różnicę, w każdym urzędzie pocztowym lub przy powrocie na lotnisko. Może i pan to również pozostawić w szwedzkim banku, jest równie dobry jak banki szwajcarskie czy luksemburskie. Nie musi pan nic robić, od tej chwili pana konto jest przypisane do samochodu i odwrotnie – znowu wyszczerzył kły, i a kąciaki warg sięgnęły małżowin usznych.

Wykonałem to samo, ale na mniejszą skalę i uściśnałem mu dłoń. Nie napracował się przy tej transakcji, niech przynajmniej pomoczy łapę w roztworze dezynfekującym.

Błądziłem trochę, zanim wyskoczyłem na E3, ale w końcu udało mi się wypłatać z fatalnie rozwiązanego centrum. Dotarłem do początku autostrady i przyczepiłem się do jakiegoś fiata, tak jak i on zwołałem, gdy dojechaliśmy do szerokich rynien z lewej strony. Kierowca fiata wysunął przez okno rękę i wrzucił jakiś papierek do szerokiego wlotu, wyjąłem piątkę i również wrzuciłem tam gdzie i on. W tej samej chwili na dach jego wozu upadło jakieś pudełeczko, po kilkunastu metrach usłyszałem lekki stuk. Mnie również oznakowali. Wybiłem na klawiaturze nazwę miejscowości, do której jechałem i otrzymałem potwierdzenie zafiksowania trasy. Jeszcze moment i automat oznajmił, że przejął sterowanie, szarpnąłem kierownicę, zachowywała się jak ta we śnie na pokładzie samolotu. Zobaczyłem, że facet w fiacie rozkłada fotel

i kładzie się. Ja, niestety, byłem wyspany.

Patrzyłem przez dwie godziny na otaczający drogę park. Nie dało się tego inaczej odebrać – wciąż drzewa, lasy, jeziora, skały, drzewa, lasy... Jasne niebo jak stara wypłowiła syntetyczna, nieszczerza zieleń i przejrzyste jeziora. Żadnej reklamy, chyba że wtedy, gdy autostrada muskała jakieś miasto. Żał było patrzeć na całe kilometry pionowych skalnych ścian, których jedynym przeznaczeniem było przecie głoszenie światu przy pomocy farb natryskowych, że: „Tylko CDS!”, albo: „Nie ma nic lepszego niż DEDE”, w końcu mogliby zachwalać chociażby Volvo albo higienę. A tak reklamowali tylko swoje lenistwo i nieefektywność. To było straszne. Siedziałem przyklejony do okna nie mogąc oderwać oczu od przelatującego obok widoczku. Po dwóch godzinach dotarłem do tablicy z napisem „Kumla”, ale samego miasta nie widziałem, po dwóch kilometrach włączył się komputer, informując, że za miejscowością Abytorp zjeżdżam z autostrady i odtąd sam już będę odpowiadał za samochód i jego zawartość.

Na ślimaku wykonałem przewidziany manewr i prowadziłem wóz przez pięćdziesiąt kilometrów. Dotarłem do Hammar i zapytałem komputer o hotel. Podał trzy nazwy; w kolejności alfabetycznej. Wybrałem pierwszy, Brunn, bo sądziłem, że tak postąpił Robins. Nie musiałem wjeżdżać głęboko w miasto, bo Hotel Brunn znajdował się na wjeździe, nad brzegiem jednej z zatok jeziora Votten.! Nie przyglądałem się specjalnie budynkowi, niska, czteropiętrowa buda nie pieściła oka, choć trzy, zakończone gotyckimi łukami, olbrzymie okna obejmujące górne piętra przyjemnie łamały białą kostkę budynku. Zajechałem przed wejście i wyłączyłem silnik, bastaad był cichszy, teraz to zrozumiałem. Omal nie przewróciłem się, widząc w kącie dużego przeszklonego hallu palmę taką samą jak w „Palmiarni”, tyle że ta nie wyglądała Jak pokutnica, ale jak strażnik, rześki obserwator, idealnie wypucowany, nakarmiony, poinstruowany.

– Hej!

Odwrociłem się od palmy i obejrzałem ten sam co i wcześniej model szwedzkiego uśmiechu. Westchnąłem.

– Hej-hej! – postanowiłem przelicytować recepcjonistę w uprzejmości. I zaskoczył: – Do you speak american?

– Yes. I do – odpowiedział ochotczo. Dopiero później uprzytomniłem sobie, że mógł mnie zdradzić samochód...

– Chciałbym pokój na dzień-dwa. I porozmawiać chwilę.

– To pierwsze już załatwione, co do drugiego – to zapraszam na łyk zimnej fanty – wskazał drzwi do baru i poszedł pierwszy. Polubiłem go od razu, zawsze do szafu doprowadzali mnie gospodarze, przepuszczający gościa pierwszego, skutkiem czego biedak musi co kilka kroków stawać i wysłuchiwać instrukcji na następne trzy kroki.

– Czy znał pan śpiewaka operowego Alexandra Robinsa? – zapytałem i łyknąłem lodowaty płyn. – Może wywołam komputer prasowy i poproszę o zdjęcie? – wytarłem wargi i osłoniłem nimi łąmiące się zęby. Fanta, czy co to tam było, miała temperaturę płynnego lodu.

– Nie, nie trzeba, pamiętam go. Mieszkał u nas dziesięć dni. Wtedy nikt go jeszcze nie znał, dopiero pół roku później usłyszeliśmy o nim. Syn wygrzebał kilka standardowych zdjęć robionych gościom, zawiadomił dziennikarzy i mieliśmy trochę bezpłatnej reklamy. Co prawda nie ciągnęły tu pielgrzymki, ale jakiś czas wspominało się o moim hotelu w prasie i telewizji.

– No to świetnie trafiłem. Przyjechałem tu właśnie po to by porozmawiać z kimś, kto go tu wtedy widział. Może pan coś o tym powiedzieć? Czy z kimś się spotykał, co robił, może jakieś dziwne... zachowanie czy coś w tym stylu?

– Muszę chwilę pomyśleć, to było w końcu prawie trzy lata temu. Hm... – podłożył dłoń pod brodę i potarł ją palcami. – Wie pan co? Ja teraz mam trochę roboty, może spotkajmy się później, dobrze?

Nie miałem wyboru, poszedłem do pokoju zaraz po małych zakupach w kiosku hotelowym. Musiałem tu pomieszkać trochę, zanim zdołam zebrać jakieś informacje. Wpakowałem się do wanny ze szklanką, w której było tylko trochę wody, bałem się tej szwedzkiej czystości, więc rozpuściłem wodę sporą ilością „Sobieski Vodka”. O ile pamiętam, Sobieski był jakąś osobistością pół tysiąca lat temu, należało mu się to,

o ile wymyślił, lub przynajmniej lubił ten trunek.

Drink wprowadził mnie na wysokie obroty” wyostałem się z wanny bez pomocy i wciągnąłem na siebie ubranie. Zrobiłem prawie godzinny spacer i wróciłem do hotelu dopiero na obiad. Poczułem się całkiem dobrze, przeszedłem do baru, gdzie kazałem poszukać właściciela, a sam, żeby nie marnować czasu, zamówiłem dwa burbony. Już przy drugim łyku znalazł mnie hotelarz. Wskazałem mu jego szklaneczkę, a potem miejsce obok mnie.

– Rozmawiałem z synem, zaraz tu będzie – umoczył wargi w alkoholu, to znaczy, niby umoczył, bo wciągnął prawie pół porcji. – Przypomniał sobie coś. O! Już idzie – pokazał młodego blond dryblasza zmierzającego w naszym kierunku. Że taki właśnie będzie, wiedziałem dużo wcześniej. Tak samo jak wiedziałem od czego zaczniesz rozmowę.

– Hej! – usiadł przy nas i spojrzał na mnie. – Pan chce się dowiedzieć czegoś o Alexandrze Robinsie? A kim pan jest?

Młody, energiczny, popisuje się przed starym. Wyjąłem licencję i wsadziłem mu w wyciągniętą dłoń. Przeczytał i oddał.

– Przyjechał do nas siedemnastego czerwca, wyjechał dwudziestego szóstego. Trzy pierwsze dni spędził w hotelu, lało bez przerwy, potem zniknął na cztery dni, to znaczy zadzwonił i powiedział, że poznał tu jakichś ludzi i spędzi u nich weekend, ale pokój zatrzymuje. Nie było go trochę więcej niż zapowiedział, no, to w końcu jego sprawa. Po tej eskapadzie też za bardzo nie wychodził. Gdy go zapytałem czemu nie łąwi, mruknął coś i po godzinie pomaszerował na molo. Złowił kilka płoci i wrócił. Więcej już nie łowił. Mieszkał jeszcze dwa dni i wyjechał. – Spojrzał na szklanę z burbonem ojca.

– Chwileczkę, mam jeszcze pytanie – wstałem od stolika i przyniosłem z baru kolejkę dla wszystkich. Jak na prawdziwych Szwedów przystało żaden z nich nie zachował się niegrzecznie. Podnieśliśmy zgodnie szklaneczki.

– Nikt go tu nie odwiedzał?

– Właśnie, to jest trochę dziwne – młodzieniec odstawił szklanę i wycelował we mnie z palucha. – Najpierw mówię, że nie zna tu

nikogo, a potem było u niego dwóch mężczyzn i z nimi właśnie wyszedł. Potem dzwonił, że jest z przyjaciółmi. Jak wrócił, bąknął coś na temat starych znajomych, których akurat tu spotkał. Mogło to być prawdą, bo na pewno nie byli to Szwedzi – łyknął znowu. Nie pytałem go skąd wiedział, że to nie Szwedzi.

Na pewno wyczuł, że nie kąpali się co najmniej od dwudziestu minut.

– Jak wyglądali, pamięta pan?

– Lasse. Proszę mi mówić Lasse – wyciągnął łapę w moją stronę. Pewnie się upił, nawet jej nie wytarł po tym, jak wymieniliśmy uściski i powtórzył moje imię. Ojciec nie uczestniczył w imprezie. – Jak wyglądali? Nijak. Normalnie. Nie Szwedzi. Prawie równego wzrostu, nic więcej nie mogę o nich powiedzieć – rozłożył ręce i uśmiechnął się.

Chwilę jeszcze mamrotaliśmy coś do siebie, potem gospodarze zrozumieli, że darmocho się skończyła i odeszli tłumacząc się masą zajęć. Zapłaciłem i wyszedłem z hotelu. Złaziłem kawał brzegu, zaliczyłem kilka kęp lasów szpilkowych i mniej więcej tyle samo kamienistych zatoczek, przypomniałem sobie co robi samotny detektyw na takim spacerze i puściłem kilka kaczek po wodzie. Wypadło moim zdaniem przekonywująco, ale nikt nie rzucił się do mnie z propozycją zagrania w nowym super filmie, więc wróciłem do hotelu. Uczciłem zdobyte informacje resztą „Sobieski Vodka” i wódz ten czy polityk po raz drugi posłał mnie na deski. Wielki człowiek!



Rozdział trzynasty

Wrzuciłem tabletkę w przelyk i popiłem całą butelką pepsi. Oddałem puste naczynie stewardessie i poprosiłem o jeszcze jedną. Zaczynałem rozumieć, dlaczego ten Sobieski nie dokonał wyczynów na skalę światową, dobrze że w ogóle mógł czegoś dokonać. Takiego kaca w życiu jeszcze nie miałem i obiecywałem, że mieć nie będę. Zerknąłem na torbę, gdzie wiozłem prezent dla Woodey'a. Nic z niej nie ciekło, więc, mimo że każdy ruch potężnym echem rozbrzmiewał w głowie, uśmiechnąłem się złośliwie.

Trzy tabletki i osiem butelek płynów. Łykałbym dalej, ale samolot wylądował i musiałem podnieść dwutonowe ciało i przejść kilkanaście kroków do transportera. Dokonałem tego, więcej nawet – dowlokłem się do gabinetu medycznego. Mniej więcej kwadrans później wyszedłem na plac przed dworcem i skierowałem się na parking. Bastaad wiernie czekał. Sprawdziłem kontrolkę parkingu, pomedytowałem chwilę i wyszedłem na zewnątrz. Wywołałem komputer i kazałem dostarczyć samochód przed bramę. Jazda, mimo pustych już ulic, nie sprawiała mi przyjemności, ale szczęśliwe zakończenie wprawiło mnie w dobry humor. Odprawiłem wóz do garażu i rozejrzałem się, a potem poszedłem do bramy. Moje zmysły musiały być nielicho przytępione, skoro dopiero pod drzwiami do mieszkania usłyszałem jakiś szelest na dole. Sięgnąłem do kieszeni i zeszywniałem na sekundę w cienkim panczyku z zamrożonego potu. Biffax został na lotnisku, przez ścianę, wyraźnie jak przez szybę, oczami duszy widziałem gości w swoim własnym mieszkaniu, a szelest na dole kasował wszelkie złudzenia.

Zsunąłem buty i przesunąłem się pod ścianą ku schodom na górę. Wbiegłem na palcach piętro wyżej i wyjąłem klucz. Na szczęście zamek w klapie nie stawiał oporu, podniosłem ją lekko. Zamarłem. Niedawno brałem udział w podobnej scenie, tylko wtedy ja byłem na gorze. Podniosłem klapę jeszcze wyżej, ale głowę trzymałem nisko i rozejrzałem się. Wyskoczyłem na dach.

Pusto, ale mogło to trwać najwyżej minutę-dwie. Gdy ci z dołu skontaktują się w końcu z tymi w mieszkaniu, gdy ustalą, że wszedłem do bramy, ale nie ma mnie w mieszkaniu, prędzej czy później któryś z nich wpadnie na pomysł, by przeszukać dach. Zamknąłem klapę i nałożyłem buty. Podeszedłem do krawędzi i spojrzałem na ulicę. Przed bramą stali dwaj, czterech pilnowało wylotów ulicy. Przeszedłem na drugą stronę i spojrzałem na tyły. Tu był jeden, stał oparty o ścianę, widziałem tylko płaski kapelusz i ramiona, nie wyglądał z tej wysokości i w tym ujęciu groźnie, ale stał w najlepszym miejscu na całym podwórzu – miał na oku tylne wyjście, drabinkę, szeroką bramę, szpaler krzaków i plac pod pylonem. Odsunąłem się trochę i rozejrzałem jeszcze raz. Błyski reklam oświetlały dach i to nie było dobre, po ich refleksach nie potrafiłem zejść na ziemię. Wychyliłem się jeszcze raz i oceniłem wysokość. Przesunąłem się, osłonięty dachem, kilka cali, by być dokładnie nad strażnikiem i Wytarłem wilgotne dłonie. Coś dotknęło moich stóp omal nie spychając mnie na dół. Powoli odwróciłem się i omal nie zakląłem z wściekłości. Obok mojego prawego buta siedział nieduży kotek, zwykły szarobury kocurek. Wstał i otarł się o moją nogę, najwyraźniej miał ochotę zamiauczeć z rozkoszy. Złapałem go na ręce i pogłaskałem szybko. Podniosłem się i przygryzłem wargi. Spojrzałem w kierunku drabinki, wyjrzałem zza okapu i wyciągnąłem ręce. Kot zaczął mnie drapać, najwyraźniej czując jakieś świństwo. Puściłem go i pobiegłem do drabinki. Obliczyłem, że musi spadać jakieś dwie i pół sekundy zanim wyląduje na głowie strażnika i spowoduje zamieszanie, które miało być moją szansą. Kot spadał bezgłośnie, ale już po sekundzie usłyszałem głuchy huk i zaraz potem miękkie uderzenie kuli o ciało. Byłem już przy drabince, wychyliłem się i spojrzałem w dół. Strażnik

stał trzymając spluwę w ręce i spoglądał na dach nad sobą, czekał na najmniejsze poruszenie i teraz wiedziałem już, że strzela szybciej i lepiej, niż którykolwiek ze znanych mi ludzi. Facet rozejrzał się dookoła i poszedł w stronę tylnego wyjścia z budynku, najwyraźniej coś mu się w tym nie podobało. Wślizgnąłem się na drabinkę i prawie nie dotykając stopami szczebli, zsunąłem się na ziemię. Nie czekałem na następną okazję, tylko runąłem w stronę krzaków.

Pierwsze kilka kroków biegłem najszybciej jak mogłem, nabierając rozpędu, potem skoczyłem lekko w bok, przyhamowałem. Kuląc się i szarpiąc ciałem na wszystkie strony zbliżyłem się do krzaków, a w głowie coraz mocniej dudniło wspomnienie o kotku, który na kilka sekund odwrócił uwagę ode mnie. Pierwszy pocisk przeleciał mi tuż przed nosem. Gdy dotarło do mnie, że strzelec nie przejmuje się moimi wysiłkami i celuje w głowę skuliłem się i prawie stanąłem w miejscu.

Dwa pociski, jeden za drugim, poszły gdzieś z przodu, skoczyłem za nimi, do krzaków było już tylko kilka kroków, znowu zahamowałem i skręciłem trochę w lewo, tamten na pewno przewidział już miejsce skoku w krzaki i wycelował tam. Znowu skręciłem trochę i wskoczyłem między gałęzie, któraś z nich uderzyła mnie nad kolanem, ale już waliłem się na ziemię. Poprzez trzask łamanych patyczków usłyszałem krzyk z tyłu. Snajper uznał widocznie, że tym razem ofiara uniknęła jego ołowianych pocisków i wołał kolegów. Poczołgałem się kilka metrów, przykucnąłem i skulony jak embrion przesunąłem się do przodu. Szpaler krzewów kończył się tuż przede mną. Popatrzyłem w prawo i w lewo i zacząłem biec. Po kilkunastu krokach poczułem ból w nodze, tam gdzie uderzyła mnie gałąź. Nie przystawałem, kość musiała być cała, powierzchowne draśnięcie, ale stawiało pod znakiem zapytania możliwość biegu na dłuższy dystans. Przebiegłem obok pylona, smród uderzył w nos. Wpadłem w jego cień i skręciłem. Pierścień platformy wracał już do góry w swej monotonnej wędrówce po olbrzymim palu. Podskoczyłem i wczepiłem się w kolanko grubej rury ssawy. Zawisłem, na chwilę, podciągnąłem się i przewaliłem przez niską barierkę na platformę z metalowych pasków. Przeczolgałem się, by być jak najbliżej

końcówki ssawy, gdzie gruba warstwa kurzu sklepiła szczelne bariery i gdzie nie można było zobaczyć mnie z dołu. Smród był nieznośny, w dodatku słabe wyładowania przeskakiwały z naelektryzowanej powierzchni pylonu na końcówkę rury. Sięgnąłem ręką i obmacałem nogę, zapiekło. Zostawiłem ją w spokoju i oczyściłem kawałek kratownicy z kurzu, przyłożyłem do dziury oko i spojrzałem w dół. Nic się nie działo, ale gdy wychyliłem się lekko, by skontrolować większy obszar, zobaczyłem dwie ciemne sylwetki idące wzdłuż krzaków. Nie widziałem ich dokładnie, szli w smudze cienia, ale wydawało mi się, że mają nienaturalnie długie prawe dłonie, w dodatku trzymali je przed sobą. Przekręciłem się na bok i popatrzyłem do tyłu. Nie słyszałem silnika – platforma skrzypiała i piszczały jakieś trące części – ale zobaczyłem światła najpierw jednego, a zaraz potem jeszcze dwóch samochodów. Włączyły wszystkie światła i kręciły się wolno, tnąc mrok promieniami reflektorów. Już wcześniej musiały tam stać, przynajmniej jeden, na pewno nie przedarłbym się przez jego obsadę, nabierałem przekonania, że pylon był jedyną szansą, inna sprawa, że za trzy godziny platforma zacznie wracać. Za sześć stanie na dole i dokładnie oczyści swą powierzchnię. Wtedy będę widoczny jak homar na półmisku. Ale to dopiero za sześć godzin. Teraz najważniejsze jest, czy obława zainteresuje się pylonem.

Przechesywali krzaki po raz drugi, akurat w miejscu, gdzie przez nie przechodziłem. Czekałem na okrzyk odkrywcy śladów mojej krwi, ale ich nie spostrzegli, chodzili tam i z powrotem, a jeden z nich schował nawet broń. Tracili nadzieję. Byłem już dużo wyżej i musiałem trochę się wychylić, by popatrzeć na samochody. Stały w miejscu, obok siebie. Trwało to chwilę, potem jeden z nich ruszył do przodu i ustawił się na wprost pylonu. Przeczółgałem się szybko na drugą stronę rury. Snop białego, rozszerzającego się ku górze światła strzelił w moją stronę. Pod platformą, tam gdzie powierzchnia słupa była oczyszczona, promień odbił się i wrócił w dół. Wyraźnie widziałem sznureczek własnych śladów na zakurzonym trawniku, ale obsługa szperacza od razu podniosła światło wyżej, na platformę. Dopiero teraz zobaczyłem, że

platforma wznieca dużą chmurę pyłu wokół siebie, światło zapalało iskiereki na drobinach kurzu, łamało się na szczeblach platformy i rurach ssaw. Z dołu musiała być widoczna jakaś olbrzymia płatanina cieni i światel spotęgowanych odbiciami z oczyszczonej powierzchni. Po kilkunastu sekundach szperacz zgąś.

Oparłem się na ramieniu i patrzyłem w dół jeszcze godzinę. Tyle czasu trwały poszukiwania. Potem pogodzili się widocznie z niepowodzeniem, bo zeszli się wszyscy do samochodów, wsiedli i odjechali. Nie wiedziałem czy ktoś i nie został w krzakach, ale i tak nie mogłem opuścić swojej kryjówki, więc położyłem się na plecach i podciągnąłem nogawkę spodni. Rana nie była groźna, zadrapanych i kilka mięśni. Zawiązałem to chusteczką, i położyłem się, z rękami pod głową. Chwilę rozważałem możliwość pożaru na platformie, ale ponieważ iskry sypały się tu przez cały czas, wyciągnąłem z kieszeni papierosa i zapaliłem osłoniętą marynarką. Jednakże smród i pył, w połączeniu; z dymem, zaczęły mnie natychmiast gryźć w gardło i musiałem napluć na żar i wyrzucić papierosa. Odwróciłem głowę do słupa, usiłując łapać świeższe nieco powietrze i popatrzyłem w niebo. Tylko w niebo. Ziemia zaczynała mnie drażnić.



Rozdział czternasty

Pięć godzin później, gdy platforma zsuwała się jeszcze; w dół, zeskoczyłem na trawę. Przykucnąłem na tle czarnego słupa i poszedłem zgięty w kierunku najbliższego domu. Dotarłem do niego bez przeszkód. Odszukałem końcówkę hydrantu na ścianie i odkręciłem kran. Pocięła mała strużka wody. Nie czekałem aż będzie w miarę czysta, splukałem, rdzawą i śmierdzącą, usta, umyłem twarz i ręce. Zdjąłem spodnie i wytrzępałem je jak mogłem z grubej warstwy gęstego brudu. Wyjąłem wszystko z marynarki i wcisnąłem ją w kanał pod hydrantem. Przygładziłem włosy i wyszedłem na ulicę.

Była jeszcze pusta, ale miałem najwyżej dziesięć minut czasu. Poszedłem szybko do podziemnego przejścia i kupiłem w automacie plastikowy kombinezon. Wcisnąłem się w szeleszczącą żółtą rurę i wyszedłem na zewnątrz.

Udało mi się dotrzeć do otwarcia sklepów, kupiłem komplet szmat i poszedłem do apteki. Wykąpałem się, zrobiłem opatrunek i zastryk przeciwbólowy. Przebrałem się i w najbliższym kiosku kupiłem „Morning”. Wyrzuciłem gazetę od razu po przejrzeniu ogłoszeń do najbliższego kosza i zatrzymałem taksówkę. Do hotelu było niedaleko, ale byłem trochę zmęczony, a poza tym w „Pizarro” dość niechętnie patrzą na gości przychodzących na piechotę i bez bagażu, a ja byłem spragniony przyjaźni. Kierowca przerwał mi krótką drzemkę, zapłaciłem mu i wszedłem do hallu hotelu. Musiałem wyglądać mimo wszystko niezdrowo, obsługa przyglądała mi się natarczywie i bezczelnie, ale nikt nie usiłował mnie wyrzucić. Odwiedziłem hotelowy sklep i bez

zmruczenia oka zabuliłem za kilka drobiazgów dwie setki, kazałem je przysłać do pokoju i włożyłem do windy. Zamknąłem drzwi pokoju na klucz i zadzwoniłem do administratora. Zastrzegłem swój telefon, co znaczyło, że ewentualny namiar wskaże jakąś budkę w centrum miasta. Poprosiłem o zakodowanie mojego nazwiska w komputerze. Jakiś czas mnie nie znajdują.

Usłyszałem stukanie do drzwi, włączyłem podgląd i widząc chłopca ze sklepu otworzyłem je.

– Pana zakupy – przystanął wyprostowany trzymając paczkę w wyciągniętych rękach.

– Połóż tam na stole – wstałem i dałem mu dolara. Odmówił i wyszedł dumny ze swej odporności.

Wystukałem numer telefonu Jamesa i położyłem się na łóżku ze słuchawką na poduszce. Odebrał po ósmym sygnale.

– Cześć. Owen – powiedziałem.

– A! Już wróciłeś?

– Tak. Mam prośbę. Chciałbym, żebyś wysłał jakiegoś fachowca do mnie. Wydaje mi się, że mogą tam na mnie czekać różne niespodzianki.

– Rozumiem – powiedział powoli. – Zgodnie z przewidywaniami, nie?

– Tak.

– Miałeś gości?

– Całe mnóstwo. Nie zmieściłem się przez nich we własnym domu i musiałem nocować na świeżym powietrzu.

– A gdzie teraz jesteś? – zapytał.

– U znajomego. W centrum – dodałem, żeby go zdenerwować.

– Moi chłopcy pilnowali twojego samochodu na lotnisku – powiedział nagle. – Nie byłeś w Denver, co?

– Pewnie, że nie. Ale nie musiałeś się wysilać, sam bym ci powiedział. Później, oczywiście.

– No właśnie, a ja chciałem wiedzieć od razu – zaśmiał się.

– Gdybym chciał się ukrywać przed twoimi sokołami, to zrobiłbym to trochę inaczej. I na pewno by mi się to udało, bądź spokojny.

– Jestem spokojny – powiedział to przesadnie grzecznym tonem, ale

znałem go zbyt dobrze i zbyt długo by nie wiedzieć, że kipi jak kotłownia z parówkami w przytułku dla psów na Hotle Street. Zrobiło mi się go żal.

– James – powiedziałem szybko. – Wiem, że jesteś najciekawszym gliną jakiego mamy, ale poczekaj trochę. Teraz sam nic nie wiem...

– Ale co to za sprawa? Przecież coś muszę wiedzieć! – wrzasnął.

– Nie musisz i dlatego...

– Mogę cię wezwać do siebie! – przerwał wściekły. – I oskarżę o zatajanie...

– Ale się papieraki ucieszą – przerwałem również. – Prawie komendant wzywa na przesłuchanie swego kolegę ze studiów, byłego przełożonego z kursów dla oddziałów specjalnych i aktualnego bliskiego znajomego! Czy człowiek, który nie szanuje przyjaźni, może być komendantem?

Roześmiał się głośno.

– No dobrze – parsknął jeszcze raz. – Niech będzie. Ale powiedz, sobowtórzy męczą cię jeszcze?

– Oczywiście! Nie zmieniłem zdania, ale ci nocni goście nie mają chyba z tym nic wspólnego... – powiedziałem z wahaniem.

– A ruszałeś coś?

– E-e-e... Byłem u rodziców tego harpunnika. To nie mogło być to. Jeszcze nie wiem o co chodzi.

Chwilę słuchaliśmy obaj szmeru w słuchawkach.

– Kiedy to Święto Zbratania?

– A! Właśnie, dobrze, że mi przypomniałeś. Jutro o siódmej. U mnie, oczywiście. – – Dlaczego: „Oczywiście”?

– Odczep się – burknął. – Masz coś jeszcze?

– Mam dla ciebie prezent. Dostaniesz jutro. Cześć. Położyłem słuchawkę na aparat i wyciągnąłem się wygodnie. Wpadła mi pewna myśl do głowy, więc wstałem i podszedłem do telewizora. Przeniósłem na łóżko pulpucik końcówki, zainicjowałem komputer i rozpocząłem dialog. Podałem hasło sobowtór i bliźniak. Odpowiedź nie była ciekawa, sobowtór był zdaniem komputera fikcją literacką, a bliźniaki miały różne linie papilarne. Zapytałem o możliwości sztucznego

fabrykowania duplikatów człowieka. Tylko „klonowanie. Dobrze, więc klonowanie. Litery zmieniły się na czerwone i ułożyły w napis: „Zakaz wszelkich prób klonowania człowieka”. Napis świecił pół minuty choć wcisnąłem klawisz kasowania. Dopiero potem poszły bardziej szczegółowe dane. Wynikało z nich, że nawet klony nie rozwiązują problemu. Spędziłem jeszcze kilka minut patrząc w ekran, ale nic z tego nie wynikało. Przypomniałem sobie, co powiedział Inglehardt o wyższości człowieka nad komputerem i przyznałem mu rację. Skasowałem problem i poprosiłem o adres Liretty Ney. Zastrzeżony. No to inaczej – wystukałem numer telefonu Hy Masona, odczekałem minutę, zanim go odnaleziono i w końcu usłyszałem jego głos.

– Mason! Szybko, o co chodzi?

– Cześć, to Owen. Słuchaj, potrzebny mi jest adres Liretty Ney.

– Będę coś z tego miał?

– Chyba nie, ale jeśli coś z tego w ogóle wyjdzie, to masz pierwszeństwo. Jak zawsze.

– Pisz – wcisnąłem klawisz uruchamiający memoretkę – Claring Side piętnaście, telefon... zaraz... czternaście siedemdziesiąt – osiem dwanaście trzydzieści jeden. Jakbyś coś jeszcze chciał, to zadzwoń po południu.

Rzucił słuchawkę. Rozwazałem problem kilka minut, potem wywołałem administrację i poprosiłem o samochód. Powiedzieli, że mogą już schodzić. Skorzystałem z propozycji, odebrałem klucz i wsiadłem do błękitnego daihatsu. Skoczyłem na lotnisko i zabrałem ze skrytki pistolet, a potem pojechałem do domu. Pod bramą zobaczyłem Willa van der Kerkoffa. Uśmiechnął się i podniósł rękę, zatrzymując mnie.

– Dzień dobry. Niech pan chwilę zaczeka, chłopcy jeszcze nie zesli.

– Znaleźli coś? – poczęstowałem go papierosem.

– Ekhe! – zaprzeczył i przypalił. – Chyba nic nie ma, ale niewątpliwie miał pan wizytę.

Staliśmy chwilę rozglądając się po ulicy, aż jęknął sygnał w kieszeni Willa. Poszedłem na górę. Drzwi do mieszkania były otwarte i stał

w nich Baldwin. Skinął głową i cofnął się do pokoju. W fotelach siedziało jeszcze dwóch, nie znałem ich.

– Żadnych śladów – powiedział Baldwin. – Gdyby nie pana mikrofon... – wzruszył ramionami.

Podszedłem do dużego szpulowego Haratsi, w którym schowany był malutki Setch, a mikrofon, duży jak arbuz, nagrywał każdy szmer w mieszkaniu po moim wyjściu. Mało komu przyszyłoby do głowy, że odłączony od sieci magnetofon nosi w sobie mniejszego brata. Odsunąłem płytę czołową i wyłączyłem Setcha.

– Szkoda czasu – usłyszałem z tyłu. – Nic tam nie ma, nie wydali z siebie ani jednego dźwięku. Są tylko szmery świadczące o ich obecności. Ani słowa.

Wyłączyłem magnetofon.

– Nic nie podrzucili? – zapytałem.

– Nic. Widocznie czekali na pana i nie widzieli potrzeby – jeden z tych siedzących wstał i podszedł do mnie.

Pokiwałem głową. Facet stanął naprzeciwko i kiwnął się na palcach. Patrzył mi prosto w oczy i wyglądało, że jest przekonany o potęgze swego spojrzenia, nie miał wątpliwości, że od jego wzroku prostują mi się zwoje mózgowie. Opuściłem oczy złamany. Uwierzył w to.

– Co tu się dzieje? Niech pan mówi! – rzucił twardo.

Westchnąłem.

– Przecież dlatego zawiadomiłem policję – powiedziałem cicho. Kątem oka zauważyłem, że Baldwin odwrócił się plecami i odszedł do okna;

– Kogo pan podejrzewa? – typ nie ustawał.

– Kim pan jest? – usiadłem w fotelu i patrzyłem na niego z dołu.

– Inspektor Harold Easton. Komórka specjalna, nie podlega deszyfracji – wyrecytował z dumą.

O ile wiem, taka komórka musi mieć specjalne pełnomocnictwa, by przesłuchiwać obywateli. Jak to jest, Baldwin? – odwróciłem się do okna.

– To nie jest przesłuchanie – inspektor Harold Easton założył ręce do

tyłu i kiwnął się znowu.

– Jeśli to zwykła rozmowa to właśnie ją zakończyliśmy. Dziękuję, Baldwin. Do zobaczenia – odrzuciłem głowę na oparcie i zamknąłem oczy. Upłynęła dłuższa chwila, zanim usłyszałem kroki, a potem szcęk zamka. Wstałem i wyjąłem elefanta z szuflady, zmieniłem koszulę i nałożyłem szelki z kaburą, wciągnąłem na grzbiet marynarkę i wyszedłem z mieszkania. Nie zmieniłem nawet kodu w drzwiach, byłoby to równie sensowne jak dziobanie nosorożca widelcem. Odjechałem spod domu i przystanąłem przy pierwszej budce telefonicznej. Pokojówka Liretty Ney odebrała telefon dopiero po minucie.

– Chciałbym rozmawiać z panną Ney. Moje nazwisko Yates.

– Nie wiem... Panna Ney jest w tej chwili zajęta. Proszę poczekać – zniknęła z ekranu.

Czekałem chyba ze trzy minuty, zanim wróciła.

– Pół godziny między dwunastą i wpół do pierwszej, jeśli to pana urzęda.

– Już jadę – zapewniłem dziewczynę i rozłączyłem się.

Na piechotę dotarłem do pobliskiej apteki, ale telefon był zajęty, poszedłem dalej aż zobaczyłem żółtą kabinę. Wszedłem i wrzuciłem kilka monet do automatu. Kabina szarpnęła się i zakołysała. Miała spięrzony cały układ, bujała się jakbym miał pod sobą rów Mariański, a nie twardy bruk Moonlight Boulevard. Zamiast delikatnej wibracji ścian, uniemożliwiającej podsłuch „zlizującego” lasera, serwowała mi czkawkę, ale rolety na szczęście się opuściły, więc zaparłem się plecami o jedną ze ścian i wystukałem numer do Pymy. Rozłączyłem się po drugim sygnale i powtórzyłem operację. Odebrała w połowie pierwszego sygnału.

– To ja – powiedziałem. – Babel „Zmierzch” – dodałem i nagle uprzytomniłem sobie, że nie tak się umawialiśmy. – Dlaczego do cholery podniosłaś słuchawkę! Przecież nie było hasła w pierwszym telefonie?

– Wiedziałam, że to ty – usłyszałam. – Nie denerwuj się. U mnie

wszystko w porządku.

– W porządku, w porządku! Nic nie jest w porządku! A gdybym to nie był ja?

– Ale przecież jesteś? Więc przestańmy się kłócić. Powiedz lepiej, jak wyglądają sprawy?

– Cienko. Nic się nie dzieje – poskarżyłem się. – Już sam nie wiem co robić. Może jednak nie mam racji? Wystarczy ci jedzenia? – spróbowałem zmienić temat.

– Aż nadto. Nie kłam, wcale ci nie wierzę, czuję, że coś się dzieje. Ale i tak mi nic nie powiesz...

– Właśnie, że nieprawda. Byłem w Szwecji, piękny kraj, czysto jak na porodowce i wielkie niewinne i naiwne dzieci. Aż mnie korciło namówić które na partyjkę pokera. Wróciłbym z fortuną.

– A dowiedziałeś się czegoś?

– Trochę. Wygląda, że tam właśnie Robins kupił swój talent. Może nałykał się świeżego, szwedzkiego powietrza?

Przestań się wygłupiać, masz słabe poczucie humoru – ale czułem, że udało mi się ją w końcu nieco rozweselić. Najlepszy moment, by się pożegnać.

– Posłuchaj, muszę kończyć. Jestem umówiony. Postaram się zadzwonić jutro i już bez żadnych wpadek, dobrze?

– Dobrze-dobrze! Maruda jesteś. Czekam na telefon – rzuciła pierwsza słuchawkę. Powiesiłem swoją i dołożyłem kilka monet, bo inaczej kabina by mnie nie wypuściła. Zegarek wskazywał dwunastą z minutami, szybko wróciłem do wozu i wystartowałem do ekskluzywnej dzielnicy Santa Teresa, gdzie mieszkała Liretta. Gdy wreszcie przebiłem się przez całe miasteczko i dotarłem do bramy z numerem piętnaście, byłem spóźniony pięć minut. Strażnik w staroświeckim mundurze i czapce zdobionej złotym otokiem wysunął się godnie z budy i podszedł do moich drzwi.

– Pana godność?

– Yates.

– Dziękuję – odwrócił się i poszedł z powrotem.

Sprawdzał informacje nie przy pomocy końcówki, lecz telefonu. Był dumny z tak pięknej archaizacji. Rozmowa trwała dobre trzy minuty, choć dałbym głowę, że większą jej część zajęły wzajemne, wyreżyserowane uprzejmości. Wrócił w końcu.

– Panna Ney oczekuje pana.

Wolno poczłapałem do bramy i zacząłem ją ręcznie otwierać, spodziewałem się, że zaskrzypi, ale aż tak przeraźliwy zgrzyt zaskoczył mnie. W końcu jednak przedarłem się przez bramę i pogałem po zwirowej – jakże by inaczej! – alejce do dużego budynku widocznego przez gałęzie drzew i forsycji. Odczekałem jeszcze chwilę pod drzwiami, zanim pokojówka, ta sama z którą rozmawiałem, otworzyła je. Wprowadziła mnie do salonu i wyparowała. Spodziewałem się, że teraz też poczekam i cała ta zabawa skończy się bez widzenia z Lirettą, ale prawie równocześnie z wyjściem pokojówki otworzyły się inne drzwi i weszła gospodyni. Była skromnie ubrana, jasne spodnie i szeroka bluza z jakiegoś cienkiego materiału. Lekko podkręcone włosy związała wstążką w kolorze spodni. Cokolwiek bym przeciw niej miał, musiałem przyznać, że jest śliczna.

– Dzień dobry. Przepraszam za ten ceremoniał przy bramie. Mój impresario uważa, że powinnam być niedostępna. Sam dobiera służbę i tresuje ją.

Wyciągnęła do mnie małą dłoń, ale uściśnęła nadspodziewanie mocno. Patrzyła mi w oczy. Zdziwiłem się, jak mogłem nie dostrzec w kinie twardego błysku na dnice jej dużych, szarych oczu. Zresztą szybko przykryła je powiekami i odwróciła się wskazując długą, fantazyjnie powyginaną kanapę. Sama podeszła do domofonu i szepnęła coś do mikrofonu. Usiadła naprzeciwko mnie. Założyła nogę na nogę i oplotła kolana dłońmi. Poczułem jakiś nieokreślony powiew od niej. Milczała, czekając aż powiem z czym przychodzę.

– Nazywam się Owen Yates...

– I jestem prywatnym detektywem – zakończyła za mnie. – Przecież sprawdziłam to, zanim zgodziłam się na wizytę. Nawet czytałam o panu kiedyś. Umieram z ciekawości – uśmiechnęła się.

Kilka dni temu popełnił samobójstwo młody chłopak. Kochał się w pani. Rodzice nie wierzą w samobójstwo i wynajęli mnie, żebym wszechstronnie zbadał sprawę. Najpierw wykluczyłem morderstwo, teraz staram się udowodnić samobójstwo. Mówi coś pani nazwisko Verney? Myślała chwilę, nim odpowiedziała.

– Wie pan... Nazwisko nie jest mi obce, ale czy akurat o niego chodzi – nie wiem. Musiałabym sprawdzić w komputerze, chce pan?

– Oczywiście, bardzo proszę. To może mi pomóc – starałem się, by mi uwierzyła, ale nie byłem pewien, czy przypadkiem, nie gramy oboje. Moje akcje nie stały w tym przypadku wysoko. Ona była zawodowcem i to najwyższej klasy.

Wstała i podeszła do końcówki. Wywołała komputer i podała nazwisko. Po chwili uruchomiła drukarkę i wydała kawałek folii. Podeszła z tym do mnie i podała mi.

– Jest trzech ludzi o tym nazwisku, którzy pisali do mnie. Otrzymali standardowy tekst nagrany na płycie z moim zdjęciem. Mam tego – machnęła dłonią – kilka tysięcy. Czy to któryś z nich?

– Nie – oddałem jej kartkę. – On miał na imię William – patrzyłem jej w oczy.

– To w takim razie nie znani go zupełnie. Ci trzej... – wskazała brodą kartkę leżącą na stoliku. – ... trudno powiedzieć, że ich znam, ale William to już w ogóle. Napije się pan herbaty ziołowej? – wskazała coś palcem za mną. Odwróciłem się i zobaczyłem otwarte drzwi i pokojówkę z tacą. Dotarł do nas mocny zapach ziół. Odwróciłem się do Liretty i pokiwałem głową.

– Z przyjemnością. Ale nie mam już do pani pytań. Jeśli chciała pani zobaczyć detektywa w akcji to nie udało się. Zresztą ja wcale nie miałem nadziei, że coś u pani wyjaśnię. Musiałem przyjść dla spokoju sumienia.

– Powiedzmy po prostu, że pan się we mnie kocha, dobrze? Mnie będzie przyjemnie, a panu ta rola, mam nadzieję, nie będzie niemiła – uśmiechnęła się.

Była nieszczerą. Owszem, jest taki typ fałszywych trzpiotek, które mówią ci w oczy: „Wiem, że się we mnie kochasz!” i czekają co zrobisz.

Jeśli potwierdzisz, to ona miała rację a jeśli zaprzeczysz to znaczy, że się maskujesz. A wszystko w takim luźnym, niedbałym tonie, że chce się wybiec do łazienki i wypłukać żołądek pod bieżącą wodą. Ale Liretta nie była taka głupia, jaką grała.

– Jestem już w takim wieku, że starannie wybieram obiekty swych uczuć, znaczy to, że nie stać już mnie na wzdychanie i serenady pod balkonem. Muszę działać szybko i bez pudła. W pani nie zakochałbym się. Zbyt duża możliwość kosza – wstałem i poszedłem za nią do stolika, na którym pokojówka porozstawiała już filiżanki i kilka małych dzbanuszków.

– To bardzo dobrze – Liretta odwróciła się do mnie i popatrzyła w zupełnie inny niż dotychczas sposób. – Głębokie westchnienia burzą mi uczesania, a serenady nie docierają przez szyby.

Pokojówka bezszelestnie wycofała się z pokoju. Liretta stała pół kroku ode mnie. Ustawiała się tak, by nic narazić mnie na zepsucie sceny. Powinienem skoczyć i porwać ją w ramiona. Zmiażdżyć wargi pocałunkiem, a potem zerwać z niej bluzkę i powlec na kanapę. Jej wygięte kształty gwarantowały niebanalne ujęcia starego tematu.

Statyczna scena przedłużała się, w końcu ruszyłem do stolika, bałem się, że Liretta przejmie inicjatywę i zawlecze mnie na kanapę. To nie było już to czyste dziecko, którego gra powodowała, że łzy widzów potokami wypływały z sal kinowych.

– Ma pani miętę? – wskazałem dzbanuszkę na stoliku.

Popatrzyła na mnie i powiedziała spokojnie:

– Spieprzaj stąd.

Poczułem się pewniej. Chlusnąłem nieco cieczy z najbliższego czajniczka do filiżanki i łyknąłem.

– Pa. Chyba się pani kończy. Nerwy – wyjaśniłem. – A nerwy to znaczy alkohol, narkoty. I do piachu.

Odwróciłem się i poszedłem do wyjścia. Myślałem, że rzuci we mnie dzbankiem, ale wytrzymała, choć czułem, że marynarka zaczyna się tlić na plecach pod jej spojrzeniem. Wyszedłem przed dom, odetchnąłem głęboko i wsiałem do samochodu. Cięż widocznie otrzymał

w międzyczasie instrukcje, bo otworzył bramę szybko i bez zbytecznego sztafażu.

Dojechałem do najbliższej żółtej budki i zamknąłem się w niej. Była w dużo lepszym stanie niż ta, z której dzwoniłem rano. Gdy zgłosił się automat, powiedziałem:

– Caldwell. „Poletko pana Boga” – odłożyłem słuchawkę. Odczekałem minutę i wystukałem znowu ten sam numer. Jak poprzednio Pyma odebrała nie dając wysłuchać pierwszego sygnału.

– Co się stało? – krzyknęła.

– Nic, nie denerwuj się. Zapomniałem się ciebie zapytać, jak się nazywał lekarz George’a.

– Skinney. Też George. Mieszka na Hot Holm. Powołaj się na mnie – w jej głosie wyczułem jakby wahanie. Obiecałem sobie szybko o tym zapomnieć.

– A gdzie pracuje? Czy tylko prywatna praktyka?

– W trzecim miejskim. Powinien być w pracy. Coś się ruszyło?

– Trochę się kręci – powiedziałem wymijająco.

– Nie bądź taki Galileusz! – milczała przez chwilę, a potem zapytała: – Nie mógłbyś przyjechać?

– Teraz nie. Mam napięty harmonogram. Ale już niedługo powinno się coś wyjaśnić. Naprawdę! – najśmieszniejsze, że naprawdę tak czułem.

– No dobrze. Wiesz, miałam ochotę zadzwonić do ciebie... – przerwała czekając na reakcję. Wstrząsnął mną dreszcz jakby z sufitu popłynęła zimna woda.

– Nie rób tego. Po pierwsze nie mieszkam w domu. Musiałem się wyprowadzić. Po drugie, na pewno zdradzisz w ten sposób swoją kryjówkę. Bardzo cię proszę. Weź pod uwagę, że jestem już stary i nie mam czasu na szukanie sobie drugiej takiej jak ty.

– Hi-hi! – wyskandowała na dwa tempa. – Już ci wierzę. Zresztą kręcisz się wśród sobowtórów, może znajdziesz tam... – nagle przestało to być śmieszne i Pyma to wyczuła – ... jeszcze jednego... Och, przepraszam! Głupia jestem. Ta samotność rzuca mi się na mózg, już nie będę. Wiesz, co robię teraz?

Pomyślałem chwilę, bardzo chciałem zgadnąć. Aż się skrzywiłem z wysiłku.

– Czytasz Babela?

Słuchawka milczała.

– Pyma! Py...

– Nie krzycz, jestem. Zamurowało mnie. Skąd wiedziałeś?

– To proste. Nudzisz się i z ciekawości bierzesz do ręki książki, które wymieniam. Chyba też bym to robił.

– Jesteś wielki! – powiedziała poważnie. – Czekam z niecierpliwością na następną rozmowę, bo będzie na de. Może Defoe? Co?

– Może. To co? Do Jutra?

– Skoro musisz, to do jutra.

Czekaliśmy oboje, w końcu pierwszy położyłem słuchawkę. Musiałem wypisać czek, bo zabrakło mi drobnych, automat przymówił się jak zwykle o datek dla potrzebujących, uległem mu i dodałem kilka groszy. Wahałem się, czy nie zadzwonić do Skinneya i umówić się z nim, ale w końcu postanowiłem pojechać i pogadać z nim bez uprzedzenia.

Zawróciłem i jeszcze raz przejechałem obok bramy posiadłości Liretty. Typ w budce rzucił mi ponure spojrzenie, wycelowałem w niego ze środkowego palca prawej ręki i z olbrzymią satysfakcją zobaczyłem, że podrzuciło go na krzesło. Wyjechałem na obwodnicę wewnętrzną i objechałem kawał miasta, by znów zanurzyć się w nim, ale już od południowego zachodu. Z automatu obok bramy szpitala wywołałem centralę i poprosiłem o połączenie z doktorem Skinneyem. Doktor jednak nie odpowiadał. Jeszcze raz połączyłem się z centralą i kazałem dać do telefonu kogoś z administracji. Teraz poszło lepiej. Zgłosiła się pielęgniarka.

– Dzień dobry, siostró. Nie widziała pani doktora Skinneya?

– O ile wiem, wziął urlop. Zaraz sprawdzę – zamilkła na chwilę. – Tak, wczoraj rano zgłosił dwa tygodnie urlopu. Czy coś mu przekazać?

– Nie, to sprawa na osobistą rozmowę. A wyjechał czy...

– Nie wiem. Ale proszę poczekać – znowu odłożyła słuchawkę, tym razem na dłużej. – Halo? Wyjechał, wróci za dwanaście dni. Nie

zostawił adresu. Jeszcze coś?

– Nie-e... Dziękuję bardzo. Do widzenia – pożegnałem się już tylko z telefonem, bo siostra wyłączyła się błyskawicznie.

Wróciłem do samochodu i włączyłem końcówkę. Poprosiłem o dane o dyrektorze serpentarium w Popot Cal. Zastrzeżone. Wypaliłem papierosa, potem drugiego. Nie smakowały mi, odczekałem trochę i zapaliłem trzeciego. Był taki sam jak poprzednie. Bliźniak. Sobowtór. Dookoła same duplikaty. Jeszcze raz włączyłem końcówkę, sprawdziłem, czy jest już gazeta południowa, w odróżnieniu od porannych i popołudniówek można ją było przeczytać z terminala. Musiałem poczekać kwadrans, zanim wyszła na ekran, przejrzałem ogłoszenia i nie znajdując niczego ciekawego uruchomiłem silnik.

Jechałem bez celu, jakbym po prostu chciał obejrzeć miasto, w gruncie rzeczy nieciekawe i pospolite. Kierowałem samochodem automatycznie, skręcałem podporządkowując się znakom, hamowałem, gdy zapalały się czerwone światła, wyprzedzałem maruderów i dawałem się wyprzedzać bardziej niecierpliwym i zdecydowanym. Nie wiedziałem co z sobą zrobić, rzadko mi się to zdarzało i nie miałem doświadczenia w tej dziedzinie. W końcu przystanąłem przed bistro i wszedłem napić się kawy. Na szczęście była dość dobra, wziąłem jeszcze jedną i poprosiłem o telefon do stolika. Połączyłem się z redakcją „Afternoon News”. Mason zgłosił się dopiero po kilku minutach.

– Mason!

– Jeszcze raz Owen. Posłuchaj, powiedz mi coś o Liretcie.

– Ty chyba zupełnie zdurłeś! Nie wiesz, że za trzy godziny gazeta ma być w kioskach? Największy tuman pomyślałby trochę zanim zawracałby mi dupę w takiej chwili. Nie sądziłem...

– Więc przyjadę do ciebie?;– mógł bełkotać godzinę marnując tak niby cenny czas.

– Dobrze – rzucił słuchawkę.

Wypiłem spokojnie kawę, choć wiedziałem, że sekretarka Masona robi dużo lepszą, najlepszą w mieście, chyba nawet lepszą niż Pyma. Wyszedłem z bistro i znalazłem sklep. Kupiłem butelkę „Old Tom”, a w

drogerii obok, małą brezentową torbę. Wróciłem do samochodu i włączyłem się w narastający o tej porze ruch. Udało mi się dojechać do budynku gazety w osiem minut, co było bardzo dobrym czasem, tym bardziej, że najskrupulatniejszy glina nie mógłby przyczepić się do mojej jazdy. Znalazłem miejsce w gęstym szeregu samochodów i wcisnąłem się między nie, choć parking był zarezerwowany tylko dla pracowników redakcyjnych. Pojechałem na siódme piętro i wszedłem do sekretariatu.

– Dzień dobry – powiedziałem do Sary. – Wiem, że jest zajęty, ale pozwolił mi przyjść – mówiłem to wszystko idąc do drzwi Masona. Sara potrafiła nie dopuścić do spotkania jeśli uważała, że zaszkodzi to jej uwielbianemu szefowi. Zastanawiałem się często, skąd u niej te cechy starego sekretariatowego wiarusa, przecież była młodą dziewczyną, której nikt rozsądny nie wyrzuciłby, z pościeli, a wielu nawet z życia.

– Co się tak boisz? – roześmiała się głośno. – Umrę! Nie spiesz się tak, nie rzucę ci się pod nogi. Hy złamał numer, możesz wejść. Ale masz minę!...

Uśmiechnąłem się do niej i otworzyłem drzwi do gabinetu Masona. Na mój widok, choć raczej powinienem powiedzieć: na widok torby, rozchylił wargi, co w tym przypadku oznaczało uśmiech. Usiadłem i położyłem torbę na blacie. Hy pochylił się i wyjął z biurka dwie szklaneczki. Nie cierpiał pić Whisky z tekturowych czy plastikowych kubeczków, co było zwyczajem rozpowszechnionym w biurach i z którym to zwyczajem walczył jak tylko mógł. A mógł dużo, wobec czego w redakcji „Afternoon” piło się elegancko. Hy wcisnął taster komunikatora i powiedział:

– Saro...

– Jesteś zajęty, wiem. Przecież widziałam nową torbę Owena – przerwała.

Mason wyłączył się i mrugnął do mnie.

– Jest fenomenalna – powiedział, i było to szczere wyznanie. – Bez niej byłbym załatwiony. Gdyby chciała odejść, gotów jestem dać jej pensję wyższą od swojej, bo też jest tu bardziej ode mnie potrzebna. Ożenię się z nią, a nie puszcę.

- Ona wie o tym? – zapytałem, nalewając do jego szklanki.
- Oczywiście.
- No to dlaczego nie usiłuje odejść?
- Szczerze mówiąc nie wiem. To jakaś zagadka duszy kobiety. No! – podniósł szklaneczkę.

Wypiliśmy obaj od razu po sporym łyku. Hy najbardziej cenił pierwszy. Następne smakowały mu mniej. Najpierw tego nie rozumiałem, później po jakimś czasie, musiałem przyznać, że było w tym sporo racji.

– No?

Podniosłem szklaneczkę do góry i spojrzałem na okno przez złocisty płyn. Światło uwięzło w naczyniu, ale drżało usiłując się uwolnić.

– Liretta Ney. Interesuje mnie to, czego o niej nie wiem.

– Aha! No cóż... To też kobieta o duszy przepełnionej tajemnicą. Interesuje cię cały jej życiorys? – Hy umoczył wargi w szklance, a potem, jakby chcąc z tym” szybciej skończyć, wypił jednym łykiem resztę.

– Niech będzie.

– Dwadzieścia sześć lat. Urodzona na południu. Rodzice rozwiedzeni, wychowywał ojciec, dyrektor sierocińca. Kiedyś mówiło się, że przebywanie z tymi dziećmi nałożyło piętno na Lirettę i jej grę, że niby dlatego jest taka miękka, przejmująca. Nie wiem... w sierocińcu działał teatrzyk i tak dalej. Rozumiesz...

Skinąłem głową. Dokończyłem swoje whisky i chwyciłem za butelkę. Hy pokręcił głową i sięgnął do biurka. Wyjął identyczną butelkę i odkręcił korek. Nalał i z przyjemnością wypił swój pierwszy łyk.

– Potem spotkał ją niejaki Hicks i wcisnął do filmu Denta „Straszne południe”. Została odkryta i Hicks sprzedał ją Gibsonowi. Do dziś chodzi z oplutą brodą, a Gibson przestał w ogóle pracować i zajmuje się tylko swoją gwiazdą, – ale trzeba mu przyznać, że robi to dobrze i świetnie na tym wychodzi. Każdy jej film sympatycznie obciąża ich kieszenie.

– A co z tą jej nagłą zmianą?

– Jakieś trzynaście miesięcy temu zniknęła. Gibson narobił szumu, postawił na nogi policję w całym kraju. Najpierw myśleliśmy, że postanowił poszumieć trochę, to nigdy nie zaszkodzi, ale okazało się, że zaginęła naprawdę. Wciskaliśmy ludziom co się dało, a to, że jakiś wielbiciel porwał ją i trzyma na wsi, potem grecki miliarder, potem różne warianty zemsty za Bóg wie co. Szlag mnie trafiał, ale musiałem to dawać, bo inni kopcili na całego. Po dwóch tygodniach odnaleziono ją w domku letniskowym w Manaha Beach.

– Domek był oczywiście przedtem sprawdzany?

Jas-sne! Powiedziała, że nic nie pamięta, wylądowała w szpitalu na obserwacji, zrobili jej tyle badań, że chyba musieli robić transfuzje, by uzupełnić brak krwi i nic nie wyszło. Wróciła do domu, a właściwie wyjechała na długie wakacje. Gibson postarzał się o dziesięć lat, bał się, że będzie musiał wrócić do normalnej pracy, histeria widowni skończyła się, lansowano nowe gwiazdy, a Liretta odmawiała pójścia na plan. Potem wróciła i od razu – zaserwowała skandal, to też chyba pamiętasz?

– Pfu! Pamiętam, ale każdy mówił co innego, tak że w końcu nie wiem, co to było naprawdę.

– Tortury! Ot, co było naprawdę – Mason rozparł się wygodnie w fotelu i czekał na efekt. Musiałem przynajmniej gwizdnąć. Zrobiłem to, choć przeszkadzał mi papieros, właśnie włożyłem między wargi.

– Obstałowa piwniczka, że Torquemada by pozazdrościł. Ona i jeszcze dwie laleczki skatowały tam kilkanaście osób, zanim sprawa buchnęła smrodem. Płaciła świetnie, ale gdy jednej z pacjentek zrobiły lewatywę z beczki elektrolitu i tamta musiała sprawić sobie tarę w postaci jesionowej skrzyneczki, ktoś sypnął. Ale tak delikatnie, że szum był, ale nie wiadomo o co. Zresztą nikt by nie uwierzył, że subtelna panna Ney jest sadystką najcięższego kalibru. Ledwo trochę ucichło, zrobiła to jeszcze raz, ofiara na szczęście wyżyła i skandal był mniejszy.

– Poczekaj – poczekaj! A co na to policja? Gdzie to było?

– W Utah. Policja na to nic, bo tamte wzięły winę na siebie. Mają jeszcze po siedem lat akwarium.

Mason kiwał się w fotelu dumny z siebie. Wypuściłem długą strugę dymu w sufit, rozszerzała się w duży kłęb uderzający delikatnie tuż obok lampy. Hy przestał się kiwać i oparł łokciami na blacie.

– Coś jeszcze?

– A jest jeszcze coś? – rozszerzyłem nieco jego pytanie.

– Właściwie nic. Zmieniła się na ekranie, to wiesz.

Przestała być niewinną cnotą, zaczęła być sobą. Ale to też spodobało się widzom, dalej wałą na każdy jej film, choć nie zawsze ci sami. To nie martwi ani jej, ani jej impresaria – widz to widz, ważne żeby miał papierki.

– Jakies ploteczki?

Skrzywił się i myślał chwilę. Postukał paznokciem w pustą szklaneczkę, ale gdy chciałem nalać, powstrzymał mnie gestem dłoni.

– Odprawiła swoją starą pokojówkę. Sympatyczna staruszka, ale odmówiła wywiadu. Chyba ciągle kocha swoją panią i nie chce robić jej krzywdy. Daliśmy jej spokój.

– Chciałbym z nią pogadać, daj adres.

Wychylił się do dużego terminala wpuszczonego w prawą stronę biurka i postukał w klawisze. Skopiował tekst i wydarł folię. Zmiał ją w kulkę i rzucił w moim kierunku. Złapałem i wsadziłem do kieszeni. Wiedziałem, że mnie teraz nie wypuści, więc zapaliłem znowu. I czekałem. Wytrzymał dłuższą chwilę, zanim zapytał obojętnie:

– Powiesz, po co ci to?

– Jeszcze sam nie wiem, naprawdę?

– Gównu ci wierzę. Akurat byś kupił Toma tak za bezdurno! Pff! – prychnął i popatrzył na mnie w sposób nie pozostawiający wątpliwości.

– Przecież wiesz, że jakbym coś miał, to i ty byś miał. Nic się nie zmieniło w naszych układach – wstałem i przeciągnąłem się, aż trzasnęło w stawach. – Na razie!

Odwróciłem się i wyszedłem z palcem podniesionym do góry. W sekretariacie zawahałem się, ale w końcu musialem to gdzieś i z kimś załatwić.

Przystanąłem obok Sary. Popatrzyła na mnie zdziwiona. – Mogę cię

o coś prosić? To bardzo dla mnie ważne.

– Mów – powiedziała spokojnie, wcale nie zdziwiona. Przemknęła mi myśl, że wszyscy dookoła są opanowani i inteligentni, tylko ja jestem durny jak cap.

– Chciałbym, żebyś zadzwoniła pod pewien numer za kilka dni i zajęła się osobą, która tam jest. Dobrze?

– Oczywiście. Jaki numer? – uruchomiła memoretkę.

– O to chodzi, że nie mogę ci teraz powiedzieć. Wiesz... Dopiero gdybym nie zadzwonił za cztery dni, to wtedy ty byś zadzwoniła.

Wstała od biurka i odeszła do okna. Nachyliłem się nad klawiaturą i wystukałem numer telefonu do domku w lesie. Kazałem wymienić „Maski” Garmonta, zastrzegłem numer na sto godzin i zakończyłem polecenie. Oszczędłem od biurka i podziękowałem Sarze. Chciała coś powiedzieć, ale nie była dość szybka, wyszedłem i skierowałem się do windy. W samochodzie rozwinąłem kulkę. Elsa King mieszkała tuż obok mnie, pojechałem z lekka okrężną trasą, by ominąć swoją ulicę. Zatrzymałem się na parkingu przed domem towarowym Denta i poszukałem wewnątrz jakiegoś tłumy. Wbiłem się w ciżbę dookoła małej sceny, na której roznegliżowana mulateczka wyła coś o znakomitej kawie i co jakiś czas ciskała paczuszkę w tłum. Przedarłem się na drugą stronę i klucząc dotarłem do drugiego wyjścia. Wyszedłem prawie naprzeciwko domu, którego numer podał mi terminal Masona. Pani King mieszkała na samej górze, nad biurkiem małej spółki Lee Quinton, świadczyło to, że Liretta Ney nie była przesadnie hojna. Albo pani King była wyjątkowo skąpa. To drugie okazało się nieprawdą. Gdy tylko otworzyła drzwi, uważnie obrzucając mnie spojrzeniem i lekko zmarszczona ze zdziwienia, odrzuciłem podejrzenia co do jej oszczędności. Potwierdzało to każdym szczegółem mieszkanie, malutkie, czyste, choć z lekkim bałaganem.

– Przepraszam pana za nieład, ale wyjeżdżam pojutrze i pakuję się powoli. Znalazłam pracę niedaleko miasta, w którym mieszka córka. Chyba się przeprowadzę na stałe, ale najpierw chcę zobaczyć jak to będzie. Ale pan ma jakąś sprawę, nawet ja wiem, że detektywi nie

chodzą ot tak sobie po domach... – zerknęła na mnie z ciekawością, jakby nie dość dokładnie obejrzała mnie w drzwiach.

– Pani pracowała u panny Ney, prawda? Drgnęła jakby przestraszona, zacisnęła palce w pięści i wojowniczo zadarła brodę.

– Nic nie powiem! Nie dam skrzywdzić panienki! – pisnęła.

– Pani mnie źle zrozumiała – zrobiłem oburzoną minę. – Wcale nie chcę jej krzywdy. Mam podstawy sądzić, że źli ludzie w jakiś sposób zmuszają pannę Ney do rzeczy, których w życiu by nie zrobiła. Nie wiem jak to robią, może szantaż...

Patrzyła na mnie z coraz większą ufnością i w końcu nie wytrzymała.

– Na pewno tak jest jak pan mówi!, Przecież ona by muchy nie skrzywdziła! To anioł, a dziennikarze takie rzeczy o niej wypisują, że aż strach czytać. Na pewno coś jej zrobili – załamała ręce. – Niech pan jej broni!

– Po to tu jestem, proszę pani. Ale za mało wiem, podejrzewam tylko różne rzeczy. Pani może mi pomóc – nachyliłem się do niej konspiracyjnie. – Czy ktoś może ją szantażować?

– Ależ broń Boże! Czym?

– Pani ją długo zna?

– Prawie od urodzenia. Byłam jej niańką od drugiego roku życia. Potem prowadziłam dom panu Ney, gdy Liry dorosła. A jak tu przyjechała i zaczęto się jej dobrze powodzić, sprowadziła mnie i odtąd zawsze z nią byłam. Zawsze była... taka... – zaczęła chlipać i rozglądać się w poszukiwaniu chusteczki. Poszedłem do łazienki i przyniosłem jej kilka.

– A co to było z tym zniknięciem? Może ją porwali?

– Nie wiem... Liry mówiła, że straciła pamięć, że nic nie wie i nie pamięta. Ocknęła się nagle w swoim domku i potem ją znalazł jakiś mężczyzna.

– I potem się zmieniła, tak? – usiłowałem wyciągnąć z niej jak najwięcej, bałem się, że nagle zrobi jej się żal swojej księżniczki i zamilknie.

– Była chora – odpowiedziała z przekonaniem. – Bardzo to

odchorowała. Najpierw szpital, potem odpoczywała w domu, ale coło za odpoczynek? Ciągłe ktoś przychodził, dziennikarze chodzili wokoło domu i robili zdjęcia. W końcu pan Gibson wystął nas na wakacje. Ale Liry ciągle była zdenerwowana,” roztargniona. Bała się wszystkiego. Trwało to ze dwa miesiące, a potem było już lepiej, tylko... – wtuliła twarz w chusteczki. Odczekałem chwilę i zapytałem:

– Może ktoś ją odwiedził i od tego się zaczęło?

– Sko-ąd... Nikogo nie przyjmowała, nie odbierała żadnych telefonów. Tylko pewnego dnia powiedziała, że jest zmęczona i żebym sobie poszła. Wypłaciła mi za rok z góry i już... Ja się źle poczułam i byłam tam jeszcze jeden dzień i Liry strasznie była o to na mnie zła. Ja ją rozumiem – wygięła usta w podkówkę jak mała dziewczynka. Zrozumiałem, że nie powie mi niczego, co jej zdaniem zaszkodziłoby Liretcie.

– Wyrzuciła swojego ukochanego miśka na śmietnik... – bąknęła Elsa King.

– Skąd pani wie?

– Znalazłam go tam i zabrałam. Chcę go kiedyś oddać przy okazji, na pewno za nim tęskni.

Nie mogłem biedaczce powiedzieć, że jej słoneczko lubi teraz patroszyć żywe laleczki. Wstałem. – A może pan by jej go oddał? Pan ją będzie widział?

– No... tak, będę. Oczywiście, że mogę oddać.

Podreptała do drugiego pokoju i po chwili wróciła ze sporym misiem koala, jakich tysiące tłucze się w Australii i Hong Kongu.

– Odczyściłam go trochę. Odda pan?

– Na pewno. Dziękuję pani za rozmowę – wyjąłem go z jej ręki, bo jakby zaczęła się wahać.

– Będę się modliła, żeby się panu udało.

Nie otwierałem już ust, by nie palnąć jakiegoś głupstwa, skłoniłem się i szybko wyszedłem. W windzie podniosłem z podłogi naddartą torbę po zakupach i wsadziłem do niej misia. W kiosku kupiłem gazetę i już po raz któryś tam z kolei przejrzałem ogłoszenia. Znów nic. Wrzuciłem ją do kubła i poszedłem do samochodu. Mimo dużych wysiłków nie

mogłem *znaleźć* w głowie żadnego pomysłu na dziś. Ruszyłem do Byle Gdzie i dotarłem do kina samochodowego, opłaciłem wjazd, włączyłem nagłośnienie w samochodzie i odchyliłem fotel. Rozparłem się wygodnie, trąciłem nogą represer; żeby dym nie przesłaniał widoczności i zapaliłem. Czekałem na koniec filmu, początku którego nie widziałem, zerkając na boki. Samochodów nie było zbyt wiele a i te, stojące z rzadka tu i tam, wyglądały na puste. Jakiś cień przemknął za tyłem mojego wozu, nie zmieniłem pozycji tylko wsadziłem rękę w szczelinę między fotelami i chwyciłem kolbę biffaxa. Ktoś zapukał w boczną szybkę, odwróciłem się.

– Nie jest ci zimno, kotku? – fatalnie wymalowana ruda pochyliła się do okna prezentując obfity biust. Ręce położyła na dachu, inaczej opadłby i mogłaby przydusić go sobie kolanami do karoserii. Pokręciłem głową przecząco. – Daj papierosa przynajmniej – nie rezygnowała ruda.

Wyjąłem paczkę i opuściłem szybę. Podsunąłem paczkę w jej kierunku i zapytałem:

– Co dzisiaj grają?

Ruda przypaliła od mojej zapalniczki i wypuściła dym ponad dachem. Była, kulturalna, to musiałem jej przyznać.

– Stare komedie, Laurel i Hardy, Chaplin, Keaton, Menik, bracia Mara, Codycył i Rambo. Lubię ich. – odeszła kilka kroków i stanęła na palcach usiłując znaleźć jakiś wóz, którego właściciel zajęty byłby tylko patrzeniem na ekran. Światła z tyłu smagnęły jej plecy, poderwała się szybko i pospieszyła do nowego klienta. Movie-girls o dobrym filmowym guście. Praca kształtuje zainteresowania. Obejrzałem się i zobaczyłem, że tamten wóz miał gorsze ogrzewanie niż mój, bo wsiadła doń bez dłuższej zwłoki. Odwróciłem się do ekranu.



Rozdział piętnasty

Gdy podjechałem pod hotel, było dwadzieścia po ósmej. Pod pozorem odstawienia wozu na parking wszedłem do hallu tylnym wejściem i stojąc w drzwiach rozejrzałem się, choć nie miało to większego sensu. Jedynego faceta, którego obcas poznałem bliżej, spartolił sprawę i koleś zafundowali mu spływ z nurtem do oceanu, albo zakotwiczyli na dnie z nogami w wiadrze betonu. Postanowiłem jednak nie zaniedbywać ostrożności.

Przeszedłem przez hali bokiem i wszedłem do restauracji. Zjadłem szybko kolację i powędrowałem do baru. Wcisnąłem się w kąt między filarem i ścianą, zawołałem barmana i zamówiłem martini z podwójną cytryną. Usiadłem na stołku i pociągnąłem z wysokiej szklanki..

– Ależ mam szczęście! – usłyszałem z tyłu.

Kilka sekund trwałem nieruchomo mając nadzieję, że oświadczenie skierowane jest nie do mnie. Niestety, to nie ja miałem szczęście. Poczułem lekkie dotknięcie w ramię. Odwróciłem się.

Liretta Ney, laureatka Platynowego Oskara, sadystka i niewdzięcznica na pewno była wielką aktorką. Ktoś, kto potrafi zapomnieć scenę sprzed kilku godzin i stać z niewinną minką, szczerze ucieszony, zasługuje na to określenie, albo nie jestem Owen Yates, prywatny detektyw, łowca dubletów.

– O? – zdziwiłem się. Sądziłem, że zagrałem to nieźle, ale Liretta szybko wyprowadziła mnie z błędu.

– Nie udawaj. Jesteś na mnie wściekły i masz rację... Sleeping! – rzuciła w stronę barmana, odszedł nie manifestując swych uczuć, ale ja

nie byłem tak odporny. Popatrzyła na mnie i roześmiała się. – Teraz przynajmniej jesteś szczery, mogę ci mówić po imieniu? Możesz mi mówić Li albo Lir albo jak chcesz – sięgnęła, nie patrząc, po postawioną przez barmana niską, szeroką kryształową czarękę z pływającym w jasnożółtym płynie, włóknem canili i umoczyła w niej wargi. – Zachowałam się okropnie, wiem o tym, ale ty chyba jeszcze gorzej.

Czułem jak mój pancerz topi się i spływa na podłogę pod spojrzeniem szarych oczu. Skoncentrowałem się na drinku, wykończyłem go i kiwnąłem na barmana.

– Nie ma o czym mówić – powiedziałem wolno, nie precyzując niczego.

– Może i tak. Chciałam ci tylko wyjaśnić, że nie jestem taka sama jak na ekranie, to mi chyba wolno? A wszyscy oczekują, że jestem właśnie taka jak Ailee z „Jesiennych dzieci”.

– Że nie jesteś taka, to już wiem – mruknąłem obserwując zbliżającego się barmana.

Nie jestem też perwersyjną sadystką jak piszą gazety – mówiła spokojnie, ale jej wściekłością można by wyburzać stare budynki.

– Jasne – zgasilem papierosa i wziąłem do ręki szklankę. – Powiedz to tej frajerce, której spaliłaś wnętrze. I tym dwóm, które widok z okna mają podzielony na równe kwadraty.

– To bzdura, ale nie mogę niczego udowodnić – powiedziała to tak, że gdybym nie wiedział jaki jest jej zawód, zdeptałbym wszystkie podejrzenia i w dodatku przeprosił ją za chwilę słabości. Nie patrzyłem na nią, skoncentrowałem się na słuchaniu. Łatwiej mi wykryć fałsz w głosie niż w oczach, zresztą większość kłamców koncentruje się na wyrazie twarzy. A ona albo mówiła prawdę, albo była wyjątkowym kłamcą, skłaniałem się raczej ku temu drugiemu. – Jestem otoczona kłamstwem i najczęściej mówię i robię to, czego ode mnie oczekują. Twoja głupia historyjka... Wcale w nią nie uwierzyłam i pomyślałam, że masz jakiś inny cel. A że akurat spodobałeś mi się uznałam, że możemy spędzić trochę czasu ze sobą. Może źle cię oceniłam... W każdym razie chciałabym żebyśmy zostali przyjaciółmi – zakończyła niespodzianie.

Popatrzyłem na nią. Na pewno nie była głupia i dlatego nie wyglądało to na grubymi nićmi szyte kłamstwo, raczej... Raczej, cholera, na prawdę! Wyczuła zapewne, że zaczynam się łamać, bo dodała:

– Nic więcej nie mogę powiedzieć, nie mogę się usprawiedliwić.

Przesadziła, ale tak była ucieszona sukcesem, że nawet nie zauważyła mojej twarzy. Musiałem się zmienić, bo dawno już nikt mnie tak nie zahipnotyzował, nie, niedawno, przecież Groomi! Niezły duet. Zawolałem barmana i zapytałem, czy znajdzie paczkę dromaderów. Przyniósł po chwili, otworzyłem i poczęstowałem Lirettę. Odmówiła, wciąż smutna, niezrozumiana, skrzywdzona, rozpamiętująca walące się na nią nieszczęście.

– Nie wiem co o tym sądzić – powiedziałem wolno, z namysłem.

– Rozumiem – spojrzała na mnie tak, że trzy czwarte męskiej populacji i ja sam przed pięciu minut, walnęłoby się na podłogę i błagało o zezwolenie na ucałowanie rąbka sukni.

– Wątpię. Musiałabyś być mężczyzną – skinałem na barmana i poprosiłem o butelkę „Club 1999” do pokoju trzysta pięćdziesiąt dwa.

– Ale przyjmijmy, że między nami zgoda, co znaczy tylko tyle, ile znaczy. Romans gwiazdy filmowej i miernego detektywa może się zdarzyć tylko na ekranie. Do widzenia – zsunąłem się ze stołka i poszedłem do wyjścia.

W hallu przyspieszyłem i prawie dobiegłem do recepcji.

– W samochodzie, którym dzisiaj jeździłem, została torba. Proszę szybko zanieść do mojego pokoju i zawartość położyć na fotelu. Bardzo proszę o pośpiech.

Recepcjonista nachylił się do mikrofonu i powtórzył moje polecenie. Podziękowałem mu i poszedłem do kiosku. Kupiłem cały plik pism i gazet, zjechałem piętro niżej do ambulatorium i zmieniłem opatrunek na nodze. Przy okazji pokazałem ręce lekarzowi, zmył błonę, obejrzał i nałożył nową.

– Goi się doskonale, nie mam tu nic do roboty. Dwa dni i zapomni pan o tym – był dyskretny i pozbawiony ciekawości. Pewnie zarabiał tyle, że mógł sobie pozwolić na takie luksusy. Podziękowałem

i wyszedłem z gabinetu. Postanowiłem dać pannie Ney jeszcze kilka minut i wypaliłem papierosa na dole. Jeśli się nie myliłem, musiała skomunikować się z kimś – albo z szantażystą albo z jakimś przyjacielem. Tak mi wyszło, a ponieważ czułem, że mój mózg pracuje jak komputer rządowy, zdałem się na niego. Po dziesięciu minutach wjechałem windą na swoje trzecie piętro i wszedłem do pokoju. W fotelu siedział koala. Podeszedłem i wziąłem go do ręki, rozejrzałem się w poszukiwaniu lepszego miejsca i w końcu wyładował między stolikiem i łóżkiem. Zrzuciłem marynarkę i odpiąłem kaburę. Z pistoletu wyjąłem naboje, wsadziłem z powrotem magazynek i całość zawiesiłem na oparciu fotela. Elefanta położyłem na oknie, za zasłoną. Usiadłem w fotelu, włączyłem magnetofon, znalazłem jakiś spokojny kawałek i otworzyłem whisky. Nalałem kilkanaście kropel na dno kieliszka, rozłożyłem gazety i zapaliłem.

Po pół godzinie zacząłem z nudów rzeczywiście przeglądać prasę, a z butelki ubyło co nieco. Wyłączyłem magnetofon i zrzuciłem buty.

Znalazłem w paczce z zakupami miękkie mokasyny i zacząłem rozważać sprawę kąpieli. I gdy stanąłem w drzwiach łazienki, brzdęknął gong nad drzwiami. Podeszedłem wolno do pulpitu hotelowego i włączyłem podgląd.

Stała przed drzwiami z torebką przerzuconą przez ramię. Oblizałem wargi i sam otworzyłem drzwi. Staliśmy naprzeciwko siebie, ale krótko – Liretta zrobiła dwa kroki i przeszła zręcznie pomiędzy mną a framugą. Zamknąłem drzwi i poszedłem za nią. Zatrzymała się przed stolikiem i wzięła do ręki butelkę.

– Nie poczekałeś na mnie – powiedziała z zalem.

Podeszła do barku i wyjęła kieliszek, wróciła z nim i stanęła przede mną.

– Mam się sama obsłużyć?

Chrząknąłem i wyjąłem kieliszek z jej ręki. Przez ułamek sekundy nasze palce stykały się i trwałoby to dłużej, gdyby zależało tylko od niej. Ale ja nie miałem zamiaru ułatwiać sprawy. Nalałem jej i sobie, podałem kieliszek i wskazałem fotele, wsunęła się w ten bliższy.

Siedziałem i bełtałem alkohol w kieliszku. Ciemny, brązowy jak kora dębu, płyn omywał ścianki, zostawiając cienką warstewkę, która, zanim spłynęła na dno, zasilana była kolejną falą płynącą po ścianie. Wprawiałem rękę w drgania raz szybsze, raz wolniejsze, fale podnosiły się odpowiednio wyżej lub niżej, bawiłem się tak ze dwie minuty nie patrząc na Lirettę. Wytrzymała chwilę, ale widocznie nie bawiło jej tak jak mnie przekształcanie ruchu posuwistego w kolisty, weszła w moje pole widzenia, odstawiła swój kieliszek i pochyliła się nade mną. Położyła ręce na ramionach, oparła czoło na moim i stała tak chwilę. Potem wyjęła mi kieliszek z dłoni i przykucnęła kładąc dłonie na moich rękach.

– Dlaczego mnie nie lubisz? Dlaczego starasz się jak możesz upokorzyć mnie, zmuszasz, żebym zachowywała się jak dziwka?

– Bo jesteś nią – pogłaskałem ją po głowie. – Chcę, żebyś była naturalna, taka jaka jesteś naprawdę – uśmiechnąłem się.

Trzymałem ten uśmiech dość długo, czekałem aż strzeli mnie w pysk, a przy napiętych mięśniach boli trochę mniej.

– Powinam cię chyba była uderzyć – nie zmieniła, pozycji, nie zasłoniła kolan spódnicą, nie drgnęła. – Tak pewnie twoim zdaniem zachowuje się urażona niewinność, co? Nie jestem niewinna – uniosła odrobinę ramiona.

– Nikt cię chyba o to nie oskarża. Wszelka głupota ma swoje granice – moje palce ześlizgnęły się z jej głowy i wplątały we włosy na karku.

Gładziłem opuszkami skórę na szyi. Wyczułem pod palcami jakiś gładki łańcuszek, nawinałem go na palec i pociągnąłem, żeby zobaczyć wisiołek. Ogarnęło mnie przekonanie, że jest to coś ważnego, takie przecucia zbyt rzadko mnie zawodziły, bym mógł je lekceważyć. Pociągnąłem łańcuszek jeszcze wyżej ale zaczął o coś. Cały czas patrzyliśmy sobie w oczy. Moje – mam nadzieję – nie wyrażały niczego, jej – zmieniały się błyskawicznie, od żalu i smutku do obietnicy, której nie mogłem zrozumieć..

– Jeśli już zacząłeś mnie rozbierać, to chyba lepiej zacznij od czegoś innego. Łańcuszek zdejmę na końcu – powiedziała wolno.

Wbrew własnej woli i temu co o niej wiedziałem, zupełnie niezgodnie z zasadami, których się trzymałem przez całe życie, zapragnąłem rzucić ją na łóżko, podrzeć całe jej ubranie i całować tak, by po każdym pocałunku pozostawał podskórny krwiak. I coraz bardziej byłem przekonany, że powinienem szybko ulec, bo i tak ulegnę, mogę być tylko bardziej lub mniej zezmacony. I jeszcze jednego byłem pewien: że ona świetnie wie jaka walka odbywa się w moim wnętrzu, nie miałem tylko pewności czy ją cieszy czy martwi. Musiała być natomiast pewna finału wewnętrznej rozgrywki sumienia i pożądania, bo wolno wstała, odwróciła się i poszła w stronę łóżka. Miała do przejścia cztery czy pięć kroków, ale wykorzystała ten czas wspaniale. Gdy położyła się, była już bez najmniejszego skrawka ubrania, a nie przystanęła ani na ćwierć sekundy. Nie widziałem natomiast, kiedy zdjęła łańcuszek. Ani gdzie go schowała. Gdy się nad nią pochylałem, zauważyłem od razu jego brak. Poszukiwania na razie odłożyłem.



Rozdział szesnasty

Pierwszego papierosa zapaliłem dopiero dwie i pół godziny później. Liretta, co mi się spodobało, zapaliła innego, a nie – jak to często robią filmowe kochanki – wyjęła mi mojego. Usiadłem, wieszając nogi na podłogę i gapiłem się w okno. Przesunąłem papierosa językiem, by dym nie leciał mi do oka. Za mną wisiła cisza.

Odwróciłem się i popatrzyłem na Lirettę.

Leżała na plecach, po raz pierwszy od dwóch godzin, z ręką pod głową i papierosem, jak ja, w ustach. Oczy miała zamknięte, włosy, mimo lekkiej mgiełki potu na czole, jakimś cudem puszyste i miękkie, rozpełzły się na poduszce. Jeszcze przed chwilą ostre, twarde sutki zakreślające szarpane łuki i nieregularne esy-floresy w powietrzu nade mną, wygładziły się i zajęły prawie całe szczyty piersi. Poruszały się łagodnie, w rytmie oddechu, hipnotyzowały mnie, musiałem na chwilę zamknąć oczy. Wstałem.

– Co robisz?

Odwróciła się przodem do mnie, wyjęła papierosa z ust i trzymała go w palcach opartych na biodrze. Miało idealną krzywiznę. Chyba wszystko w niej było idealne. Przypomniałem sobie inną kobietę, kilka dni temu jej figura wydawała mi się również wspaniała.

– Chyba mnie tu nie zostawisz? – wyciągnęła w moją stronę papierosa.

Wyjąłem go z jej palców i wrzuciłem do popielniczki. Schyliłem się i podniosłem misia z podłogi.

– Idę do łazienki. Masz – podałem jej misia. – Żeby ci nie było smutno.

Wzięła go nie patrząc. Poszedłem do łazienki i stanąłem przed lustrem. Popatrzyłem na własną twarz. Twarz popatrzyła na mnie, czytałem z jej oczu. Miała je lekko zmrużone, jakby chciała wyrazić pogardę dla drugorzędnego detektywa, który kotłuje się na łóżku z podejrzaną i w dodatku motywuje to koniecznością wydostania z niej informacji. Potem twarz spojrziała inaczej, chyba nawet z lekką zawiścią – udało mi się! Byłem już teraz pewien, że ta wspianiała samica w łóżku nie jest Lirettą albo nie jest nią już.

Pochyliłem się i ochlapałem twarz wodą. Uczesałem się i wróciłem do pokoju. Ubrałem się, zapaliłem i usiadłem w fotelu. Sięgnąłem ręką do tyłu i wymacałem wyłącznik magnetofonu. Z rogów pokoju tchnęła cicha muzyka. Była jedyną ruchomą rzeczą w pomieszczeniu, cała reszta zamarła w bezruchu.

Liretta, wspianiała Liretta, leżała z zamkniętymi oczami, detektyw Yates siedział obserwując ją i obmyślając dalsze ruchy, biffax wisiał pusty i kuszący, a elephant leżał na parapecie i czekał. Inne, najważniejsze w tym statycznym układzie rzeczy były równie nieruchome – ubranie Liretty, w którym ukryła łańcuszek i miś, którego widok nie powinien być jej obojętny. Wstałem, podniosłem sukienkę i resztę rozsianą na trasie fotel – łóżko. Łańcuszek odnalazł się w miseczce biustonosza. Wyciągnąłem go i zacisnąłem w lewej ręce, nie patrzyłem na wisiołek, ale jego kształt rozpoznałem bez trudu. Liretta otworzyła oczy.

– Mam się ubrać i wynieść? – zapytała spokojnie.

– A właśnie, że nie! Podoba ci się miś? – wskazałem palcem zabawkę.

– Umiarkowanie – usiadła i wzięła misia w ręce. Obejrzała go, zaczęła nim kiwać trzymając niedźwiadka za nogi. – Do czego jest ci potrzebny?

Wróciłem na fotel. Wyjąłem z popielniczki papierosa i zaciągnąłem się. Musiałem go zgasić, spalił się sam.

– Nie poznajesz go?

Skorzystała błyskawicznie z podpowiedzi.

– Owszem. Taki sam jak mój. To znaczy miałam kiedyś takiego,

potem go wyrzuciłam. Wyrosłam – wstała i podeszła do kupki swoich rzeczy. Gdy zaczęła się ubierać otworzyłem dłoń i spojrzałem w końcu na wisiołek.

Dwa napięte, skrzyżowane i bez strzał łuki. Wsadziłem go w kieszeń.

– To moje! – Liretta potrząsnęła głową, by ułożyć włosy. – Dlaczego zabrałeś? – usiadła na brzegu łóżka, włożyła buty i sięgnęła ręką po swoje papierosy.

– Kim ty jesteś? – zapytałem, gdy wyprostowała się i zaciągnęła dymem.

– Nie rozumiem – spojrzała na mnie zdziwiona.

– Nie kłam, rzadko można spotkać dwie osoby tak dobrze się rozumiejące jak my w tej chwili. Nie jesteś Lirettą Ney. Zastępujesz ją tylko. Nieźle, ale to nie to samo.

Słuchała spokojnie, z lekkim zdziwieniem w oczach. Wzruszyła ramionami.

– Ja jestem wariatką, bo tu przyszedłam, ale nie wiem kiedy i dlaczego ty zwariowałeś. Nie wiem o co ci chodzi, nie rozumiem o czym mówisz i nie mogę ci nawet dać adresu dobrego psychiatry. Wygląda, że nie mam tu już nic do roboty – wstała i podeszła do mnie. Wyciągnęła rękę.
– Wisiołek!

– Powtarzam: nie jesteś Ney. I chcę wiedzieć jak to się stało. Usiądź – wskazałem fotel, na którego oparciu wisiła kabura z biffaxem. – Pogadamy.

Odwróciła się i wróciła do łóżka, rozejrzała po podłodze, a potem po pokoju. Ruszyła w stronę torebki, podniosła ją z podłogi i wyjęła grzebień. Siedziałem zastanawiając się, dlaczego nie skorzystała w biffaxa i co to może znaczyć, patrzyłem na Lirettę, ale zajęty byłem czym innym. Może dlatego, dopiero gdy sięgnęła do torebki drugi raz poczułem, że coś nie jest tak.

– Wisiołek! – powiedziała znowu.

Sięgnąłem do kieszeni i wyciągnąłem łańcuszek. Spojrzałem w lufę rewolweru. Uśmiechnęła się.

– Czy to może dla mnie zostawiłeś tamten, nie nabyty? – wskazała

brodą fotel obok mnie. – Jeśli tak, to trzeba było przynajmniej mnie pilnować albo nie uśmiechać się do lustra, tylko obserwować pokój. Rzuć wisiołek – wyciągnęła drugą rękę, by go złapać.

– Oddam ci go, a za chwilę znowu zabiorę, zaoszczędźmy sobie tych manipulacji...

– Nie sądzę, żeby dla ciebie było jakieś „za chwilę”. Ofiara gwałtu zastrzeli napastnika – wsłuchiwałem się pilnie w jej głos, ale nie wyczuwałem w nim wahania. – Sam jesteś sobie winien, nie taki koniec zabawy przewidywałam. Trudno. Rzuć wisiołek.

Podniosłem w górę rękę z łańcuszkiem, rozhuśtałem go trochę. Założyłem nogę na nogę i lewą rękę przełożyłem przez oparcie. Wpatrywała się w dyndający wisiołek i dlatego nie miałem problemu z wymacaniem przycisku otwierającego drzwi z pokoju. Rozwarły się bezszelestnie za jej plecami odsłaniając pusty korytarz. Wcisnąłem jeszcze jeden przycisk, nie miałem czasu czekać, aż pojawi się tam przypadkowy gość.

– Mam taki jeszcze jeden – powiedziałem patrząc na kołyszący się łańcuszek. – Więc ten nie jest nawet taki ważny – odwróciłem się do Liretty. Wysunęła do przodu brodę i przygryzła dolną wargę. – No i w tej sytuacji nie bardzo możesz mnie załatwić, bo nie wiesz co z tym drugim wisiołem. Dołożyłem do kompletu kilka stron notatek i załatwiłem wysyłkę w pewne miejsce, gdzie pracują nadzwyczaj dociekliwi ludzie. Na pewno nie wyrzucą tego do kosza – w otwartych drzwiach stanął kelner i wytrzeszczył oczy. Uśmiechnąłem się do Liretty. – Za tobą stoi facet z obsługi tego hotelu, tak że numer z gwałtem nie wyjdzie. Chyba, że on cię też zgwałci. Jak się nazywasz, chłopcze? – popatrzyłem na wystraszonego kelnera. Liretta ani drgnęła podejrzewając podstęp.

– Birkin... – zapał i odchrząknął. Trzęsły mu się ręce i miał potworną ochotę dać nogę.

Wstałem i podszedłem do Liretty. Nie poruszyła się, gdy szedłem, nie opierała się, gdy wyjmowałem jej broń z ręki. Odwróciła się i wyszła

szybko. Chłopak usunął się jej z drogi. Wyjąłem z kieszeni dwadzieścia dolarów i podałem mu. Na pewno moje życie było warte więcej, ale on o tym nie musiał wiedzieć. Podziękowałem mu i zamknąłem drzwi. W pokoju znowu wszystko zamarło, spojrzałem na trzymany w ręku niewielki rewolwer i rzuciłem go na zmiętą pościel. Potem podszedłem do łóżka i przełożyłem go na stolik. Położyłem się zamknąłem oczy. Postanowiłem poczekać dwie godziny. Powinna w tym czasie porozumieć się z kim trzeba. Potem spodziewałem się jakiejś propozycji. Albo kulki.



Rozdział siedemnasty

Obudziło mnie uderzenie w nogę, leżałem nadal bez ruchu, nie otwierałem oczu, tylko słuchałem.

– Panie Yates! Pobudka! – męski głos z odległości dwóch metrów poinformował mnie o zakończeniu relaksu.

Otworzyłem oczy. Jeden stał oparty o parapet okna z moim elephantem w ręku. Obejrzałem się na drzwi, zgodnie z przewidywaniami stał tam drugi. Popatrzyłem jeszcze na stolik. Rewolwer Liretty leżał tam nadal, nawet nie próbowałem go sięgnąć. Nie tak dawno zastawiłem sam podobną pułapkę.

– Idziemy – ten spod okna podszedł bliżej i rzucił mi elefanta.

Złapałem go udając, że nic mnie nie dziwi, sprawdziłem magazynek, nie brakowało żadnego naboju. Sprawdziłem rewolwer, był również naładowany.

– Tamten też nabity – facet spod drzwi zrobił kilka kroków i podał mi kaburę z biffaxem.

– Nie za dużo mam broni na was dwóch? – zapytałem i położyłem na łóżko trzymane w ręku rewolwer i pistolet. Naciągnąłem szelki i zapiałem, włożyłem marynarkę i wsunąłem w kieszenie oba gnaty. Spojrzałem na facetów po kolei. – Jestem gotów. Co będziemy zdobywać?

Ruszyli do drzwi, pierwszy zatrzymał się i popatrzył na mnie.

– Żeby nie było nieporozumień – nie jesteśmy spodziewanymi gośćmi. Proszę – wsunął rękę do kieszeni i wyciągnął z niej znaczek. Nie była to jubileuszowa odznaka Klubu Miłośników Prawdziwego Brie. Chrząknąłem i poszedłem do drzwi.

Równocześnie z naszym samochodem ruszyły jeszcze dwa, co na pewno nie było przypadkiem. Przejechaliśmy kilka przecznic i wjechaliśmy w podziemny garaż pod budynkiem Spółki Drzewnej. Po kilku zakrętach znaleźliśmy się w dużym boksie, zapaliło się światło i zamknęły drzwi. Przednia ściana odsunęła się na bok i ukazał się szeroki korytarz, po którym jechaliśmy dobre cztery minuty. Potem kierowca zatrzymał wóz i wysiedliśmy. Pieszko przeszliśmy sto metrów dzielących nas od windy. Moim zdaniem przejechała z osiem, pięter zanim się zatrzymała. Jeden z przewodników został przy windzie, drugi poszedł przodem. Naszym celem okazał się pokój na końcu korytarza.

– Proszę poczekać – mężczyzna, który pokazał mi znaczek CBI zniknął za kolejnymi drzwiami i wrócił po pięciu sekundach. – Gdyby pan był uprzejmy zostawić tu swoją artylerię... – zawiesił głos..

– Zawsze miałem braki w dobrym wychowaniu – uśmiechnąłem się serdecznie.

Facet wzruszył ramionami, nagle przestałem być ciekaw co mogą mi zrobić. Wyjąłem biffaxa, rewolwer i elefanta i położyłem na pustym biurku. Pchnąłem wskazane drzwi i wszedłem.

Pokój przypominał laboratorium komputerowe, dwie ściany monitorów ekranowych, kilka kopiarek, co najmniej pięć interterminali. Pulpit telefonu mógłby obsłużyć niewielkie miasteczko, a słuchawka zaopatrzona była w potencjometr. Widocznie szef lubił czasem ryknąć do mikrofonu tak, że głos zmiatał włosy z głowy rozmówcy. Wydało mi się to przesadą, ponieważ człowiek siedzący za biurkiem potrafił jak nikt inny napędzić strachu najcichszym szeptem. Ale trzeba przyznać, że wydatnie pomagał mu w tym jego wygląd. Ludzie najczęściej boją się buldogów, a Ezra M. Parsons wyglądał właśnie jak twór szalonego naukowca – morda buldoga na ludzkim tułowiu.

– Niech pan siada – mruknął, gdy uznał, że już się napatrzyłem.

Usiadłem i wyjąłem papierosy, zapaliłem i rozejrzałem się za popielniczką.

– Tu się nie pali – warknął buldog za biurkiem, a gdy nie odpowiedziałem, wcisnął jakiś klawisz. – Popielniczka.

Po sekundzie otworzyły się drzwi i znany mi już facet wtoczył spore wiadro z autonomiczną spalarką w dnie. „– Panie Yates, wiem co nieco o panu. Pozuje pan na niezależnego, nieprzekupnego detektywa bez kompleksów, zresztą może pan nawet się nie zgrywa, pana sprawa. Ale ostrzegam: jeśli piśnie pan cokolwiek o tym, o czym będzie się tu mówiło za chwilę, skończy pan jako zamiatacz schronów w którejś z baz. W najlepszym przypadku! Jasne?

– Jasne. A ile tam płacą? – założyłem nogę na nogę i oparłem się na podłokietniku.

– Chodzi o sprawę, którą pan teraz prowadzi – zignorował moje pytanie. – O duplikaty czy sobowtóry. Teraz jasne? – śmiesznie poruszył policzkami.

Wrzuciłem połówkę papierosa do popielniczki i przełknąłem ślinę. Milczałem.

– Wiemy sporo o tobie. Przypadkowo wdepnąłeś na naszą ścieżkę – przeszedł na ty. Przypomniałem sobie, że takie obwisłe wargi buldoga nazywają się fafle. Faflę, na pewno. – Ale muszę przyznać, że zrobiłeś więcej, niż moje jastrzębie w ciągu pół roku. Masz już, zdaje się, jakieś wyniki? – nie poruszyłem się. Obserwowałem ruchy fafli, gdy mówił. I myślałem.

– Dobrze, niech będzie, że nie chcesz się dzielić. Na razie się z tym pogodzę. Mam propozycję, będziesz robił to samo co dotychczas, my też. Nie musisz nas o niczym informować, nie będziemy się wtrącać, chcemy ci tylko zapewnić pomoc w każdej chwili i w każdej postaci. Tyle.

– Pana zdaniem... – jakoś nie przeszło mi „twoim zdaniem” przez gardło – ... jestem na fałszywym tropie i w ten sposób uspokoję tych... powielaczy, żeby chłopcy z CBI mogli im zrobić ziaziu?

– Nie, jesteś na dobrym tropie, chyba... Moi też do tego doszli, ale i ty, i my nie dotarliśmy jeszcze nawet do średniego personelu tej powielarni. Będziesz robił co chcesz, tyle że dostaniesz taką pomoc o jakiej nawet nie marzysz.

– Dotychczas zawsze marzyłem, żeby nikt mi się nie wpięprzał

z pomocą, chyba dlatego, jeszcze żyję.

– Nie podam ci żadnych informacji po prostu dlatego, że mamy ich dużo mniej niż ty – zupełnie nie słuchał co do niego mówię, sprawa była jego zdaniem przesądzona. – Właściwie to dopiero ta hotelowa scenka jest naszym pierwszym sukcesem.

– Musieliście przecież coś wiedzieć, żeby obserwować Lirettę albo mnie. Po co ten kit?

– Liretta Ney, albo jak jej tam naprawdę, i Bili Campion byli w polu naszego widzenia. Gdy odwiedziłeś oboje po kolei... – wstrząsnął łaflami i podniósł do góry obie ręce. Potrzymał je chwilę w górze i jak gdyby zmęczony tym wysiłkiem plasnął mocno o biurko. – Coś ci jednak pokażę...– wcisnął jakiś przycisk na pulpicie jak z laboratorium planetarnego.

Z boku biurka podniosła się duża tafla grubego szkła. Całe wnętrze miała poszatkowane misterną siecią cieniutkich, srebrnych drucików. Pochyliłem się zaintrygowany, by obejrzeć to z bliska, gdy tafla mrugnęła, druciki wewnątrz zniknęły i cała powierzchnia okazała się jednym dużym ekranem. Złudzenie trójwymiarowości było doskonałe, selektywność i kolory nie mogły być idealniejsze. Mogłem to stwierdzić z całą odpowiedzialnością, bo obraz na ekranie był identyczny z rzeczywistym, to znaczy z moim niedawnym pokojem hotelowym. Widziałem dokładnie łóżko i sterczącą z niego wysoko Lirettę, gięła się i falowała jak palma kołysana huraganem.

– Mógłby pan nie przerywać projekcji? Strasznie jestem ciekaw jak to wygląda z boku – powiedziałem nie odrywając wzroku od ekranu.

Zgasł natychmiast. Mlasnęły łaflę, popatrzyłem na E.M.P. i westchnąłem.

– Twoje żądanie? – mruknął niby obojętnie.

– Chcę mieć taki telewizor!

– Załatwione. Coś jeszcze?

– Jednego wyborowego strzelca, inteligentnego i ofiarnego. Na kilka dni. Nie musi być przystojny – dodałem z wymownym grymasem.

Buldog nachylił się do mnie. Małe oczka na dnice krótkich tunelików

tłuszczu błysnęły mętnie.

– Ma pilnować Pymę Gordenius?

Zdrętwiałem tak jak tylko to jest możliwe. Żona Lota wyszła by przy mnie na gwiazdę baletu. Gdy otwierałem usta wydawało mi się, że rozsuwam szczękami ściany kanionu Kolorado. Wciągnąłem w płuca powietrze, choć miało gęstość ołowiu.

– Ma robić to, co mu polecę. I z nikim się tym nie dzielić – byłem tak zmiętolony, że nawet się nie zdziwiłem słysząc własny głos.

Warknął krótko i położył rękę na pulpicie. Prawie w tej samej chwili otworzyły się drzwi za mną, E.M.P. popatrzył ponad moją głowę i powiedział wyraźnie:

– Sarkissian do mnie.

Z tyłu dobiegło mnie coś jak stuk obcasów, sapnęły drzwi i prawie natychmiast syknęły znowu. Personel chodził jak szybki albański zegarek.

Obejrzałem się. Szczupły blondyn mojego wzrostu z ciemnym wąsikiem stał obok drzwi wpatrując się w szefa.

– Ten pan chce wiedzieć czy jesteś szybki – warknął Parsons.

Blondyn wzruszył ramionami i wyprostował prawą rękę. Zanim dotarło do mnie, że trzyma w niej krótkiego policyjnego boxera mógłbym trzy razy umrzeć.

– Może być – odwróciłem się do Parsonsa. – Tylko dlaczego blondyn z ormiańskim nazwiskiem?

Pstryknął palcem, z tyłu usłyszałem zamykające się drzwi.

– Pójdiesz do naszego magazynu i wybierzesz sobie co ci się spodoba. Przy wyjściu będzie czekał Sarkissian. Wyprowadzi cię, a potem powodzenia.

Wstałem i nie żegnając się wyszedłem. Ten sam facet zaprowadził mnie piętro wyżej i otworzył jakieś drzwi.

Wszedłem, a on został na korytarzu. Zza ścianki wyłonił się krępy, krótkonogi czterdziestolatek, obrzucił mnie spojrzeniem jakby oceniał rozmiar zbroi i zapytał przeciągając samogłoski:

– No-o więc co-o da-ać?

– Dokładnie to sam jeszcze nie wiem...

– Jest tu wszystko – zaczął mówić szybko i bez przeciągania wyrazów.

– Peruki, różnego rodzaju broń, ubrania kuloodporne, zestawy medyczne do wyciągania i blokady informacji, komunikatory i tak dalej i tak dalej. Możemy amputować palec i na jego miejsce wstawić mały miotacz pocisków. Niezawodny! – oblizał się.

– Mój palec na razie też jest niezawodny, a lepsze jest wrogiem dobrego. Chciałbym się rozejrzeć – dziabnąłem palcem powietrze w kierunku magazynu. Szybko go wycofałem, bo mój rozmówca popatrzył nań jakby od razu chciał go odciąć. – Może coś wybiorę.

Spędziłem w magazynie pół godziny, potem zabrałem Sarkissiana i samochodem pojechaliśmy do Pymy. Z meldunku towarzyszącego nam przez jakiś czas wozu wynikało, że nikt za nami nie jedzie, nie jesteśmy na podsłuchu i nikt nie marnuje energii, by śledzić nas wiązką z samolotu. Podróż minęła w zupełnej ciszy. Gdy dojechaliśmy do leśnej drogi dałem mu pustą paczkę po dromaderach. Wyjął z bagażnika jakieś spore pudło.

– Co to? – nie wytrzymałem.

Telewizor. Od szefa – udało mu się błysnąć oczami, choć, przysięgam, dotychczas nie widziałem, by ktoś umiał to zrobić mając błękitne oczy. To pewnie to ormiańskie pochodzenie. Wróciłem do miasta bladym świtem. W podmiejskim motelu wynająłem pokój na dwie godziny, zdrzemnąłem się, wypłem dwie kawy, łyknąłem pastylkę fortieniny i od południowego zachodu wjechałem do miasta.



Rozdział osiemnasty

Zatrzymałem się przy najbliższym automacie gazetowym z ładunkiem porannych dzienników. Otworzyłem płachtę na przedostatniej stronie i prawie od razu zobaczyłem ogłoszenie obramowane dużymi wykrzyknikami:

Sandra! Wróć! Nie przekreślaj tego co już razem przeżyliśmy. Czekam pod telefonem 134-8788-5710. Phil T. T.

Najważniejsza była ostatnia liczba, do dziesiątej miałem jeszcze kilka godzin, zupełnie nie wiedziałem co z sobą zrobić. Czułem, że zaczęło się dzieć coś naprawdę ważnego, broniłem się przed tym przecuciem, bałem się zapeszyć, a może też trochę się lękałem, że sprawa jest zbyt duża dla pospolitego łapsa w zaawansowanym wieku. Dwie z czterech godzin spędziłem w samochodzie na parkingu, samochód miał podwójne szyby, zaciemniłem je i, niewidoczny z zewnątrz, paliłem i myślałem. Paliłem coraz szybciej, myślałem coraz wolniej, ale czynności te nie były od siebie w żaden sposób zależne – gdy zacząłem palić wolno, spokojnie, wcale nie wzrosła moja wydajność umysłowa. Mózg chodził ciężko i zgrzytliwie jak mechanizm starego zegara na wieży w Totmaca. Dobrze chociaż, że nie wybijał godzin.

Potem zadzwoniłem do Karla, ale rozmowa nie kleiła się. Karl był zdenerwowany. Powiedział mi, że dowiedział się o śmierci profesora Ogdena, ojca Grookiego. Zrozumiałem, że Karl przez cały czas w skrytości ducha wierzył, że jego pupil będzie miał towarzyszkę. Był

rozczarowany. Zbyt skrajne panowały nad nami uczucia, byśmy mogli się jakoś dogadać.

Zadzwoiłem do Pymy. Kolejne pudło. Zarzuciła mnie pytaniami, na które albo nie mogłem, albo nie chciałem odpowiedzieć. Rozłączyłem się i przywołałem automat parkingowy. Zabrałem mu cały zapas papierosów i piwa. Poczęstował mnie z wdzięczności kawą, ale w smaku była odwrotnie proporcjonalna do jego życzliwości. Wylałem ją na asfalt. Wypiłem trzy piwa i ruszyłem powoli do par – (ku. Objechałem całe miasto, ale i tak byłem dużo przed czasem. Okrążyłem park i wysiadłem na parkingu sto metrów od sadzawki. Kolorowy parasol nad wózkiem z maicornem wirował wolno, z umieszczonego pod ladą głośnika dobiegała wesoła muzyczka. Przygotowałem pięć dych w jednodolarówce i podszedłem do sprzedawcy.

– Dzień dobry – uśmiechnąłem się. – Dwie paczuszki – pchnąłem w jego kierunku kosteczkę z banknotów.

Nie wyciągnął ręki, nie odpowiedział uśmiechem.

– Dick nie żyje – powiedział i wziął do ręki plik toreb. Trzepnął nim w blat by rozeszły się brzegi. Głośny trzask uwiązał w powietrzu, w moich uszach i wolno wracał uderzając równomiernie w bębunki. Dopiero po chwili zrozumiałem, że to mój puls.

– Co się stało? – rzuciłem zwitek na stos torebek.

– Utonął w tym bajorze! Serce – cały czas coś robił i nie patrzył mi w oczy.

– Był napakowany?

– Nie. Od pana wizyty nic nie brał.

– Wczoraj... – powiedziałem cicho. Musiało to być wczoraj, skoro zdążył dać ogłoszenie do dzisiejszej prasy.

– Mam coś – podniósł wreszcie oczy i popatrzył na mój nos. Sięgnął lewą ręką gdzieś pod blat i podał mi małą płytkę. Wyciśnięte na niej były cztery cyfry. – Dodaj do nich rok, w którym poznałeś Langa. Dworzec Zachodni.

Wsadziłem płytkę do kieszeni. Nogi wykonały ruch jakbym miał odejść, ale reszta tułowia została na miejscu.

– Widziałeś coś?

– Nic konkretnego? ale w tym mieście bez wielkich kłopotów można znaleźć kilkunastu speców od ataku serca.

– Można – zgodziłem się. – Poszukam ich – obiecałem sprzedawcy. Sam nie wiem dlaczego.

Popatrzył na mnie znowu, tym razem trafił w oczy.

– Mam nadzieję – powiedział. – To twoja sprawa załatwiła Langa. Zabrałeś mu ze trzy miesiące życia.

Odwróciłem się i wróciłem do samochodu. Po drodze wyrzuciłem płytkę do kanału ściekowego. Dojechałem do dworca cało, choć nie było w tym mojej zasługi, mieszkałem w mieście urodzonych kierowców. Znalazłem skrytkę o numerze z tabliczki, dodałem 2017 i otworzyłem. Na dnie leżała cienka koperta. Wyjąłem ją i zatrzasnąłem drzwiczki. Rozejrzałem się pobieżnie po ogromnym hangarze, w którym się znajdowałem i poszedłem do apteki. Nawet tu nie było dość pusto, musiałem poczekać, aż zwolni się jakaś kabina, wskoczyłem do niej i rozdarłem kopertę. Musiałem jeszcze zatkać jakiś automat, dmuchnąłem w rurkę analizatora i kazałem znaleźć coś na kaszel. Wyjąłem list Dicka.

Donald Inglehardt. Nie mogłem znaleźć niczego brudnego w jego życiorysie i działalności. A ponieważ jest to już ostatnia moja przysługa, starałem się bardzo. Kontakty Inglehardt – Gordenius: zero. Gordeniusa nic nie łączy z Inglehardtem. Jediną niepewną postacią jest w tym zestawie przyjaciel i częściowo wspólnik Inglehardta – Farrel. Nic na niego nie mam, ale on jest ciut-ciut zbyt bogaty, odrobinę zbyt mocny jak na swoje konto i za bardzo pewny siebie jak na obie te rzeczy razem wzięte. Trzy lata temu kupił duży kawał ziemi na wybrzeżu, niedaleko Cork. Miał tam laboratorium jakiś samotnik, Alan West. Fizyk-eksperymentator. Zrujnował go wybuch. Sprzedał ziemię i wyparował. Farrel odbudował budynki, a posiadłość jest strzeżona jakby to był Fort Knock II. Jeszcze jedno: coś się zaczęło dziać dookoła mnie, gdy ruszyłem Farrela. Uważaj bardzo, bardzo. Cześć.

Zakrztusiłem się powietrzem. Składało się w siedemdziesięciu procentach z mięty. Tlen złapałem dopiero, gdy opłaciłem inhalację i wypadłem do hallu. List od razu wrzuciłem do najbliższego popielnika i wybiegłem na parking. Ruszyłem spod dworca szybko, ale już w pełni formy. Gdy wypadłem w końcu na autostradę i przekonałem się, że mój wóz posiada nadal najwyższy przywilej i mogę spokojnie pędzić prawie dwieście na godzinę, łyknałem jeszcze forteninę i przeczyściłem oba gnaty. Robiłem to półtorej godziny, całą drogę do Cork. Na przedmieściu, już po zjeździe z autostrady, zatrzymałem się przed żółtą kabiną telefoniczną i wystukałem numer, który na pożegnanie podał mi przewodnik po królestwie CBI.

– Mówi Yates. Połącz mnie z kimś zorientowanym – powiedziałem, gdy usłyszałem jakieś mruknięcie w słuchawce.

– Tak? – powiedział ktoś po kilku sekundach.

– Potrzebuję kontaktu z kimś od was w Cork. Szybko – bębniłem palcami w pudło telefonu, nogą punktowałem rytm na podłodze.

– Pacific Road 86. Flora Kennedy, zareaguje na hasło „Babatcha”. Coś jeszcze?

– Nie ma mężczyzny?

– W najbliższej okolicy nie. Ale i tak w pobliżu ciebie są tylko informatorzy, jeśli potrzebujesz pomocy, musisz trochę poczekać.

– Zobaczę – rzuciłem słuchawkę i wyszedłem z budki.

Podjechałem kawałek i kupiłem w automacie plan Cork. Znalazłem dużą prywatną posiadłość nad brzegiem oceanu. Chyba trafiłem dobrze, bo dane w komputerze były zastrzeżone, a inne prywatne kawałki ziemi miały dużo mniejszą powierzchnię. Zrezygnowałem z usług uwarunkowanej pod hipnozą agentki Flory Kennedy, choć w innej sytuacji chętnie zobaczyłbym jak pod wpływem jednego słowa z przeciętnej gospodyni domowej staje się etatowym pracownikiem CBI. Wyprowadziłem wóz na drogę numer 227 i pojechałem na północ. Zwolniłem dojeżdżając do muru otaczającego posiadłość Farrela, choć sam w sobie nie był wart spojrzenia, zjechałem z drogi, gdy

pojawiła się wąska odnoga prowadząca na niewysokie wzgórze. Dojechałem do połowy zbocza, przeskakałem wóz i z kontaktową lornetką wlałem na szczyt i zaległem w trawie. Lornetka niewiele mi pomogła, tyle że stwierdziłem obecność psów, automatów i kupy strażników. Na wprost bramy znajdował się niski żółty budynek, dość duży i prawie bez okien. Po dachu bez przerwy krążyło trzech strażników. Dość daleko od budynku sterczały z ziemi końcówki zbiorników na paliwo. Jeśli były pełne, to mogłyby obsłużyć Cork na przeciąg tygodnia, na dodatek zaraz za zbiornikami zaczynało się całe pole wyłożone tkaniną fotosyntetyczną. Gapiłem się na posiadłość blisko godzinę, potem sturlałem się do samochodu i pojechałem przed siebie. Po jakichś siedmiu minutach dotarłem do plaży z kompleksem kilku budyneczków i małą przystanią. Molo przystani było tak stare i zgrzybiałe, że raczej glidery i motorówki utrzymywały je w miejscu niż odwrotnie. Zajechałem przed najmniejszy bungalow, jedyny z otwartym oknem.

– Hej! Jest tam ktoś żywy? – wysunąłem głowę przez okno i czekałem dobrą minutę zanim drzwi drgnęły i wolno otworzyły się.

Minęło jeszcze kilkanaście sekund i pojawił się w nich zaspany mężczyzna. Wyglądał jak wydarty z ekranu, na którym wyświetlano film o dziewiętnastowiecznym Dzikim Zachodzie. Szelki zwiślały poniżej bioder, spodnie trzymały się na brzuchu przy pomocy kawałka nylonowej linki, a podkoszulek był mocniej nasycony brudem niż trotuar przed włoskim bazarem. Jego właściciel stał i milczał. Wyszedłem z samochodu.

– Chciałbym wypożyczyć sprzęt na wieczór.. Łódź, wędkę, harpun, aqualung. Da się?

– Tak..

Nie wyglądało, by chciał dłużej ze mną rozmawiać. Skinąłem głową i wróciłem do samochodu. Wsiadłem i wychyliłem się jeszcze raz.

– Będę tu koło piątej.

Wyjechałem na szosę i pojechałem przed siebie. Po dwudziestu minutach dotarłem do Amossa, niewielkiej dziury bliźniaczo podobnej

do Cork. Kupiłem w sklepie spodnie, bieliznę, skarpety i koszulę, potem zawędrowałem na plażę, gdzie sumiennie kąpałem się i opalałem kilka godzin. W końcu włożyłem nowe rzeczy, stare, brudne po wylegiwaniu się w trawie wrzuciłem do kosza i poszedłem w kierunku centrum. Przystanąłem przy automacie Szybkiego Totka. Losowanie miało odbyć się za cztery minuty. Wystukałem pięć kombinacji z siedmiu liczb, opłaciłem zakłady i podałem swoje nazwisko. Czekałem jeszcze minutę zanim dowiedziałem się, że moje dwa dolary zasiły konto przeznaczone na wygrane, że były tylko dwa trafienia po siedemdziesiąt tysięcy z groszami i że ze względu na wysoką pulę, stawki za typy wzrosły z czterdziestu do czterdziestu pięciu centów za zakład. Straciłem jeszcze cztery i pół dolara zanim przypomniałem sobie, że jest to super głupia gra i odszedłem. Znalazłem kabinę telefoniczną i zadzwoniłem jeszcze raz do Pymy. Poleciałem Sarkissianowi czekać do mojego jutrzejszego telefonu, a gdybym nie zadzwonił związać się stamtąd. Wyszedłem z budki pełen złości, niczym nieuzasadnionej. Wpół do piątej wsiadłem do samochodu i wróciłem wolno po zamówiony sprzęt.

Tuż przed zjazdem na plażę poczułem jakieś mrowienie między łopatkami, przyhamowałem i rozejrzałem się dookoła. Nie zauważyłem niczego podejrzanego, więc zjechałem ku budynkom, wyszedłem z wozu i zastukałem do drzwi. Plecy wróciły już do normy, nie przeszkadzały żadne inne specjalne odczucia i przeczucia i może dlatego wszedłem odrobinę za szybko. Dużo za szybko. Przystanąłem dopiero za progiem, a i to tylko dlatego, że poczułem coś niezbyt chłodnego na szyi. W przeciwieństwie do tylekroć opisywanych zimnych luf na karku ta akurat nie była lodowata. Pewnie jej właściciel wystarczająco długo grzał ją w dłoniach.



Rozdział dziewiętnasty

Stałem nieruchomo. Usiłowałem wysunąć oczy i zaglądnąć za siebie, nie wiem, może już jestem za stary na takie numery, w każdym razie nic z tego nie wyszło. Zresztą prawie natychmiast z drugich drzwi wyłonił się ogromny chłop, za nim jeszcze jeden, dużo mniejszy, a potem jeszcze jeden, akurat pośredni między pierwszym i drugim. Licząc z tym z tyłu – czterech. Olbrzym podszedł do mnie i wprawnie wyłuskał biffaxa. Poczuję rękę tego z tyłu na pośladkach.

– Nie zabieraj się do mnie tak ostro, może najpierw jakieś małe ars amandi? – język sam obracał mi się w gębie, bez udziału świadomości. A szkoda. Olbrzym wpakował mi taką plombę w dołek, że padając starałem się nie uderzyć plecami o podłogę, byłem pewien, że jego pięść wybiła mi garb. Zwinąłem się w kłębek i usiłowałem zaczerpnąć choć trochę powietrza, ale jakbym zużył już swój limit, nic nie wchodziło mi do płuc. Szarpnąłem się kilka razy i gdy prawie traciłem przytomność, mocny kop w kręgosłup wyprostował mnie i powietrze, charcząc w krtani, przedarło się do płuc. Zacząłem się gramolić, choć widziałem olbrzymie buty zbliżające się do mnie z boku.

– Zostaw go, Sony!

Stałem już na własnych nogach, choć ich drzenie nasuwało wątpliwości co do prawa posiadania. Spojrzałem na Sony'ego, spodziewałem się, że będzie rozczarowany, ale nie. Spokojnie odsunął się pod ścianę. Ten, który wszedł trzeci, ten średni, wskazał mi kciukiem drzwi. Zachwiałem się i ruszyłem w ich kierunku, zataczając się kilka razy.

– Tabbey, on udaje – powiedział Sony.

– Widzę. Zrób coś – odpowiedział Tabbey.

Zanim zdążyłem cokolwiek zrobić, Sony złapał mnie za włosy i grzmotnął głową o ścianę. Zacząłem go nienawidzić, ścianę też. I siebie za to głupie udawanie. Ale dopiero po chwili, gdy zimna woda z kubła przywróciła mi przytomność. Podniosłem się znowu i oparłem plecami o framugę.

– Czy przypadkiem szef nie kazał wam mnie oszczędzać? – powiedziałem.

Chciałem się uśmiechnąć, ale mięśnie twarzy nie słuchały mnie, czułem się jak obdarty ze skóry albo odwrotnie – jakby ktoś naciągnął na moją twarz nową skórę. Za małą o dwa numery.

– Zgadza się – Tabbey podszedł bliżej. – Ale przecież nic ci jeszcze nie zrobiliśmy. Idziemy – minął mnie obojętnie i wyszedł pierwszy. Mógł sobie na takie gesty pozwolić, pozostali trzej czekali tylko na jakiś mój podejrzaný ruch, przy czym dwaj z nich mieli tylko spluwy, a trzeci własne piachy, którymi mógłby formować kłapy czołgów. Odwróciłem się i wyszedłem również. Tabbey szedł w kierunku mola. Poszedłem za nim, przyspieszając powoli. Nie przestając iść odwrócił się do mnie. Wyszczrzył zęby.

– Sony uwielbia kotłowanie w wodzie. Jak nie wierzysz to skacz!

Patrzył mi ciągle w oczy. Zrobiłem nieco zawiedzioną minę. Co miałem mu powiedzieć? Że nie wierzyłem w inną możliwość przedarcia się do twierdzy i czekałem na takie właśnie zaproszenie? Że tylko ślepy nie zauważyłby peryskopu sterczącego z dachu i tylko ślepy nie zafiksowałby mnie leżącego na wzgórzu i wytrzeszczającego swoje kontakty? Że antena kierunkowa nad bungalowem na plaży zupełnie nie pasowała do reszty, a w dodatku skierowana była dokładnie na posiadłość Farrela?

Zacząłem iść wolniej, wszedłem na deski mola i obejrzałem się. Sony i pozostali byli o dwa kroki za mną. Potknąłem się i markując upadek wyprysnąłem szczupakiem do wody. Jeszcze zanim umoczyłem w niej ręce poczułem cęgi na kostce stopy. Potem skręcona stopa zaboląła mnie tak, że wrzasnąłem i z otwartą gębą wpadłem do wody. Usiłowałem coś

zrobić, ale dwutonowy Sony zwał się na mnie jak niebo na Heraklesa. Wbił mi twarz w piasek na dnie i przytrzymał. Wyjął mnie na powierzchnię dopiero wtedy, gdy nabrałem już pewności, że taką właśnie będę miał maskę pośmiertną, w piasku. Wrzucił mnie na deski mola, gdzie ten najniższy sprawdził na moim tułowiu jakość swego obuwia. Tabbey nie drgnął. Podniosłem się jak mogłem najszybciej, wygrzebałem językiem piasek z ust i splunąłem. Miał śliczny różowy kolor, jak piasek Copacabany albo Zatoki Trzech Sosen. Tabbey odsunął się i pokazał dużą łódź kołyszącą się lekko prawie na poziomie przystani. Spojrzałem na nią i odwróciłem się. Zrobiłem to jak mogłem najszybciej, wyprostowałem lewą rękę i z satysfakcją poczułem, jak pięść kruszy jego cienki nos. Pięknym łukiem poszybował do wody, wpadł z pluskiem i przez dłuższą chwilę nie pojawiał się na powierzchni. Patrzyłem na to miejsce, mimo że olbrzymi konar ramienia Sony'ego otoczył szyję i prawie zupełnie odciął dopływ powietrza do moich organów oddechowych. Czekałem na cios w nerki, albo wątrobę, napiąłem mięśnie jak tylko mogłem najmocniej. W polu widzenia pojawił się ten, który przystawił mi w pokoju do głowy wygrzany pistolet. Wyciągnął rękę i dźgnął mnie w brzuch. Uśmiechnął się.

– To ci nic nie pomoże – poinformował z przekonaniem. Miał zwyczajną, pospolitą twarz, uśmiechał się zwyczajnie. – Sony ma taką szpadrynę, że przebije cię na wylot w każdym miejscu. Nie mówię: w każdym możliwym, bo wszystkie są możliwe – wyjął z kieszeni papierosa i wsadził do ust. Obejrzał się słysząc bulgot, chlapanie i kaszel. Tabbey wyłonił się z wody. Stał po pierś zanurzony, trzymał się jedną ręką burty łodzi, drugą chlapał w twarz. Nie spojrzał na mnie ani razu. Poczułem, że popełniłem błąd – trzeba było zrobić to z Sonym. Na pewno zabiłby mnie szybko, natomiast ten postara się, żebym dobrze zapamiętał swoją śmierć. O ile to jest możliwe. Ramię opadło i zostałem pchnięty, wskoczyłem do łodzi i usiadłem na dziobie. Nie oglądałem się za siebie, poczułem dwa wahanęcia łodzi, gdy wchodziłi do niej niski i średni, potem zakołysało nami mocniej, chlupotało – włąził Tabbey, na koniec łódź miękko weszła kilka centymetrów w wodę – wsunął się

Sony. Silnik zapiał cienko, wysokoobrotowy japoński Naasai. Ciągnął wyładowaną łódź bez wysiłku. Cięliśmy wodę jak nóż, miało to swój urok, aż żal, mogłem nie zakosztować już takiej przejażdżki. Obejrzałem się. Tylko ten, który ze mną rozmawiał, trzymał broń, Tabbey wyciągnął z kieszeni papiery, Sony trzymał w ręku ster, paluchem, gdyby go zanurzył w wodzie, mógłby zatrzymać łódź, a już na pewno sterować. Niski, specjalista od fleków, palił i patrzył na mnie z zainteresowaniem. Sielanka.

Płynęliśmy w odległości pół kilometra od brzegu, na wszelki wypadek przyglądałem mu się, starając jednak nie pokazywać tego. Trwało to piętnaście minut, potem Sony delikatnie wychylił w bok ster, motorówka miękko skręciła i pomknęła ku dużej przystani, zupełnie innej niż ta, którą przed chwilą opuściliśmy. Właściwie był to mały port z dwoma dźwigami, pochylnią, dużym barakiem o szklanych ścianach. Cała flota łodzi, żaglówek, ścigaczy zakołysała się, gdy podpłynęliśmy bliżej i fala rozchodząca się od dziobu łodzi dotarła do nich. Dwa duże kutry również gibnęły się dostojnie ze dwa razy. Sądząc po ilości witających nas, a nie wyglądali na specjalnie zaproszonych, zdobycie tu przyczółka przekraczało możliwości kompanii desantowej. Musiałem w duchu przyznać, że wybrałem chyba jedyny możliwy sposób dotarcia tutaj. Zuch.

Nie czekając na ponaglenia wyskoczyłem na brzeg, gdy tylko dziób musnął pas gumowego odbojnika przystani, Zaraz za mną wyskoczyła reszta osady. Sony przeciągnął łódź trochę w bok, zaczepił magnetyczny karabinek na końcu cienkiego przewodu do zmyślnego gniazda na dziobie i odepchnął łódź od przystani. Pewnie miała zacumować w ściśle określonym miejscu i podpłynąć dopiero po odebraniu jakiegoś sygnału. Odrzuciłem ją jako możliwość wydostania się stąd. Tabbey minął mnie nie patrząc niski poszedł za nim, średni, ciągle ze spluwą w palcach pokazał brodą kierunek marszu. Odwróciłem się poszedłem za pierwszą dwójką. Trzeba było wejść po kilkunastu schodkach, obok pochylni towarowej i cienkiego pasa komunikacyjnego, schody i oba pasy – towarowy i osobowy kończyły się jeszcze przed szczytem półokrągłymi

wejściami w tunele. Były wykopane w ziemi, głębokości jakichś dwóch metrów, dlatego nie widziałem ze wzgórza żadnego szlaku komunikacyjnego od domu do brzegu. Właścicielowi nie zależało na reklamie swoich działań, W tunelu wiał przyjemny wiaterek, zdjąłem marynarkę i z zadowoleniem poczułem, że koszula zaczyna wysychać w oczach. Zerknąłem na tego z tyłu, palił papierosa, zrozumiał moje spojrzenie, przyspieszył trochę i podał mi paczkę morrisów i zapałki. Od razu zwolnił, schowałem palenie do kieszeni. Zbliżaliśmy się do końca tunelu, przed masywnymi drzwiami stał facet w luźnej bluzie z całą masą kieszeni. Długi cienki drizzler w jego rękach spoczywał w najbardziej wskazanej pozycji. W ułamku sekundy mógł zasypać korytarz tysiącem cienkich, stalowych pocisków, przyszywających człowieka lekko jak promienie Roentgena. Fajna rzecz, szczególnie jak się nie chce celować. Tabbey mruknął coś wartownikowi i przeszedł obok niego nie zatrzymując się. Drzwi wsiąkły w ścianę uruchomione nożnym przyciskiem naciśniętym przez komandosa i znaleźliśmy się w dużym pudle windy. Dwa piętra wyżej wyszliśmy na korytarz. Tabbey przystanął przed pierwszymi drzwiami po prawej i wyjął pistolet. Pozostali dwaj poszli dalej, dołączył do nich ten czwarty zza moich pleców. Zostaliśmy sami.

– Nie próbuj żadnych fiksów! I tak nie zabiję cię od razu – wlepił we mnie swoje ziemiste, bure oczy. Gdyby nie one, wyglądałby dość śmiesznie z napuchniętym kinolem.

Milczałem. Położył rękę na okrągłym tasterze i powiedział w powietrze:

– Tabbey z gościem.

Drzwi wolno ruszyły w ataku na ścianę. Odczekałem pół sekundy i powiedziałem:

– Współczuję ci – zatrzymał się w drzwiach i spojrzał na mnie zdziwiony. – Po tej kąpieli katar masz zapewniony, a prędzej się zesrasz niż wysmarkasz – dokończyłem i zrobiłem dwa kroki w jego kierunku.

Odruchowo cofnął się. Ręka z pistoletem drgnęła i powędrowała do góry. Prawie zobaczyłem jak pocisk, drżący z niecierpliwości, wysuwa się

z komory nabożowej śpiesząc na spotkanie z moim brzuchem.

– Tabbey – cichy głos z głębi pokoju zatrzymał rękę Tabbey’a w pół ruchu, a mnie starł uśmiezek z twarzy.

Wsunąłem się do pokoju, omijając nieruchomo stojącego w progu Tabbey’a i podszedłem do biurka. Było akurat na tyle wysokie i duże, by wykluczyć skok przez jego blat. Pożałowałem, że nie zrobiłem czegoś takiego wcześniej, gdy miało to szansę powodzenia, kiedy Woodey siedział za swoim biurkiem w komendzie. Usiadłem na krześle naprzeciwko.

– Chcesz, żebym podziwiał twoje opanowanie? – Woodey oparł się wygodnie. Miał lekko zachrypnięty głos, cienie pod oczami świadczyły, że nie jest tak zrelaksowany, jak chciałby wyglądać.

– Wiedziałem, że jesteś jednym z nich. Od dawna – wskazałem palcem paczkę papierosów na blacie. Skinął głową. Wyjąłem jednego i zapaliłem. – Grzebałiście w moim minikompie, żeby wstawić tam rozmowę z fałszywą Pymą, ale nie udało wam się znaleźć prawdziwej. Partacze. Nie wyczyściliście mieszkania Campiona – uniósł lekko brew – został tam taki mały znaczek. Taki sam wpiąłeś kiedyś w krawat, a Liretta nosiłaby go do dziś, gdybym jej go nie zabrał. Zabiliście Langa i kto wie czy Millermana też nie? A wszystko robiliście w pośpiechu, naprawiając stare błędy, popełnialiście nowe...

– Srasz, krzywe nogi masz – wycedził wolno.

– Nie popisuj się znajomością powiedzonek Jamesa. Nie zawsze używasz ich w odpowiednim momencie.

– Czułem to – poinformował mnie. – Jego odczyt był chwilami bardzo nierówny i niespójny. Kto wie, czy to nie było zamierzone, choć spece wykluczają takie działanie w głębokiej narkozie.

– Woodey żyje? – zaciągnąłem się głęboko.

– Ta-ak... – zmarszczył się lekko. – Fizycznie – tak. Bez wątplenia. Ale najpierw wyjaśnij do końca, kiedy zacząłeś mnie podejrzewać i dlaczego. Potem odpowiem na twoje pytania. Dzisiaj pogadamy szczerze.

– To drobiazgi. Niby dużo wiesz o nas, sypiesz powiedzonkami, reagujesz na aluzjki, ale on był moim przyjacielem i w końcu

przestałem twoje błędy kłaść na karb przepracowania. A sprawa Chinaglii definitywnie rozstrzygnęła moje wątpliwości. James nigdy by się tak nie ześwinił. Gdy dałem ci te wycinki do przejrzenia chodziło mi tylko o twoją reakcję. Niezbyt skomplikowany test. Z wynikiem pozytywnym. Trzeba było szybko mnie zabić, a nie bawić się w skomplikowaną grę.

– Ja bym tak zrobił, ale nie wiedzieliśmy czy przypadkiem nie schowałeś gdzieś kopii tych papierów.

– No właśnie. James wiedział, że zazwyczaj nie robię takich numerów.

– A teraz? – wychylił się w moim kierunku.

– Chwila szczerości się skończyła – powiedziałem i podrapałem się po czubku głowy. – Zresztą cały czas ja gadam. Może teraz ty odpowiesz na moje pytania. Na przykład: Co z Jamesem? I Yvonne? I całą resztą?

Wstał z głośnym westchnieniem. Podeszedł do okna i wyjrzał przez nie. Obejrzałem się do tyłu. Tabbey stał przed drzwiami i spopielał mnie wzrokiem.

– Mógłbyś wyrzucić stąd tego pętake? Strasznie sapie, to mnie denerwuje – powiedziałem do niby-Woodeya.

Popatrzył na Tabbey'a i na mnie. Usiadł znowu przy biurku.

– Szkoda, chłopie, że nie jesteś z nami – powiedział.

– Żebym musiał codziennie oglądać tego tam... – kiwnąłem głową w tył – ... z tą kichą na pysku? To ponad moje siły.

– Tabbey! – niby-Woodey poderwał się zza biurka.

Jakoś nie byłem ciekaw, co go tak ruszyło. Musiałem zachować trochę zainteresowania na inne rzeczy. Mężczyzna udający Woodeya usiadł, ale nie spuszczał oka z podwładnego.

– Zawołaj Nicka i nie wracaj już tutaj.

– On może wykręcić jakiś numer – dobiegł mnie z tyłu komplement.

– Wiem. Dlatego pospiesz się – wziął do ręki pistolet i cofnął się pod okno.

Nie miałem czym rzucić w niego, nie miałem jak skoczyć, nie miałem z czego strzelać. Nie miałem ochoty na to wszystko. Chciałem się dowiedzieć kilku rzeczy.

– Kiedy się dowiem co tu się dzieje? Jak Farrel przyjedzie? – zapytałem.

Nie zdziwił się słysząc nazwisko Farrela, ale nie odpowiedział.

– Kto zabił Langa? – zapytałem.

Milczenie.

– Po co zarznięliście tę fałszywą Pymę Gordenius? – zadałem jeszcze jedno pytanie i od razu zrobiło mi się zimno.

Drgnął.

– A właśnie! Gdzie ona jest? – potarł lewą ręką skroń.

– Ho-ho! Daleko – uśmiechnąłem się szeroko. – To był mój pierwszy sukces w tej sprawie. Jest parę miejsc na tym globie, gdzie trudno będzie wam się dostać.

– Kłamiesz, ale to nieważne, Dowiemy się wszystkiego, już niedługo. Nie myśl, że ją uratujesz. Żal mi jej, ale cóż... Trzeba wyczyścić wszystko, czego dotknąłeś – w jego głosie nie wyczułem ani nadmiernej ciekawości, ani wahania. Informował mnie po prostu.

Otworzyłem usta, ale odwrócił nagle ode mnie wzrok.

– Zabierz go i dobrze skuj. Poza tym uważaj – wydaje mu się, że coś jeszcze może zrobić – wycelował we mnie pistolet i pokazał mi lufą, że mam wstać.

Obejrzałem się. Średni z delegacji powitalnej. Wysunął się pierwszy na korytarz z pistoletem wycelowanym w mój brzuch. – Wyszedłem również i windą zjechaliśmy piętro niżej. Gdzieś w połowie korytarza mój strażnik powiedział:

– Tu-u... Gdzie pędzisz?

Otworzył jakieś drzwi i gestem zaprosił mnie do wnętrza. Wszedłem do pustego, ciemnego pokoju bez okien i sprzętów. Monotonię gładkich ścian zakłócał jedynie duży hak z długim łańcuchem zakończonym kajdankami.

– Zapnij to sobie – powiedział mężczyzna i poparł prośbę ruchem sploty.

Żałowałem kajdanki i zatrzasnąłem zameczki.

– Podejdz do mnie, tak żeby łańcuch się napiął – polecił.

Wykonałem polecenie, a wtedy on położył broń na progu i wyjął z kieszeni cienki łańcuszek, obszedł mnie dużym łukiem i spętał nim moje nogi. Koniec przypiął do haka i wsadził do kieszeni kluczyk.

– Mogłem cię przecież kopnąć – mruknąłem. – Tak się nie podchodzi...

– Stąd nigdzie się nie ucieknie, chłopie – podniósł broń, zabezpieczył i schował do kabury. – Chyba że na tamtą stronę.

Odwrócił się i zrobił krok do przodu, potem zatrzymał się i odwrócił do mnie.

– Dam ci dobrą radę – powiedział cicho. – Ten łańcuch jest wystarczająco długi, powieś się. To najlepsze, co możesz dla siebie zrobić.

– E-e-e... Wiesz jak to jest z dobrymi radami – nikt się nie kwapi do ich realizacji – powiedziałem wesoło.

Uśmiechałem się jeszcze gdy zamykał drzwi. Potem też trochę, zanim nie uświadomiłem sobie, że być może niechcący udzielił mi jednej dość istotnej informacji. Ale i tak musiałem to sprawdzić. Obejrzałem dokładnie ściany i sufit, a potem, nie widząc żadnych obiektów, omotałem szyję łańcuchem i podkurczyłem nogi. Szarpnąłem kilka razy głową, podrapałem piętami podłogę i zawisłem w pół uduszony na łańcuchu. Wisiałem tak dwie czy trzy minuty i nikt się nie zjawił. Uznałem, że gdyby był tu jakiś podgląd, ktoś już przyszedłby do mnie. Wstałem i uwolniłem szyję. Odetchnąłem głęboko kilka razy i usiadłem pod ścianą. Oparłem ręce na podkurczonych nogach i położyłem na nich głowę.

Zastygłem w klasycznej, wyeksploatowanej do maksimum w rzeźbie pozycji promieniującej rozpaczą i beznadzieją. Tylko język poruszał się miarowo. Grzebałem nim w lewym dolnym trzonowcu tak długo, aż mała kapsułka wysunęła się z dziury po usuniętym wczoraj zębie. Magazynier CBI nie zdołał przekonać mnie do amputacji palca, ale ząb poświęciłem. Obróciłem kapsułkę kilka razy na języku, aż upewniłem się, że trzymam ją między zębami właściwym końcem do przodu. Rozchyliłem wargi w szerokim uśmiechu i ścisnąłem kapsułkę zębami.

Trzymałem ją tak dłuższą chwilę, potem coś lekko trzasnęło, nieco zmiękała i w końcu z małej dyszy trysnął cieniutki strumyczek kwasu capirinowego. Po kilku sekundach łańcuch łączący obrączki kajdanek puścił, przepaliłem śpiesząc się coraz bardziej łańcuch właściwy, ten łączący mnie jeszcze ze ścianą i w końcu cienki łańcuszek pętający nogi. Wstałem i wyplułem kapsułkę w kąt, nałożyłem kawałki łańcuszka na buty tak, by udawały całość i jednocześnie dawały się odrzucić przy pierwszym kopnięciu nogą, wziąłem do rąk końce łańcucha do kajdanek. Na pewno wyglądało to, że jestem nadal spętany. Dowcip mogła mi tylko zepsuć jakaś kamera ale – wiadomo – nie zawsze wszystko się udaje. Stałem cierpliwie godzinę i osiem minut zanim usłyszałem kroki na korytarzu. Ktoś przystanął pod drzwiami i nasłuchiwał, albo rozglądał się. Albo oglądał mnie. Ja również przyglądałem się drzwiom z lekko przekrzywioną głową. Szczęknął cicho zamek i w smudze światła stanął Tabbey.

Wszedł szybko i zapalił światło. Popatrzył na mnie i zamknął drzwi. Oparł się o ścianę i skrzyżował ręce na piersi. Nie miał broni, przynajmniej nie widziałem jej i to mnie trochę zmartwiło.

– Woodey nie chce ci skancerować gęby – powiedział cicho. – Farrel też. Ale o reszcie nie było mowy. Nerki, na przykład, nie będą ci potrzebne po tamtej stronie – rozciągnął trochę zaciśnięte wargi. – Dzieci już też nie będziesz robił – dodał upajając się tekstem. – Wykastruję cię.

Przyszedł na własną rękę i to nie było dobre. Lada moment mógł tu przyjść ktoś po mnie. Popatrzyłem na niego z politowaniem.

– Za to ty możesz teraz robić dzieci nosem. Widziałem kiedyś kutasa stuletniego indianina. Zupełnie jak twój miech. I-den-tycz-ny! – wyszczerzyłem kły.

Zagryzł dolną wargę, ale nie skoczył na mnie.

– Nos-s-s... syknął. – Wsadzę ci po jednym jąderku do każdej dziurki w nosie. Będziesz się dusił...

– Przestań się brandzłować, gnido – strzyknąłem w jego stronę śliną. – Będziesz tak pieprzył, aż zemdlejesz z rozkoszy. Pewnie już masz mokre

gacie. Ch-che! Znałem kupę takich cudaków. Stawali wieczorem przed plakatem Schwarzenegera i trzepali kapucyny aż do zaniku tętna.

Zacisnął szczęki i robił mały kroczek w moją stronę, Zerknął na łańcuch. Zatrzymał się.

– Chcesz mnie obmacać, ty pindo rybia! – wrzasnąłem.

Skoczył do przodu, zostawiając prawą nogę w tyle.

Gdy zaczął wyprowadzać kopa skierowanego w krocze, odwinąłem się w prawo, trzymając koniec łańcucha w prawej ręce. Drugi koniec wysunął się z kółka i ze świstem zatoczył łuk. Tabbey nie miał żadnych szans. Kilka ostatnich ogniw trafiło go w skroń, miażdżąc ją z ohydny trzaskiem. Uderzył całym ciałem o ścianę, przy której przed chwilą stałem, ale na pewno dokończył ten krok już trup. Szybko go obmacałem, wyjąłem mojego biffaxa i jego pistolet z zapasowym magazynkiem. Podeszedłem do drzwi i nasłuchiwałem chwilę. Poszukałem kapsułki z resztą kwasu i wydusiłem po kropli do zamków kajdanek. Zrzuciłem obrączki, wpakowałem pistolety do kieszeni. Zacisnąłem w garści kawałek cienkiego łańcuszka z nóg i posłuchałem znowu pod drzwiami. Cisza. Wysunąłem się na korytarz i poszedłem dość szybko w stronę windy. Niekoniecznie cała obsada musiała od razu rozpoznać we mnie cudzego. Położyłem palec na tasterze wywołania i oparłem się niedbale o ścianę. Palcami prawej ręki oplotłem kolbę biffaxa w kieszeni i czekałem. Cicho pyknął sygnał, drzwi rozsunęły się. Kabina była pusta, wsunąłem się do niej i stuknąłem w kwadracik z jedyneką. Byłem spokojny, nawet ręce mi się nie pocily. Byłem spokojny i przygotowany. Dlatego gdy drzwi otworzyły się i zobaczyłem w nich tego średniego od dobrych rad, nie dałem mu żadnej szansy. Wysunąłem do przodu kieszeń marynarki.

– Prowadź do Farrela. Szybko.

Otworzył usta i wciągnął powietrze. Odwrócił się i poszedł korytarzem. Czekałem na jakiś numer, ale szedł grzecznie. Mógł jeszcze zaprowadzić mnie do pokoju pełnego kumpli i wyciąć setki innych bączków, ale na razie szedł ochoczo. Stał przed ostatnimi drzwiami w korytarzu. Na razie niby się zgadzało – szef miał narodzić pokój

z dobrym widokiem na obejście. Przyłgnąłem do ściany i kiwnąłem głową.

Obrzucił mnie uważnym spojrzeniem, jakby oceniał i dotknął dłonią tastera.

– Szefie! Nick. Mam pilną sprawę – powiedział spokojnie.

Drzwi ruszyły w bok, pchnąłem Nicka do pokoju i wpadłem tam za nim, starając się zobaczyć od razu wszystko. Niewiele tego było. Szafy, potężny sejf, biurko. I Farrel. Stał obok szafy z jakąś teczką w ręku. Zamarł. Niezupełnie – dolna szczeka poleciała mu w dół.

– Stój tak i nawet nie próbuj zamknąć gęby – rzuciłem.

Wycelowałem biffaxa w Nicka.

– Lewą ręką odchyl klapę!

Posłusznie wykonał polecenie.

– Wyjmij gnata, dwoma palcami i wolniutko! – powiedziałem.

Zrobił co chciałem i rzucił pistolet pod moje nogi. Podniosłem go i wsadziłem do kieszeni.

– Pod ścianę!

Obszukałem go i skierowałem na bok.

– Teraz szef. To samo i tak samo. Start.

Farrel odchylił obie klapy i uwalił się na ścianę. Nie miał żadnej broni.

– Siadajcie, tam! Pod ścianą na podłodze. Nick, teraz ja mam dla ciebie dobrą radę. Domyślasz się?

Skinął głową i usiadł na podłodze krzyżując nogi. Demonstracja posłuszeństwa. Farrel przykucnął, a potem, po moim uniesieniu brwi, usiadł płasko. Rzucił spojrzenie Nickowi. Chyba miał nadzieję, że jego pracownik postawi własny kałdun pod moje pociski i da szefowi szansę ucieczki. Przesunąłem się za biurko i otworzyłem szufladę. Pod jakimiś papierami znalazłem pięknego Colta z dwudziestego wieku z dorobionym tłumikiem.

– Działa? – popatrzyłem na Farrela.

Uśmiechnął się krzywo i nie odpowiedział. Odciągnąłem kurek i wycelowałem w jego głowę. Poruszyłem palcem na spuście.

– Zostaw! – zachrypiął.

Podniosłem nieco lufę i nacisnąłem spust. Ze ściany nad głową Farrela wystrzeliły kawałeczki betonu. Dźwięk był nie głośniejszy od upadku książki na podłogę.

– Aha! – powiedziałem do siebie. – To się może przydać.

Położyłem Colta na biurku i usiadłem w fotelu.

– Gdzie są kamery i mikrofony? – zapytałem Farrela.

– Tu nie ma. Naprawdę – zapewnił szybko.

– Nie ma znaczenia. Zawsze zdążę ciebie załatwić. A teraz do roboty. Gadaj! Można palić – dodałem patrząc na Nicka i sam zapaliłem.

– Nie rozumiem – Farrel przełknął ślinę. Ręka powędrowała mu do kołnierza koszuli i, nie mogąc poradzić sobie z zapięciem, szarpnęła, aż coś trzasnęło.

– Opowiedz mi szybko i wszystko o tej fabryce sobowótów. I raczej nie kręć. Zdajesz chyba sobie sprawę, że żyjesz, dopóki żyjesz. A jak umrzesz, to co ci po świadomości, że wprowadziłeś mnie w błąd? No?

– Nie rozumiem – powtórzył. – To prywatna posiadłość, – tu pracuję...

– A chwile te są tak rzadkie i cenne, że musi cię w tym czasie pilnować komando zuchów takich jak świętej pamięci Tabbey. Po raz drugi mówię: No? Trzeciego już nie usłyszysz.

– Co chcesz wiedzieć?

– Wszystko. Co robicie z ludźmi, że tak się zmieniają. Po co? Jak? Kto tym kieruje?

Zamrugnął oczami i szybko, jak zmijka, przesunął językiem po wargach. Wiedziałem, że będzie kłamał.

– To... jest laboratorium... Kghmu... Poddajemy specjalnej kuracji ludzi...

Nie zauważyłem, że wziąłem do ręki Colta. Zdziwił się przede wszystkim zdziwił się, czując uderzenie w udo, Dopiero potem doszedł prawdziwy ból i pojawiła się krew. Złapał się za nogę i zwałił na bok. Wstałem szybko.

– Dostaniesz kulę w kręgosłup, jeśli natychmiast nie siądziesz!

Zawył i usiadł ściskając udo obiema dłońmi.

– To jest laboratorium, ale nie leczą tu ludzi – niespodziewanie powiedział Nick. Odwróciłem się do niego. – Zamieniają ich na identycznych, przynajmniej zewnętrznie.

Kątem oka zobaczyłem, że Farrel przesuwając się nieznacznie w bok.

– Farrel, potrzebny mi szef tej fabryki sobowtórów, ale bez przesady. Opinia publiczna będzie mi wdzięczna, jeśli wykonam wyrok już teraz. Zaoszczędzisz również na adwokatach. – Farrel przestał pełznąć. Odwróciłem się do Nicka. – Jak to robią?

– Dokładnie nie wiem – wzruszył ramionami. – Mówi się, że biorą duplikaty z tamtej strony, a tam zostawiają naszych. Co to znaczy dokładnie, nie mam pojęcia.

– Dlaczego mi to mówisz?

– Mam dość tego świństwa. Widziałem, jak się męczą ludzie podczas odczytu i widziałem tamtych. Nie jestem święty, ale tamci to zbrodniacy i zwyrodnialcy. Czasem mi się wydaje, że Hitler też korzystał z tamtej strony – zduł niedopałek na podłodze.

– Co to za odczyt?

– No-o... Muszą wyposażyć kopie w całość informacji o danym człowieku. Podłączają go do aparatury i kilka dni trwa takie odczytywanie. Zostają po tym zabiegu debilami, duże, śliniące się dzieci.

Popatrzyłem na Farrela. Miał twarz jak maskę, wykrzywioną nie bólem, lecz wściekłością.

– Wstań i chodź tu – powiedziałem szybko do Nicka.

Podniósł się i podszedł do mnie.

– To jest szef? – wycelowałem lufę w Farrela.

– Tak.

– Kto jeszcze tu jest z notabli?

– Chyba nikt – odpowiedział natychmiast. – Przed dziesięcioma minutami wyjechał ten, do którego zaprowadził cię Tabbey. Ci dwaj kręcą całym interesem. Jest jeszcze naukowiec, który wymyślił całą tę zabawę, nie wiem jak się nazywa.

– West jest tutaj? – odwróciłem się do Farrela.

Wpił we mnie prawie białe, jarzące się ślepią. Jeszcze chwila i nic

z niego nie wydobędę. Szybko skoczyłem do niego, oparł się plecami o ścianę. Drobne ostre zęby wychyliły się spoza warg. Wycelowałem i kopnąłem go w ranę na udzie. Wypreżył się i zawył, trzasnąłem go łufą w wyszczerzone zęby. Przewrócił się na brzuch i zaskowyczał w dywan. Odsunąłem się o krok.

– Wstawaj! Wstawaj – wycedziłem przez zęby. Wcale nie byłem wściekły, czasem udawało mi się opanować i udawać szła, kontrolując się jednocześnie. Dawało to lepsze wyniki niż prawdziwa furia. Farrel chyba uwierzył. Zaszlochał i podniósł się. Stał zgięty, opierając ciężar ciała na lewej nodze. Obiema rękami trzymał się za dolną część twarzy. Kilka kropel krwi spłynęło z brody na koszulę i krawat.

– Zaraz zawołasz tu Westa. Będziesz grzeczny, prawda? Chyba że chcesz przenieść się pierwszy na tamtą stronę. Moją prywatną tamtą stronę. Bez odczytu – odwróciłem się do Nicka. – Znasz się... – fala zimnego powietrza wybuchnęła mi przed twarzą tamując oddech. Stał obok biurka, mając mojego biffaxa o kilka centymetrów od dłoni. Stał tam ze trzy minuty, przez cały mój występ przed Farrelem. W ciągu trzech minut można umrzeć nieskończoną ilość razy. Wypuściłem ze świstem powietrze z płuc. Nick spojrział na blat biurka i biffaxa, potem podniósł wzrok na mnie. – ... na tej centralce? – dokończyłem?

– Nie. Byłem tu tylko dwa razy. Ale chyba nic szczególnego nie ma.. Oni byli cholernie pewni swego.

Obszedłem biurko z drugiej strony i nie dotykając biffaxa pochyliłem się nad panelem.

– Podejdz tu! – rzuciłem Farrelowi.

Posłusznie dokuśtykał. Staliśmy rozdzieleni meblem.

– Jaki jest kod Westa?

– Dziesięć – odpowiedział szybko. Z przyjemnością usłyszałem jak sepleni.

Wychyliłem się i dźgnąłem go łufą w oko. Wrzasnął i zrobił krok do tyłu, zraniona noga załamała się pod nim i runął na plecy. Przechyliłem się przez biurko.

– Jeszcze raz – powiedziałem spokojnie.

– Trzy zera.

– No widzisz. Teraz podejdź tu. Ruszaj się.

Podniósł się i stanął przede mną. Lewe oko zasłaniał ręką.

– Połączę się z Western. Każesz mu przyjść tu. Natychmiast i bez żadnych dyskusji. Trzymam rękę na przerywaczu, nic nie zdążysz zrobić ani powiedzieć – ostrzegłem. Wystukałem trzy zera i wcisnąłem klawisz rozmów dystansowych. Po chwili głośnik syknął.

– West!

– Alan. Przyjdź tu szybko. Mam sprawę – powiedział szybko Farrel nie spuszczać oczu z lufy Colta. Właściwie: oka, bo celowałem w prawe.

– Czekać! Przecież mam kupę roboty. Mieliśmy jutro wchodzić, nie?

Postarałem się, by mój palec zadrżał widocznie na puszcie.

– Bez dyskusji. Szybko!

Wyłączyłem telefon. Popatrzyłem na Nicka.

∴– A co zrobimy z tobą?

– Co chcesz – wzruszył ramionami. – Zmieniłem drużynę. Ty decydujesz.

Cholernie chciałem grać z nim, a jednocześnie bałem się. Straciłem w tej Zagrodzie Szaleńców wiele ze swej ufności i wiary w ludzi.

– Daj mi biffax bez magazynka – powiedział i popchnął wskazującym palcem pistolet w moją stronę.

– Weź go – powiedziałem szybko, by się nie dręczyć namysłem.

– Ty stań przy szafie tyłem do pokoju – powiedziałem do Farrela. – I nie odwracaj się, dopóki ci nie powiem.

Poczekalem, aż stanie tam gdzie mu pokazałem i podszedłem do ściany w której znajdowały się drzwi. Cały tył głowy miałem zamarznięty, świadomość biffaxa w cudzych dłoniach działała jak znieczulenie miejscowe. Stałem plecami do ściany.

– Wpuścisz Westa – powiedziałem do Nicka.

Skinął głową. Biffax zniknął z blatu.

Czekaliśmy trzy minuty, potem ćwierknął sygnał. Kiwnąłem głową. Nick puknął palcem w klawisz na panelu. Syknęły drzwi i do pokoju wszedł szczupły mężczyzna w jasnych spodniach i swetrze. Miał długie,

ciemne, rozczochrane włosy. W prawej ręce trzymał papierosa, Ostry zapach błyskawicznie rozszedł się po pokoju.

– Co jest? – zaczął iść w stronę nieruchomo stojącego Farrela.

– Stój, West!

Odwrócił się, zdziwiony, w moją stronę. Majtnąłem dwa razy łufą, podniósł ręce do góry. Nie mógł mieć już bardziej zaskoczonej miny. Grdyka poruszyła mu się kilka razy w dół i w górę. Drgnął, gdy Nick podszedł i przesunął ręką po jego ciele.

– Co to jest? – stęknął. West..

Obszedłem biurko i usiadłem w fotelu Farrela. Nick przesunął krzesło i usiadł pod ścianą z drzwiami. Miał pod kontrolą cały pokój i drzwi, sam niewidoczny dla wchodzących. Nie musiałem mu nic mówić. Kiedyś tak pracowałem z Woodeyem. Kiedyś.

– Obaj pod ścianę, nie za blisko siebie.

West zrobił kilka kroków i stanął pod ścianą. Zerknął na Farrela, gdy tamten kuśtykał w jego kierunku. Bardzo ładnie to wyszło – zaskoczenie na jego twarzy zniknęło zmyte falą strachu. Świetny układ.

– Co to jest tamta strona, West? – wyjąłem z paczki ostatniego papierosa i zapaliłem.

Milczał. Oczy uciekły mu w prawo i w dół, gdzie zwałił się o podłogę Farrel.

– Słuchajcie, chłopcy. Daję wam pięć minut na skrótową opowieść. Potem pójdziemy na spacer, który zakończymy na posterunku w jakimś dużym mieście. Wtedy ja umyвам ręce – zrobiłem krótką pauzę, by Farrel i West przypomnieli sobie jak to się później dzieje – adwokaci; kaucje, zwłoka, apelacja, gmatwanina, słowem – szansa! – Jeśli do tego czasu nie zakończycie spowiedzi... – zakręciłem Coltem na palcu. – ... mam tu jeszcze cztery naboje. Czas – start!

Chwilę jeszcze milczeli. Potem West zerknął na Farrela. Pękł.

– To on! – zapał cienko. – On to wymyślił, musiał ciągnąć zyski, a potem wymyślił jeszcze inną rzecz. Chce panować nad światem! On! Ja jestem naukowcem, ja tylko zajmowałem się wielowymiarowością uniwersum! Mnie to w ogóle nie interesowało. Zmusił mnie.

Zacisnął pięść zapominając o trzymanym papierosie. Rzucił go spazmatycznie na podłogę i chlipnął. Nick wstał i podniósł peta. Trochę mnie zdziwiła jego pedanteria, ale on podszedł do mnie i położył zmięty niedopałek w popielnicze. Pokazał nań oczami i wrócił na swoje miejsce. Strząsałem popiół swojego papierosa i przyjrzałem się petowi Westa. Bibułka miała charakterystyczne błękitnawe zabarwienie wokół tłącego się końca.

– Wolniej. Od początku. Kiedy to się zaczęło? – przypomniałem sobie paczkę papierosów w szufladzie biurka Farrela. Wyjąłem ją. Pokiwałem głową i rzuciłem ją Westowi. – Na tym cię trzyma?

– Tak, tak! Bydlę – gorączkowo rozerwał opakowanie i zapalił jednego. Cierpki zapach palonej neteiny opanował pokój.:- Pięć lat temu to było wszystko moje. Pracowałem ciężko, rzuciłem pracę na uczelni, byłem bez grosza, ale miałem szczęście. Znalazłem drogę do innego wymiaru, do innego równoległego świata obok nas – wyjaśnił. Uspokoił się wyraźnie po kilku sztachach. – Nie wiedziałem co z tym zrobić, mogłem przebić błonę tylko na kilka setnych sekundy. Byłem pewien, że gdybym tylko miał forszę, mógłbym otworzyć tę furtkę nawet na kilka minut. I wtedy trafiłem na tego bydlaka. Dał mi pieniądze i niczego nie żądał w zamian. A potem, kiedy udało mi się, wpakował się tu ze swoją bandą i już nic nie miałem do powiedzenia. Musiałem sprzedać mu laboratorium i udać, że wyjechałem. Zmuszał mnie do pracy, a kiedy opanowałem rozrywanie błony w dowolnym prawie czasie, przejął organizację przerzutu tych ludzi. Ja już nie miałem nic do powiedzenia – chciwie zaciągnął się papierosem.

– Co to za błona?

– Ha! – zapomniał, że mam w ręku rewolwer. Oczy mu rozbłyły, musiał strasznie cierpieć nie mogąc podzielić się swoim odkryciem. – Kilka lat temu mówiło się o teoretycznej możliwości istnienia obok siebie nieskończonej ilości światów. Udało mi się to udowodnić – przedarłem się do równoległego świata, na razie do jednego. A oddziela nas od niego pewien rodzaj pola... hm, takiej błony między światami. Nazwałem ją błoną interwymiarową, może kiedyś będzie się nazywała

bloną Westa? – zupełnie zapomniał o otoczeniu, rozmarzył się. Czekałem cierpliwie.

– No. A potem wtrącił się ten... – pokazał brodą – ... kanalia... i zaczął realizować swój wielki plan. Chciał podbić świat, właściwie opanować.

– W jaki sposób? Przy pomocy tych sobowtórów? – olśniło mnie.

– Tak. Właśnie. To jest świat... tamten świat – wyjaśnił – równoległy, identyczny. To znaczy... Inaczej: tam są identyczni ludzie. To wygląda tak, jakby wszystkie dzieci rodziły się w dwu wariantach, jeden tu, drugi tam. Albo odwrotnie – wzruszył ramionami. Dla niego była to czysto naukowa ciekawostka. – Potem losy tych ludzi są różne – tu górnik, tam – prezydent, tam – wariat, tu – genialny uczony...

– Tu mechanik samochodowy, tam śpiewak? – dodałem szybko.

– Właśnie, był taki przypadek. Ten... jak mu tam... – podniósł oczy ku górze przypominając sobie nazwisko.

– A tamci tak chętnie tu przychodzą?

– Bardzo. Tamten świat jest... trochę jednak różny od naszego. Życie tam jest trudne i niebezpieczne. Prowadzą ciągłą wojnę, powszechna militaryzacja, dyscyplina, ciągła niepewność. Każdy z nich woli żyć u nas, jest dużo spokojniej, komfort w porównaniu z tym co jest u nich. O! Ten śpiewak czuł, że go zaaresztują. Popęłnił jakiś błąd i w ostatniej chwili uciekł do nas.

– A wy tu macie tylko znaleźć odpowiedniego dubla i przekonać go, żeby ulżył swojemu sobowtórowi.

– A to już nie ja! – wyciągnął rękę z papierosem między palcami w moim kierunku i pokiwał nią. – To organizował Farrel.

– A tam? Przecież nie otworzyliście agencji z szyldem?

– Tam też są tacy jak on. Razem wpadli na pomysł opanowania naszego świata. Mieli wprowadzić tu całą masę ludzi stamtąd, na coraz to wyższe stanowiska, Z prezydentem włącznie i wtedy nikt by im nie zagroził. Tak to planowali. Nie wszystko dobrze szło, czasem nie można było znaleźć duplikatu u nas, wtedy musieliś... musieli odmawiać. Podejrzewam, że tamci likwidowali klienta, by ich z zemsty nie wsypał.

Uśmiechnął się beztrudnie i rozejrzał po pokoju. Nie było braw, tylko

Farrel podniósł głowę i odwrócił się do Westa.

– Ty zastrany gnoju! – powiedział spokojnie. – Myślisz, że się wykupisz tym gadaniem? Zamieniliśmy jego siostrę. I przyjaciela. Myślisz, że nas zaprowadzi do sędziego?

West popatrzył na mnie zdezorientowany. Miał trudności z koncentracją, neteina oszołomiła go, nie mógł uwolnić się od tematu, który zaprzętał mu umysł przez ostatnie kilka minut.

– A co z tym odczytem?

West opuścił głowę jak zasypiający człowiek, szarpnął nią i skierował mętne spojrzenie na mnie.

– Sczytujemy wszystko z mózgu dawcy i pod hipnozą wpychamy do tamtego... – przestał mówić: on, oni, zaczął mówić: my.

Uniosłem lekko dłonie z blatu i przyjrzałem się im. Nie drżały. Popatrzyłem z żalem na wypalony bez mojego prawie udziału papieros.

– Masz papierosy? – zapytałem Nicka.

Podniósł się i podszedł z paczką w rękę. Zapaliłem jednego, odsunąłem się od biurka z fotelem i przeszukałem je. Znalazłem jakąś trójkątną butelkę bez etykiety.

– Co to jest? – podniosłem do góry butelkę i popatrzyłem na Farrela.

– Koniak. Stamtąd – mruknął.

Wsadziłem butelkę z powrotem. Wstałem z fotela i rozejrzałem się. West stał oparty o ścianę z opuszczoną głową, kręcił nią jakby chciał, żeby jakiś zaczep wskoczył w końcu na miejsce. Nick siedział prosto, Farrel patrzył na mnie ostro.

– Została nam tylko jedna sprawa, potem opuścimy gabinet. Przejdziemy się po terenie. Na razie, Farrel, spis wszystkich przerzuconych tu ludzi. To wprawdzie nie jest super ważne, ale chcę go mieć. Gdzie masz?

– Nie ma takiego spisu – przeczuł moje pytanie i przemyślał sprawę. – Nie ma potrzeby.

– Znudzileś mnie. Rozbieraj się – podszedłem do szafy i wyjąłem jakieś dwie pierwsze z brzegu teczki. Wyjąłem z nich plik kartek i skręciłem je w ciasny krótki sznur.

Zaczął się gramolić skonsternowany.

– R-rozbieraj się! – wycodziłem i podszedłem bliżej.

– Po co? – zgarnął poły marynarki i trzymał je mocno jakbym już zaczął ją z niego zdzierać.

– Wsadzę ci to w dupę i podpalę. Szybko!

– Nie zrobisz tego! Wszystko powiem – zachłysnął się śliną. – Napiszę!

– Nie mam czasu – machnąłem rewolwerem. – Mam ci pomóc?

– Nie, nie... – zabełkotał i runął na kolana. – Nie, błagam! Mam to w sejfie w mieście, nie mam tu. Nie mam!

Zrobiłem krok i kopnąłem go lekko w stopę. But spadł i przeturlał się w stronę Nicka.

– Drugi but, spodnie i tak dalej – zmrużyłem oczy.

– Powiem, powiem! Otwórz sejf – dwa, dwa, dwa, siedem, dziewięć, pięć. Tam jest spis. Weź go, tylko daj mi już spokój.

Podszedłem do sejfu i wykręciłem zestaw liczb. Kiwnąłem na Farrela palcem.

– Chodź otworzysz.

– Nie mogę chodzić, przecież widzisz – zajęczał.

Nick wstał wolno z krzesła i podszedł od tyłu do klęczącego Farrela. Zamachnął się i kopnął go w zad. Farrel runął na twarz, zaszlochał i podniósł się. Skacząc na jednej nodze dotarł do sejfu i zawahał się.

– Samobójstwo byłoby w jakimś sensie honorowym wyjściem, ale nie o to ci chodzi. Ty gnido, otwieraj! – wrzasnąłem.

Szybko skasował poprzedni zestaw i wykręcił nowy. Szarpnął za klamkę. Drzwi westchnęły i zaczęły się otwierać. Szybko podskoczyłem i odepchnąłem go. Rzeczywiście, na samym wierzchu leżał Colt. Wyjąłem go, sprawdziłem czy jest naładowany i rzuciłem Nickowi.

– Gdzie to jest? Nie będę szukał godzinę – warknąłem.

– Na samym dole – mruknął. Chyba wyszedł z niego cały duch.

Płaska teczka z cieniutkiego safianu bez żadnych ozdób i napisów leżała na najniższej półce. Wyjąłem ją i otworzyłem. Były tam cztery kartki niepalnego papieru wypełnione kolumnami cyfr. Ostatnia kartka zawierała klucz do szyfru. Wsadziłem teczkę za pasek spodni na plecach

i obciągnąłem marynarkę.

– Jak myślisz? – popatrzyłem na Nicka. – Coś jeszcze?

W końcu wiedział co nieco o tym miejscu. Pomyślał chwilę i pokręcił przecząco głową.

– Laboratorium?

– Tak. Przydałoby się tam pójść. Jutro miało być otwarcie, słyszałeś.

Słyszałem. Nawet domyślałem się dla kogo. Ale chciałem wiedzieć na pewno.

– Czy to mojego dublera mieliście jutro przerzucić? Farrel nie czekał na ponaglenie. Kiwnął potulnie głową.

– Ocuć go, Nick – wskazałem na Westa.

Podszedł do dużej szafy w rogu pokoju. Wisiało w niej kilkanaście garniturów, nie zaglądałem na półki, ale musiało tam być też wystarczająco towaru. Wyjąłem garnitur podobny do tego, który miał na sobie Farrel.

– Przebieraj się.

Zdjął marynarkę i zsunął spodnie. Rana już przyschła i świeża krew nie wypływała. Ubrał się i poprawił krawat. West, po natarciu uszu i paru policzkach stał prawie przytomny. Nick popatrzył na mnie i nie widząc aprobaty podszedł i trzepnął Westa jeszcze kilka razy po twarzy. Spojrzenie uczonego nabrało wyrazu. Pokiwałem głową zadowolony.

– Kto jest w laboratorium?

– Nikt. Pracowałem sam – odpowiedział szybko.

– Zadzwoń tam – podszedłem do biurka i wystukałem trzy zera. – Jeśli ktoś jest, wyrzuc go – położyłem znowu rękę na klawiszu, ale nikt się nie zgłosił.

– Idziemy. Z przodu Nick, za nim wy dwaj zajęci rozmową. Ja na końcu. Zapamiętajcie nazwisko Colt. Naprzód!

Nick otworzył drzwi i wyszedł pierwszy. West i Farrel za nim. Wyszedłem ostatni. Nick szedł szybko, Farrel kulał mocno, podszedłem bliżej i powiedziałem cicho:

– Przestań kuleć, albo załatwię ci drugą nogę.

Poszedł równiej. Zjechaliśmy tym razem cztery piętra, głęboko pod

ziemię. Wartownik za drzwiami chciał coś powiedzieć do Nicka, ale zobaczył Farrela i Westa i zamknął gębę. Marny strażnik. Przeszliśmy obok bez incydentów. Skręciliśmy na skrzyżowaniu korytarza w lewo i natknęliśmy się na drugiego wartownika. Wycelował lufę drizzera w brzuch Nicka i szarpnął bezpiecznik. Czułem, że gdyby miał inną broń, Farrel zaryzykowałby. Ale przy tej wyrzutni chmury pocisków wszyscy musielibyśmy oberwać.

– W porządku – powiedział. – Hasło: Lucy.

Wartownik opuścił lufę i usunął się pod ścianę. Minąłem go nie patrząc. Miałem nadzieję, że nie znajdował się na nabrzeżu podczas mojego przybycia. Zresztą wszystko jedno, i tak nie mógł wiedzieć, że jestem więźniem, a nie gościem. Podeszliśmy do drzwi laboratorium. Nick odsunął się, West bez ponaglenia wystukał trzy cyfry i chciał wejść pierwszy. Nick zatrzymał go ręką i wsunął się do wnętrza. Pchnąłem Farrela, West wszedł sam. Wsunąłem się i zablokowałem drzwi.

Oczekiwałem, że zobaczę dużą halę najeżoną abstrakcyjną aparaturą, bulgocące zlewki i retorty, jakieś spirale wypełnione różnokolorową cieczą. Tak to wyglądało w filmach science-fiction. Tu było trochę inaczej. Półokrągły, olbrzymi pulpit z dwoma samojezdnymi taboretami. Masa indykatorów, skal, wskaźników wszelkich możliwych typów, cztery gigantyczne ekrany, jeden z boku i trzy w centrum.

– Czekam na objaśnienia – chwyciłem Westa za ramię i odwróciłem do siebie.

Wzruszył ramionami. Rozejrzał po pulpicie.

– Tego nie da się tak raz-dwa, wyjaśnić. To jest sterownia, epicentrum wygenerowanego pola jest gdzie indziej. Tam nikt nie może być w trakcie otwierania. Dopiero potem mamy cztery i pół minuty na wykonanie wszystkich czynności. I minuta rezerwy. Potem ciśnienie błony wzrasta i na razie nie mogę tego pokonać.

Popatrzyłem jeszcze raz na pulpit-olbrzym. Jak na zamówienie rozjarzył się jakiś wskaźnik. Zielony.

– Co to? – pokazałem Westowi seledynowy prostokącik.

– Zapas energii osiągnął maksimum. Moglibyśmy startować..

– Wyłącz wszystko. Chcę tam pójść.
– Tam jest dźwignia – pokazał ręką.
– Wszyscy tam pójdziemy – ostrzegłem podchodząc do dużej żółtej dźwigni.

– Sam zobaczysz – powiedział jakby zdenerwowany moją nieudolnością.

Przełożyłem dźwignię w skrajne położenie. Powoli wygasły prawie wszystkie wskaźniki. Brzęknął sygnał, na ekranie pojawił się napis: „Zasilanie wyłączone. Strefa otwarta”.

– Prowadź! – odsunąłem się od pulpitu. – Nick za Western. Potem ty – pokazałem Farrelowi plecy Nicka.

Poszliśmy szerokim korytarzem, minęliśmy drzwi, jeszcze jedno, dużo grubsze. Potem jeszcze jedno, zupełny moloch wypełniony chyba betono-ołowiem, grube na metr. Weszliśmy do dużej hali.

Sufitu nie było widać spoza płataniny potężnych kabli grubości ramienia. Grube kolumny izolatorów w kilku miejscach podpierały strop. Na podłodze wymalowany był żółtą farbą szlak prowadzący do dużego prostokąta, również żółtego, na ścianie. Prostokąt obramowany był grabą błyszczącą ramą najezoną od wewnątrz trzema szeregami czarnych soczewek. West przystanął cztery metry przed ścianą, wyprzedziłem całą trójkę i stanąłem pierwszy.

Patrzyłem na bramę, przez którą wywieziono „na tamtą stronę” moją siostrę, mojego najlepszego przyjaciela i chyba setkę innych osób. Wywieziono, wyniesiono ciała o pustych mózgach, skazane na vegetację w obcym, ponurym świecie. Może od razu ich zlikwidowano, może eutanazja jest tam czymś zwykłym. Czuję, że sztywnieję jak po zastrzyku z infotermicydu. Powietrze było suche i jałowe, a mimo to czułem w nim zapach łez i rozpacz. Bzdura. Nie było łez, nie było smutku. Były wytrzeszczone oczy, zaślinione usta, ubrania pełne odchodów.

Odrzuciłem się do pozostałych. Chciałem stać nieruchomo, ale nie wiadomo skąd, gdzieś z dołu pojawiła się w polu widzenia wydłużona, karbowana na pogrubionej części, lufa. Jeden z trójki zamaryłych

w bezruchu ludzi zrobił szybki krok w moją stronę i przy dusił lufę do ziemi. Nick.

– Zostaw. Jeśli zabijesz ich, to nie wyjdiesz stąd nigdy w życiu. Wróci Woodey i przejmie firmę. Musisz stąd wyjść. A o wyrok się nie martw – tym razem nawet nasz sąd nie może się wygłupić.

Zaczerpnąłem powietrza. Klepnąłem go w ramię. Miałem nadzieję, że przywykł do takich podziękowań. Na razie nie umiałem inaczej wyrazić wdzięczności.

– Wracamy – wychrypiałem.

Wyminąłem Westa i Farrela i poszedłem pierwszy. Gdy przyszli za mną do sterowni siedziałem na taborecie. Zdążyłem już przeszukać kieszenie w poszukiwaniu papierosów.

– Daj zapalić! – syknąłem do Nicka.

Zapaliłem. Zaciągnąłem się mocno kilka razy. Gówno!

Dalej czułem zapach suchego podziemia. Najgorsze, że postanowiłem jeszcze raz zanurzyć się w tym smrodzie.

– Czy tamci mają też takie laboratorium?

– Nie! Jeszcze nie – szybko powiedział West. Widocznie musiał zobaczyć śmierć przed chwilą. – Dopiero dostarczamy im powoli aparaturę. To są unikatowe rzeczy i nie możemy robić zbyt dużo na raz. A tam nie wszystko jest.

– A jak się porozumiewacie z nimi?

– Tylko podczas transportów. Krótka rozmowa, taśmy, listy, zdjęcia.

– Ktoś był po tamtej stronie?

Ciągle patrzyłem w podłogę, bałem się, że ich twarze sprowokują mnie do czegoś ohydneho.

– Ja byłem. Tam jest mały bunkier z kilkuosobową obsadą. Las.

– Jeśli jutro ma być transport, to czy jest tam dzisiaj ktoś z szefów?

– O-o! Już od wczoraj. Zawsze doba przed terminem. I doba po, gdyby coś nie wyszło.

Zaciągnąłem się mocno i zgasilem niedopałek na podłodze. Podniosłem głowę i popatrzyłem na Westa.

– Ile trwa naładowanie tych wszystkich baterii? Jaki jest najkrótszy

interwał między seansami?

– Pięć – siedem godzin. Jeśli wszystko pójdzie dobrze. Ale to teoretycznie, nigdy tak nie robiliśmy. Nasze urządzenia nie wytrzymują olbrzymich obciążeń. Zawsze jest coś do wyremontowania po każdym seansie.

– Słuchaj... – zaczął Nick.

Podniosłem rękę i zamilkł. Świetny facet. Szkoda, że akurat tu się spiknęliśmy. Przecież nie mieliśmy żadnych szans na wyjście.

– West! – oparłem się wygodnie o pulpit. – Uruchomisz tę aparaturę. Wypuścisz mnie stąd i zaraz zamkniesz furtkę. Rozejrzę się tam, a ty tymczasem przygotujesz wszystko do mojego powrotu. Za pięć godzin będę tam czekał, by wrócić.

Wytrzeszczył oczy i otworzył usta. Farrel drgnął i błysnął oczami w moim kierunku.

– Ty napiszesz liścik do swojego kumpla po tamtej stronie. Że jestem twoim osobistym inspektorem i mam wykonać pewną delikatną i niecierpiącą zwłoki robotę. Wszelkie możliwe priorytety i pomoc. Zniesiesz dla mnie wszystkie zakazy. Już – sięgnąłem do kieszeni i podałem mu pisak. Z zacze pu na pulpicie wydarłem blok i rzuciłem mu jedno i drugie. – Jeśli zacznę podejrzewać, że coś knujesz, to pójdziesz tam ze mną – dodałem.

Wstałem i podszedłem do Nicka, nachyliłem się do jego ucha, był ciut-ciut niższy ode mnie.

– Czekasz siedem godzin. Ani minuty dłużej. Jeśli coś nie wyjdzie bierzesz obydwu i wycofujesz się. Zadzwo nisz pod numer telefonu trzydzieści dwa siedemdziesiąt cztery i trzy-trzy-trzy-trzy-pięć-pięć-pięć-pięć. Podasz moje nazwisko. Reszta nic cię nie obchodzi. Wtedy jest szansa, że chłopcy spod tego numeru przyjdą i uruchomią całą tę karuzelę jeszcze raz dla mnie. Jasne?

Kiwnął ledwo dostrzegalnie głową.

– Jeszcze jedna bardzo ważna sprawa. Próbu j dzwonić do Woodeya. Jak tylko wróci, sprowadź go na dół i zabij. Inaczej nie macie szans. Poza tym on jest oficjalnie policjantem. Nie da wam uciec i porozumieć

się z moimi znajomymi. I uruchomi znowu interes, tylko zabezpieczy się tak, że już nikt nigdy nie odkryje tej fabryki sobowtórów.

Kiwnął drugi raz, odszedłem od niego i popatrzyłem na Westa.

– No? Uruchamiaj!

Podszedł sztywno do pulpitu i po sekundowym wahaniu szarpnął żółtą dźwignię w dół. Przestałem na niego patrzeć. I tak mógłby wykonać setki zakazanych ruchów. Popatrzyłem na Farrela. Pisał coś skupiony, przechwyciłem jakiś błysk spojrzenia na czubki moich butów, wyżej bał się patrzeć. Czekałem niecierpliwie, aż skończył.

– Wyrzuc to albo idziemy razem – powiedziałem gdy podniósł głowę i złożył kartkę.

– No to idę – powiedział wyraźnie.

Miał mnie w garści i wiedział o tym. Starał się panować nad twarzą, ale widziałem, że drży z podniecenia. List na pewno był odpowiednio spreparowany, a zabranie go na tamtą stronę było dla mnie równie, albo jeszcze bardziej niebezpieczne.

– Ja z nim pójdę! – zaproponował nieoczekiwanie Nick.

– Nie ma mowy – powiedziałem i wstałem, by podejść do Farrela.

Przyszedł mi do głowy pewien pomysł i chciałem go wypróbować. Gdy zbliżyłem się do taboretu i Farrel zaczął się podnosić, usłyszałem krzyk Westa.

– Coś jest nie tak.

Zdażyłem jeszcze zauważyć radość w oku Farrela, zapamiętałem to na później, odwróciłem się i skoczyłem do pulpitu. West stał gapiąc się w kilka sporych wskaźników obok centralnego ekranu. Były martwe.

– Co to jest? Szybko! – szarpnąłem go za ramię.

– Nie wiem. Energia przepływa tam i gaśnie bez efektu. To może wybuchnąć!

Zrobiłem krok w kierunku Farrela. Drugi. Trzeci. Zaciśnął prawą rękę w pięść i wtedy drgnęły drzwi prowadzące do korytarza i hali. Zanim rozplatałem zaciśnięte palce i sięgnąłem do kieszeni, zanim Nick

wyciągnął w tamtą stronę swój Colt, na podłogę spadł rzucony ze szczeliny mały sześćcian z zaokrąglonymi wierzchołkami. Zakręcił się i pękł ze słabym hukiem. Zawirowało mi w oczach jakbym miał gałki na ośkach.



Rozdział dwudziesty

Poczułem ból, bolała mnie twarz i piekły uszy. Potem zrobiło się chłodno, zimno i odzyskałem świadomość. Otworzyłem oczy.

Siedziałem pod ścianą, na moim ramieniu opierała się głowa Nicka. Farrel i West leżeli w kącie dyspozytorni. Podniosłem głowę. Było ich ośmiu. Ubrani w bardzo ciemne, prawie czarne kombinezony, cienkie i elastyczne, wysokie buty do kolan z pochwami na dwa sztylety. Na pasach wisiały sześcianiki, jak ten wrzucony przed chwilą do nas, i jakieś owale. Z boku dyndały ciężkie, chyba gumowe pałki. Na dłoniach mieli cienkie rękawice ze zgrubieniami na kostkach palców. Niezależnie od chęci, umysł szybko podsunął widok takiej pięści lądującej na szczęce przeciwnika. Cienkie hełmy ze szczelinami w uszach i zwierciadlanymi przyłbicami zupełnie logicznie dopełniały ekwipunek.

Poruszyłem rękami. Żaden z nich nie drgnął. Patrzyłem w lustro tego w środku grupy, szefowie chętnie stają w środku, widziałem swoje odbicie, nieco zdeformowane i odbicie Nicka.

– Jesteście z tamtej strony – powiedziałem. – To bardzo dobrze. Właśnie się tam wybierałem, będę miał towarzystwo.

Postać z lewego skrzydła poruszyła się i zrobiła dwa kroki w moim kierunku. Zaskoczyło mnie to. A potem przyznałem im rację – dowódca w środku jest zbyt narażony na pierwsze pociski, sam bym strzelał najpierw w tego centralnego. Fachowcy. Postać sięgnęła do przyłbicy i podniosła ją.

Miał twarz jak z nudnego filmu o początkach Ameryki. Szczere spojrzenie, orli profil, twardy podbródek i ostro wyrysowane wargi. Tytan.

„– Kim jesteś? – zapytał.

– Nie będzie rozmowy, jeśli nie będę mógł liczyć na wzajemne zrozumienie.

– Nie byłbym tego taki pewien – rzucił szybko tamten.

– Wy wiecie kim jesteście i gdzie. Ja wiem tylko to drugie. To za mało.

– Kamendor Pritch – powiedział szybko.

– Jakby to można było sprawdzić?

– Tu nijak. Dobrze, zacznę pierwszy. Ja i moje komando otrzymaliśmy rozkaz likwidacji przejścia interpararelnego. Za chwilę zaczniemy to robić. A ty?

Wstałem z podłogi, sięgnąłem do kieszeni i znalazłem pustkę.

– Detektyw Owen Yates. Postawiłem sobie to samo zadanie. W wojsku byłem kapitanem, to więcej czy mniej niż kamendor?

Więcej. – chciał coś jeszcze powiedzieć i zamilkł. Nagle uśmiechnął się lekko. Nawet nie lekko – minimalnie. Mniej już nie można było. Ale zawsze. – Dałem się złapać – powiedział. – Mam mówić pierwszy, tak? Dobrze. O całej sprawie wiem niewiele. Ci od was zrobili to przejście i zaczęli od nas zabierać różnego typu szumowiny. Trwało to dość długo, potem zaczęła nas zastanawiać duża ilość ludzi z amnezją. Podejrzewano wirus, sabotaż, różne inne rzeczy, aż wpadliśmy na ślad. To w skrócie wszystko. Tylko że nie wiemy, po co im ci ludzie – skinął głową na Farrela i Westa. – – Chcieli opanować przy pomocy sobowtórów naszą... naszą świat – poprawiłem się. – Wpadłem na ich ślad przypadkowo i miałem szczęście, bardzo dużo szczęścia. Chyba wyczerpałem cały swój przydział. I dlatego najpierw oni planowali wysyłkę mojego odwłoku do was, a potem sam na to wpadłem, tylko w innym celu.

– To cię uratowało – powiedział i dodał, gdy skrzywiłem się: – Tam u nas znaleźliśmy w ich bazie twojego sobowtóra, pomyślałem, że facet, który ma być przerzucony do nas może być naszym sprzymierzeńcem. Tylko dlatego wszyscy tu jeszcze żyją.

Nie odwracając się kiwnął dłonią. Jeden z żołnierzy podszedł i podał

mi broń oraz zawartość moich kieszeni w cienkim plastikowym woreczku.

– Za chwilę cała ta buda wyleci w powietrze – powiedział Pritch.

– Ile to jest: chwila? Chciałbym przynajmniej spróbować stąd wyjść. I jeszcze ten facet – wskazałem Nicka. – Cholernie mi pomógł.

Pritch znowu skinął ręką. Inny żołnierz pochylił się nad Nickiem i trysnął mu czymś w twarz. Potem położył obok niego identyczny woreczek jak ten trzymany przeze mnie wciąż jeszcze w ręce i Colta. Wsadziłem swój worek w kieszeń.

– Dwaj moi ludzie pójdą z wami. Wyprowadzą was z domu. Dalej radźcie sobie sami.

Poczekaj! A co z tymi, których przerzucono? Zabrałeś mi listę swoich rodaków u nas i nic nie mówisz o moich u was.

– Ci pierwsi są nieważni. Nie mają z sobą kontaktu, po rozbiciu tego centrum albo wpadną sami, albo jakoś przeżyją. A ci... – wzrok mu stwardniał. – ... to już nie są ludzie. Poza tym część została zlikwidowana. Nie przez nas! Pozostali są otoczeni opieką państwa.

– Oddajcie ich nam! My też...

– Wykluczone! Likwidujemy przejście i wszelki ślad po nim. Badania nad tą dziedziną fizyki już są na indeksie. Skończone.

– Posłuchaj, kamendor! Tam jest moja siostra i prawdziwy kapitan Woodey. Dwójka najbliższych mi ludzi. Chyba mogę...

– To nie ode mnie zależy. Nic tu nie mogę zrobić. To rozkaz, rozumiesz? A poza tym być może właśnie te „osoby miały tak zwane wypadki. Stosowali to bardzo chętnie – dodał. Odwrócił się do tyłu. – Ocucić ich – rzucił.

Podszedłem do Nicka i pomogłem mu wstać, podniosłem torebkę i Colta. Patrzyliśmy razem na budzących się do życia Westa i Farrela. Żołnierze Pritch podnieśli ich na nogi i odsunęli się. Dopiero teraz przyjrzałem się ich broni. Wszyscy mieli to samo – chyba pistolet z grubą masywną kolbą i cienką lufą. Jak elephant, broń była oszczędna i bez muszki. Pritch odwrócił się do Farrela i Westa.

– Otrzymaliście wyrok śmierci. Bez prawa apelacji. Wykonanie

wyroku natychmiast – zrobił krok w tył. Jednocześnie dwaj żołnierze zrobili krok do przodu i ustawili się przy Pritchcu. Unieśli lekko lufy. Zobaczyłem skamieniałe maski zamiast twarzy obu skazanych. Szarpnąłem się do przodu, ale Nick złapał mnie za włosy i zatrzymał w pół kroku. Z obu luf jednocześnie trysnęło ostre, pomarańczowe światło, usłyszeliśmy: „wo-opa-ong!”, jakieś takie klaśnięcie, zobaczyliśmy parę buchającą z ciał Farrela i Westa. Gdy kłęb szarej mgły opadł, nie było już w tym miejscu niczego. Nie było krwi, ciał, ubrania. Tylko na zbielącej ścianie w groteskowym tańcu zamarły dwa ciemne cienie, wyższy i niższy. Poczułem, że Nick puszcza moje włosy. Zrobiłem krok do przodu. Pritch odwrócił się do mnie.

– Czego? Może założysz protest? W końcu: chyba po to wybierałeś się do nas? Nie? – odwrócił się i mruknął coś do żołnierzy. Dwaj wysunęli się do przodu. – Idźcie już. Zaraz po powrocie moich ludzi wycofujemy się. Jeśli nie wrócą – za piętnaście minut. Macie! – rzucił mi woreczek z nabojami do Coltów. – warknął coś do żołnierzy i wyszedł pierwszy. Patrzyłem za nim i ładowałem rewolwer, rzuciłem Nickowi resztę naboji.

– Nie cuduj, Yates – Nick stanął przede mną. – On ma we wszystkim rację. A my mamy jeszcze coś do zrobienia. Sarn to mówiłeś.

Kiwnąłem głową i powiedziałem do żołnierzy:

– Idziemy? ..

Ten z lewej kiwnął głową. Podeszedłem do drzwi i odblokowałem je. Odbezpieczyłem broń i nacisnąłem klawisz. Poczułem pchnięcie w ramię, jeden z tych komandosów skoczył na korytarz i prawie od razu uruchomił swój miotacz. Wskoczyliśmy za nim. Drugi wartownik, przy windzie, wyparował zanim zdążył cokolwiek zobaczyć. Pojechaliśmy dwa piętra do góry. Pierwszy znowu wskoczył żołnierz Pritchca i ulotnił dwóch ludzi Farrela. Gnałem za nim odruchowo, jak automat, nawet udało mi się raz wystrzelić, ale pocisk przeszedł już tylko przez smugę gorącej pary po jednym ze strażników. Zatrzymałem się w wylocie tunelu.

– Dalej damy sobie radę sami. Wracajcie, bo nie zdążycie – wysapałem.

Ich twarze pod lustrzanymi przyłbicami były niewidoczne, ale dałbym sobie głowę uciąć, że zdziwiła ich moja troska o nich. Rzeczywiście nielekką musiało się żyć w ich świecie. Jeden z nich kiwnął się jakby chciał jednak zrobić krok do przodu. Drugi zatrzymał go gestem.

– Wracamy – powiedział bez cienia zadyszki czy zmęczenia.

Odwrócił się. Jego towarzysz również.

– Hej! Ty! – krzyknął nagle Nick. Odwrócili się obaj. – Z kim wy tam wojujecie? Z czerwonymi?

Stali sekundę nieruchomo. Potem jeden z nich powiedział wolno:

– Tak. Z czerwonymi. Razem. Mamy inwazję z kosmosu – zawrócił i runął do przodu. Jego towarzysz nie spóźnił się ani o ćwierć sekundy. Pobiegli w drugą stronę. Gdy z przodu zaświtało światło Nick, biegnąc obok mnie, wysapał:

– Gdy wypadniemy na schody wrzeszcz cokolwiek, że awaria.

Wydusiłem coś na kształt potwierdzenia odbioru. Na schodach raczej jęczałem i tylko machałem rękami. Za to Nick wydał się jakby go ze skóry obdzierali.

– Uciekać! Awaria! Wy-y-ybuch! Spieprzać! – bieглиśmy do mola.

Ze szklanej budy wypadło kilku mężczyzn, stanęli zdezorientowani i stali, patrząc jak biegniemy po nabrzeżu. Dopiero gdy wpadliśmy na pokład kutra i Nick strzelił do pierwszego, który stanął nam na drodze z brzegu sypnęło pociskami. Schowałem się za łodzią i oszczędnie pykałem, martwiąc się tylko, by wystarczyło naboju. Usłyszałem starter, silnik zaskoczył od razu, chowając się za burtą dobiegłem do dziobu i zrzuciłem cumę. Nick zrobił to samo z cumą rufową i wskoczył do sterówki. Zaczęliśmy szybko oddalać się od brzegu.

– Chodź tu! – usłyszałem krzyk Nicka.

Obiegłem pochylony sterówkę i wszedłem do niej.

Nick stał prosto, coś uderzyło w szybę. Wyprostowałem się również.

– Cud, nie? – Nick odwrócił się do mnie i uśmiechnął się na całą szerokość twarzy.

– Aha. Nie mieliśmy prawa tak po prostu wyjść stamtąd. Więcej niż cud – wziąłem do ręki leżącą na półce paczkę maloise i zapaliłem dwa

papierosy. Dałem jednego Nickowi. – Jest sens szukać tu czegoś w kabinach?

– Tu powinno być – wskazał palcem małą szafkę obok mojej nogi.

Nie było tego dużo, pół butelki. Wypiliśmy szybko i z apetytem. Zapaliliśmy. Wzdłuż lewej burty przesuwiał się brzeg, którego konfigurację chciałem kilka godzin temu zapamiętać. Nie pamiętałem nic.

– Do samego brzegu nie dojedziemy, będziemy musie... – przerwał mu potężny huk z tyłu. Obejrzeliśmy się za siebie, a potem wypadliśmy na pokład. Nad drzewami, z miejsca gdzie znajdowała się posiadłość Farrela, buchnął w niebo olbrzymi kłęb dymu. Usłyszeliśmy dwie cichsze eksplozje. Potem jeszcze raz huknęło potężnie i, wydawało się, pod obłoki strzelił słup ognia. – Zbiorniki – mruknął Nick. -: Będziemy musieli płynąć łodzią – dokończył zaczęte przed dwoma minutami zdanie.

Poszedłem do łodzi i wysunąłem ją za burtę, czekałem czterdzieści minut, zanim w zatoce pojawiły się budynki i zmurszałe molo. Jeszcze chwila i dno kutra zazgrzytało o piasek. Nick zastopował silnik i, nie troszcząc się o kotwicę, spuściliśmy łódź. Po kilkunastu minutach byliśmy na brzegu.

Mój samochód stał nienaruszony. Trochę dalej stał zaparkowany olbrzymi, zielony bugger. Weszliśmy do biura. Pusto. Podeszedłem do telefonu.

– Teraz najważniejszy jest Woodey. Zadzwońisz do niego i powiesz, że zwiąłem. Nie wdawaj się w szczegóły, tylko że Farrel kazał ci zadzwonić do niego. Umów się gdzieś po drodze, na autostradzie.

Wystukałem kierunkowy i numer zastrzeżonego telefonu Woodeya. Oczekaliśmy piętnaście sygnałów zanim machnąłem ręką. Przypomniałem sobie, że dziś odbywa się party, na które zaprosił mnie mój przyjaciel Woodey. Wystukałem numer domowy. Tym razem zgłosiła się jakaś dziewczyna.

– Hal-lo-o? – zaczęła.

– Dzień dobry. Chciałbym mówić z kapitanem Woodeym – Nick

nadał swemu głosowi nadzwyczaj sympatyczne brzmienie.

– A-a-a... Nie ma go. Goście się bawią. Ma jakąś ważną sprawę. Obiecał wrócić niedługo. Coś powtórzyć?

Nick ułożył słuchawkę w gnieździe. Popatrzył na mnie.

– Klapa – nasunął dolną wargę na górną i cmoknął kilka razy.

Odsunąłem go od słuchawki. Wystukałem numer komendy i znalazłem Andersona. Zapytałem go, gdzie jest Woodey, a potem, czym wyjechał. Połączyłem się z numerem CBI i kazałem szybko wytropić wóz Woodeya.

– Szosa numer sto dwadzieścia dziewięć – usłyszałem po chwili odpowiedź.

– Nic mi to nie mówi. Gdzie to jest? – wrzasnąłem do słuchawki.

– Idealnie na północ od miasta.

– Gońcie go! Jadę z Cork. Koniec.

Trzasnąłem słuchawką i natychmiast ją poderwałem. Wystukałem numer swojego domku. Gdy zgłosił się automat nie mogłem przypomnieć sobie jaka dzisiaj obowiązuje litera. W końcu krzyknąłem:

– Defoe. Robinson Kruzoe!

Rzuciłem słuchawkę i jeszcze raz podniosłem. Z parkingu dobiegł mnie odgłos włączanego silnika. Wystukałem numer do Pymy. Słuchawkę podniósł Sarkissian.

– Posłuchaj. Tu Yates. Najprawdopodobniej jedzie do was niejaki kapitan Woodey. Policjant, jeden z tej paczki, którą rozpracowuję. Jedzie zabić Pymę. Najlepiej od razu go rozwal. Zadzwoń do swojego szefa, on ci to potwierdzi. Inaczej będzie nielichy szum. Obejrzyj sobie jego zdjęcie, żebyś się nie omylił. Słyszysz?

– Po co tyle gadasz? Cześć! – rzucił słuchawkę, ja też i wypadłem na parking. Wskoczyłem do samochodu, Nick wdepnął akcelerator i skręcił kierownicę. Wóz pięknie zarzucił tyłem i wolno wykręcił na ciasnym placyku. Wypadliśmy na szosę lokalną.

– Do autostrady. Mamy priorytet. I na północ. Schowałem tam jedną dziewczynę, a ten skurwiel musiał sobie przypomnieć, że mam tam domek. Ma niby ochronę, ale wolę być sam na miejscu.

Gdy wypadliśmy na autostradę, wcisnąłem klucz. Nick zareagował przyspieszeniem, zdziwiłem się, że wóz jest zdolny do takiej prędkości. Komputer drogowy wysłał do nas ostrzeżenie, a potem umilkł jakby umył ręce. Gnał się nieludzko. Jakiś zajęć na drodze, czy kamyczek pod kołem, zmieniłyby nas w trudną do rozdzielenia kaszę. Półtorej godziny. Wszystkie możliwe wskaźniki atakowały ostrzeżeniami i alarmami, ale na szczęście żaden nie ingerował w pracę silnika.

– Zjazd w lewo – powiedziałem, gdy do celu zostało nam kilkanaście kilometrów.

Nick zdjął nogę z gazu. Z piskiem opon weszliśmy w zakręt, równie hałaśliwie wypadliśmy na szosę stanową. Po pięciu minutach sięgnąłem do skrytki, ale ku mojemu zdziwieniu elephant leżał tam. Nick sięgnął do kieszeni i podał mi swojego Colta, brakowało w nim trzech naboji. Dołożyłem dwa ze swojego i schowałem rewolwer do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Zamknij okno i zwolnij – powiedziałem. Jechaliśmy chwilę setką, przywykłem już do wyższej prędkości i ta wydawała mi się przesadnie niska. Ale milczałem. Dopiero gdy Nick skręcił w las kierując się moim gestem i drzewa zaczęły migotać doceniłem kunszt swojego kierowcy.

– Nikt tędy dzisiaj nie jechał – mruknął Nick.

– Ale mógł przejść – wlepiłem oczy w ścianę drzew po mojej stronie choć nie miało to za grosz sensu. – Zajedź przed garaż – powiedziałem, gdy za lekkim łukiem drogi ukazał się dom.

Był ciemny i nieruchomy. Serce oderwało się od czegoś na czym dotychczas jeszcze wisiało i zaczęło szaleć po całym korpusie. Musiałem kiepsko wyglądać. Nick pochylił się ku mnie i powiedział:

– Przecież oni nie wiedzą kto przyjechał, nie? Co, mieli wypaść z kwiatami na drogę? Wyłaż – pchnął mnie w ramię.

Wóz ustawił tak, że gdy wyszedłem stanąłem przed drzwiami garażu, osłonięty kuloodporną karoserią. Sam wysiadł z drugiej strony i z Coltem w dłoni rozglądał się dookoła. Wygrzebałem z kieszeni woreczek z moimi rzeczami i wydostałem z niego klucz. Wsunąłem go w szczelinę obok drzwi i wyjąłem elephanta. Gdy drzwi ruszyły na boki

odsunąłem się lekko. Garaż był pusty. Syknąłem na Nicka, przystanąłem w drzwiach i rozglądałem się kręcąc głową jak żuraw, dopóki nie wszedł do garażu. Zamknąłem drzwi, włączyło się światło i poszedłem w kierunku drzwi prowadzących do domku. Gdy sięgałem do klamki, otworzyły się i stanął w nich Sarkissian.

– Gdyby Woodey był już w domu, rozwaliliby was w dwie sekundy.

– Przecież domku pilnowałeś ty – odsunąłem go z przejścia. – Poznajcie się – Sarkissian – wskazałem snajpera – nie wiem jak ma na imię, a to Nick, nie wiem jak ma na nazwisko. Ustalcie sami – wszedłem do domu.

Pyma siedziała na kanapie, na mój widok chciała coś zrobić z rękami, zatrzepotała nimi, potem plasnęła o poduchy i zerwała się. Długą chwilę wisiała na mojej szyi a ja, zamiast upaść ze zmęczenia, odzyskałem nagle siły. Złapałem ją na ręce i zakręciłem w powietrzu.

– Uważaj na telewizor! – usłyszałem z tyłu. Obejrzałem się. Stali obok siebie, Sarkissian z wyciągniętym palcem. Popatrzyłem w bok. Stał tam telewizor taki jak u E.M.P. – Szef powiedział, że drugiego ci już nie da. Zresztą więcej na razie nie ma.

– Jeszcze powiedz, że oddał mi swój! – zaśmiałem się. Byłem jak po kilku soczystych martini w wiosenny wieczór bez kłopotów i trosk.

– Yhy. Tak właśnie było. Musisz to docenić – uśmiechnął się.

Wszyscy się uśmiechali, uśmiechy falowały w powietrzu, wirowały i leciutko zderzały ze sobą. Było niesłychanie sympatycznie i radośnie. Dlatego głos Woodeya dotarł do mnie jak przez mgłę.

– Nie ruszać się!

Ze spojrzeń Nicka i Sarkissiana zorientowałem się, gdzie stoi.

Musiał wejść przez drzwi wejściowe. Staliśmy nieruchomo. Byłem zły. Ściągnąłem w jedno miejsce akurat tych ludzi, których potrzebowałem – Pymę, Nicka, siebie. Kretyn.

– Owen! Odwróć się wolno!

Odsunąłem się nieco od Pymy i odwróciłem powoli.

Miał w obu rękach po pistolecie, ale nie były straszne. Miał oczy, których wystraszyłyby się Grooki – białe plamy, jarzące się

niesamowitym blaskiem, bezlitosne.

– Woodey. Jesteś przegrany. Ściga cię CBI. Farrel i West nie żyją. Fabryka nie istnieje. Koniec zabawy. Nie trzeba było pchać się do nas – wyduśliłem z siebie.

– A co, miałem iść do Korpusu Tahajów? Umrzeć za matkę-Ziemię?

– Tamci umierają.

– No i dobrze. Może mamy wspólny raj, to sobie z nimi pogadasz. Ja nie mam czasu.

– Nie masz się dokąd spieszyć. Powiedziałem ci, że koniec balu. Rozmawiałem z kamendorem Pritchchem – dodałem.

Zastygł na chwilę w bezruchu, a potem podszedł do mnie i trzepnął lufą pistoletu w twarz. Poprawił drugi raz. Upadłem. Zerknąłem w stronę Nicka i Sarkissiana. Czubek buta Ormianina drgnął lekko. Podniosłem twarz do Woodey a.

– No to zabij, draniu! Czego męczysz? – wrzasnąłem z całej siły.

Zmrużył oczy i pochylił oba pistolety. W tej samej sekundzie pojał swój błąd i pogłębił go. Zamiast strzelić do mnie zaczął podrywać broń do góry. Zwinąłem się i uderzyłem go nogami w goleń, zachwiał się i strzelił raz za razem. Miałem już w rękę elephanta i pociągnąłem za spust od razu, gdy tylko lufa z grubsza wycelowana była w szaleńca. Pocisk trafił w pistolet trzymany w lewej ręce, ten niegroźny, bo Woodey padając uniósł go do góry. Jego prawy pistolet huknął jeszcze raz i wtedy padły strzały gdzieś z tyłu. Jeden pocisk trafił Woodeya w nos, drugi w szyję i od razu rozległ się grzmot elephanta. Woodey złamał się w pół i runął na podłogę, coś dużego, jasnego przeleciało nad nim i uderzyło w kanapę. Zerwałem się na nogi i skoczyłem do Pymy. Leciała na ziemię, ledwo zdążyłem ją podtrzymać i złagodzić upadek. Potem rozejrzałem się. Nick biegł do kanapy. Woodey leżał w dwu częściach ze zmasakrowaną twarzą. Sarkissian gramolił się z podłogi podtrzymywany przez Nicka. Strasznie śmierdziało piryną. I krwią.

Pomogłem Nickowi podnieść z podłogi Sarkissiana. Oddychał ciężko, plama na piersi nie powiększała się zbyt szybko, zdarłem koszulę i przyniosłem z łazienki opatrunek. Zmyłem krew z piersi i nałożyłem

na piniącą się ranę tampon, a potem zabandażowałem go ciasno. Cały czas się uśmiechał. Ten uśmiech o mało mnie nie rozłożył.

– Czego się szczerzysz? – wybełkotałem.

– Cieszę się... że... telewizor... ocalał – wystękał, ciągle uśmiechnięty.

– Jeśli dla tego gówna wykonałeś taki skok, to chciałbym zobaczyć, jak zachowujesz się w prawdziwej akcji – powiedział z tyłu Nick.

– Nic byś... nie... zobaczył. Jestem szybszy... od światła...

Odszedłem do okna. Nie chciałem, żeby widzieli jakie mam oczy. Jak przez mgłę zobaczyłem hamujące przed domem trzy samochody i wysiadających z nich mężczyzn. Otworzyłem okno i kiwnąłem ręką. Wtedy z jednego wytoczył się E.M.P. z laską w ręku. Długą chwilę patrzyliśmy na siebie.



Epilog

Przesyłka nadeszła tuż po dwunastej. Podszedłem do końcówki, standardowy komunikat: „przesyłka: dysk video. Adresat: Owen Yates, terminal: AAC, 77904. Nadawca: Agencja 777. Odbiór przesyłki na poczcie czy kopiowanie przez terminal?”

Kazałem skopiować i skasować dysk na poczcie. Wyjąłem dysk i wsunąłem w szereg innych na półce. Zżerała mnie ciekawość, ale postanowiłem poczekać na gości, dwie godziny pochłonęły prace kuchenne, pół – kąpiel. Furtka odezwała się kilka minut przed trzecią.

Chwilę potem, gdy siedzieliśmy już wygodnie uzbrojeni w szklanki z pierwszym drinkiem wstałem i wyjąłem dysk z półki.

– Pokażę wam coś – wcisnąłem dysk w szparę odtwarzacza. – Przez cały czas męczyła mnie jedna myśl: kim mógłby być kamendor Pritch u nas. Dzisiaj otrzymałem odpowiedź. Jeszcze sam nie wiem co tam jest, czekałem na was – popatrzyłem na Nicka i Sarkissiana. Żaden z nich się nie uśmiechał.

Wcisnąłem start i usiadłem w fotelu. Ekran rozjarzył się. Zobaczyliśmy twarz człowieka, który odczytał wyrok w dyspozytorni. Potem pojawiła się cała sylwetka Pritcha w półwojskowym ubraniu. Zacisnąłem na chwilę powieki i otworzyłem znowu. Teraz Pritch szedł chodnikiem jakiegoś miasta. Miał na sobie kombinezon, tyle że jasnozielony. Z masą kieszeni. Ujęcie było niespodziewanie krótkie. Ekran wyświetlił twarz jakiegoś grubasa.

– Panie Owen. Ten człowiek nazywa się Gregory Sanders. Jest jednym z najlepszych najemników, jakich zna Ziemia. Mamy jego życiorys, z pewnymi lukami, ale wiemy gdzie i kiedy się urodził, do

jakich szkół chodził i tak dalej. Później jest gorzej, bo zacierał po sobie ślady. Nie mogliśmy zrobić więcej zdjęć, bo uszkodził nam trzech filmowców i całą masę sprzętu – nie lubi reklamy. Koszta, rzecz jasna, pokrywa pan. Dziękuję i do zobaczenia.

Zniknął z ekranu. Zatrzymałem odtwarzacz i popatrzyłem na pozostałych. Nasze spojrzenia błędziły po trójkącie: Nick-Sarkissian-ja. Były bardzo do siebie podobne. Nie pytając rozlałem pół butelki do trzech szklanek. Łyknęliśmy jak na komendę.

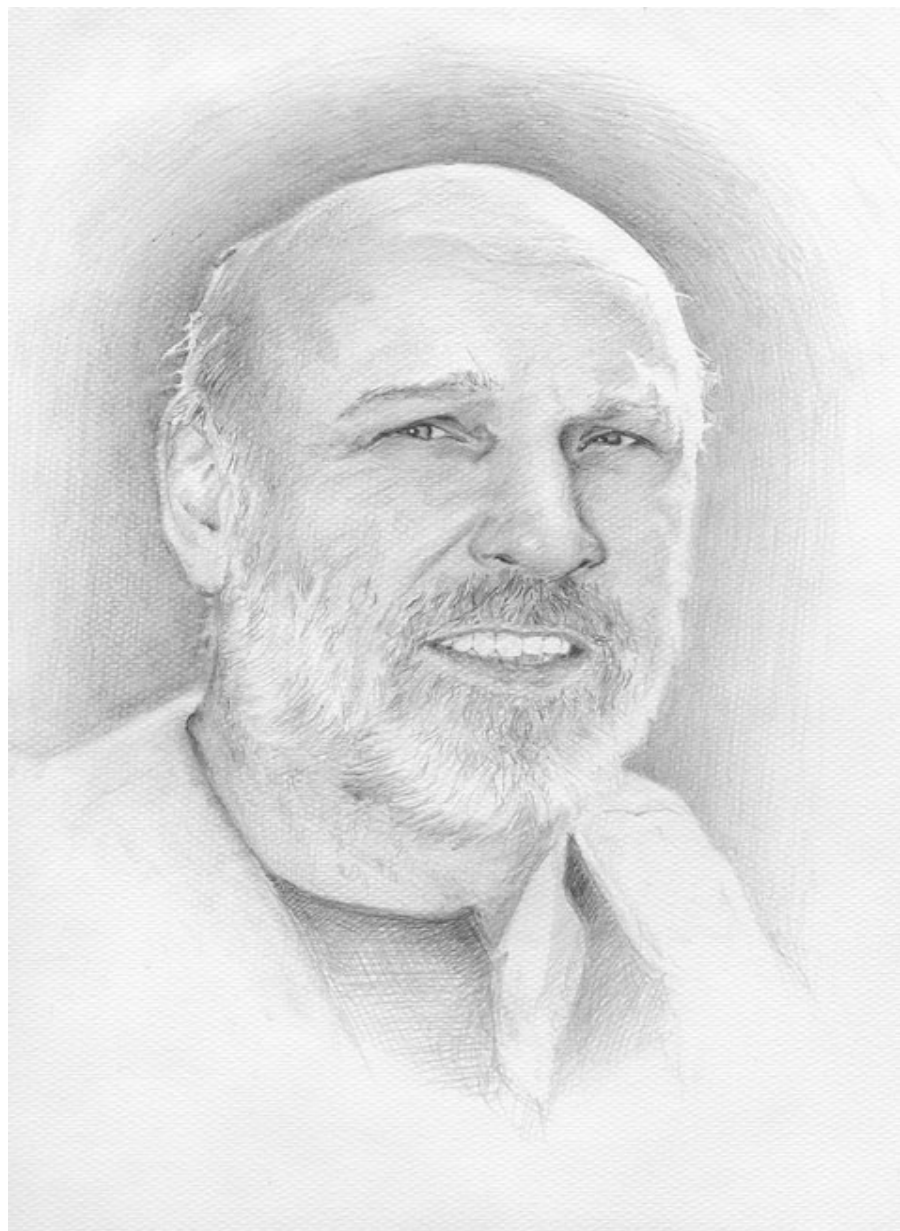
– Nawet byśmy nie zauważyli zmiany – powiedział Nick. – Gdyby do niej doszło – wzruszył ramionami. – Przecież nie mogło dojść? Mówił, że badania są objęte zakazem i zniszczył przejście...

– Masz rację – uniosłem szklankę i poczekałem na pozostałych. – To po prostu moja zachcianka. Tamto już dawno jest pogrzebane. Zostały tylko dobre rzeczy.

– Jakie? – zapytał Sarkissian.

– Jak to: jakie? – przesadnie wytrzeszczyłem oczy. – Poznałem dwóch facetów, których największą zaletą jest to, że jeden ma na imię Douglas a drugi nosi nazwisko Douglas. To jest coś!

Douglas Sarkissian i Nick Douglas spojrzeli na siebie jakby ten fakt nigdy wcześniej nie dotarł do ich świadomości. Gdy unosili szklanki przepijając do siebie wstałem i wrzuciłem dysk do spalarki. Trzeba było to zrobić, sprawa zamknięta. Inaczej wszystko nie miało sensu.



Eugeniusz Dębski – wrocławianin, filolog rusycysta, tłumacz. Spiritus movens tarapatów Owena Yeatesa, prywatnego detektywa oraz niejakiego Hondelyka, rycerza. Ojciec założyciel magazynu internetowego Fahrenheit, w realu ojciec dwóch synów. Zdobywca Kilimandżaro i kilku wzgórz.

Laureat Śląkfy, czterokrotnie nominowany do Nagrody im. Janusza A. Zajdla. Dobrze poinformowane źródła donoszą, że jest jedynym pisarzem na świecie posiadającym aż dwie nagrody specjalnie dlań ustanowione: Nagrodę Mątwy i Srebrnej Muszli.

Owen Yeates, cholerny, cwany twardziel...

Nieważne, czy nazywa się Rick Deckard i poluje na androidy, czy może Garret albo właśnie Yeates... Ich rozpoznaje się z daleka: borsalino, prochowiec, spluwa zdolna zatrzymać szarżującego tyranozaura, niewyparzona morda i smykałka do pakowania się w niewyobrażalne kłopoty... Zwykle na kacu i bez fajek w kieszeni...

W tę sprawę wszedł tak, jakby wskoczył do pędzącego pociągu. Bez biletu, bez pojęcia, jak się wszystko zaczęło, z perspektywą przyspieszonego zgonu zanim cokolwiek się wyjaśni. Ludzie zmieniają się w sadystyczne bestie. Każdy trop urywa się w ryku detonacji. Ci, którzy mają coś do powiedzenia milczą. Z gardłem rozharatanym od ucha do ucha niewygodnie się konwersuje. Więc rusz tyłek zanim ci go odstrzelą!

**PRYWATNY DETEKTYW.
Z PRYWATNYM BIURKIEM
W NORZE. KTÓRA CHOĆBY
STANĄŁ NA GŁOWIE
I WOZIĘCZNIE PODSKOCZYŁ.
ZAWSZE ŚMIERDZIEĆ BĘDZIE
PIEPRZONYM ANTYKWARIATEM.**

Potrzebujesz pomocy?
Zadzwoń:
555-help-me
prosić Owena

Już dziś
WIP

TAMTA
STRONA ŚWIATA

EUGENIUSZ DEBSKI

